



RAINER MARIA RILKE

---

**Malte**

RAINER MARIA RILKE

# *Malte*

PAMIĘTNIKI MALTE-LAURIDSA BRIGGE

TŁUM. WITOLD HULEWICZ

*II września, rue<sup>1</sup> Toullier.*

Tak, a więc tu przychodzą ludzie, aby żyć, myślałbym raczej, że tu można umierać. Byłem poza domem. Widziałem szpitale. Widziałem człowieka, który zachwiał się i runął. Ludzie zebrali się wkoło niego, to oszczędziło mi reszty. Widziałem brzemienną kobietę. Sunęła ciężko wzdłuż wysokiego, ciepłego muru, którego czepiała się niekiedy, jakby chcąc się przekonać, czy jeszcze istnieje. Tak, mur stał jeszcze. A za nim? Poszukałem w planie: Maison

---

<sup>1</sup>rue (fr.) — ulica. [przypis edytorski]

d'Accouchement<sup>2</sup>. Zgoda. Pomogą jej rodić — potrafią. Dalej rue Saint-Jacques, wielki dom z kopułą. Plan objaśniał: Val-de-Grâce, Hospital militaire<sup>3</sup>. Tego właściwie nie potrzebowałem wiedzieć, ale nie szkodzi. Uliczka zaczęła zewsząd cuchnąć. Pachniało, o ile można było rozróżnić, jodoformem<sup>4</sup>, tłuszczem od *pommes frites*<sup>5</sup>, strachem. Wszystkie miasta cuchną w lecie. Potem widziałem dziwnie bielmooki dom, w planie go nie było, ale nad drzwiami był dość jeszcze czytelny napis: *Asyle de nuit*<sup>6</sup>. Obok wejścia były ceny. Przeczytałem. Niedrogo.

A poza tym? Dziecko w stojącym wózku: grube, zielonawe, z wyraźną wysypką na czole. Krosty goiły się widocznie i nie bolały. Dziecko spało, miało otwarte usta, oddychało jodoformem, tłuszczem *pommes frites*, strachem. Na

---

<sup>2</sup>*Maison d'Accouchement* (fr.) — dom porodów. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*Hospital militaire* (fr.) — szpital wojskowy. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*jodoform* — żółta, krystaliczna substancja, jeden z pierwszych środków antyseptycznych. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*pommes frites* (fr.) — frytki. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*Asyle de nuit* (fr.) — schronienie nocne. [przypis edytorski]

to nie ma rady. Cała rzecz w tym, żeby żyć.  
W tym cała rzecz.

Że też nie mogę odzwyczaić się od spania przy otwartym oknie. Elektryczne tramwaje pędzą z hukiem przez mój pokój. Automobile przejeżdżają po mnie. Drzwi jakiegoś zatrzasnęły się. Gdzieś leci z brzękiem szyba, słyszę, jak śmieją się jej wielkie odłamki, jak chichoczą małe. Potem nagły, głuchy, zamknięty łomot z drugiej strony, w środku domu. Ktoś idzie po schodach. Zbliża się, zbliża bezustannie. Już tu jest, już dawno jest, przechodzi. I znów ulica. Dziewczyna skrzeczy:

— *Ah, tais-toi, je ne veux plus*<sup>7</sup>.

Tramwaj nadbiega wzburzony do żywego, leci przez nich, przez wszystko. Ktoś woła. Ludzie pędzą, mijają się. Szczeka pies. Co za ulga: pies! Nad ranem nawet kogut pieje — i to jest błogość bez granic. Potem zasypiam nagle.

---

<sup>7</sup>*Ah, tais-toi, je ne veux plus* (fr.) — Ach, uspokój się, już nie chcę. [przypis edytorski]

To są szmery. Ale jest tu coś, co jest straszniejsze: cisza. Myślę, że przy wielkich pożarach czasem następuje nagle taka chwila najwyższego napięcia, strugi wody opadają, strażacy przestają się wspinać, nikt się nie rusza. Bez szmeru wysuwa się naprzód czarny gzyms w górze — i wielka ściana, za którą strzela ogień, pochyła się bez szmeru. Wszyscy stoją i czekają z podniesionymi ramionami, z twarzą namarszczoną na oczy, czekają straszliwego ciosu. Taka jest tutaj cisza.

Uczę się patrzeć. Nie wiem, dlaczego wszystko głębiej wchodzi we mnie, a nie zatrzymuje się w tym miejscu, gdzie się dawniej zawsze kończyło. Posiadam wewnątrz, o którym nie wiedziałem. Wszystko tam teraz wchodzi. Nie wiem, co się tam dzieje.

Napisałem dzisiaj list, przy tym uderzyła mnie nagła świadomość, że jestem tu dopiero od trzech tygodni. Trzy tygodnie gdzieś indziej, na wsi na przykład, to mogło być jak dzień, tu są to lata. Nie napiszę też już żadnego listu. Po co mam komuś mówić, że się

zmieniam? Jeżeli się zmieniam, to przecie i tak nie pozostanę tym, kim byłem, a skoro jestem czymś innym niż dotąd, wtedy rzecz jasna, że nie mam znajomych. A do ludzi obcych, do ludzi, którzy mnie nie znają, pod żadnym pozorem pisywać nie mogę.

Czy powiedziałem to już? Uczę się patrzeć. Tak, zaczynam. Trudno mi jeszcze. Ale chcę czas swój wyzyskać.

Że też na przykład nigdy nie uświadomiłem sobie, ile istnieje twarzy. Jest moc ludzi, ale jeszcze znacznie więcej twarzy, bo każdy ma kilka. Są ludzie, co jedną twarz noszą latami, naturalnie twarz się zużywa, brudzi, łamie w bruzdach, rozłazi się jak rękawiczki noszone w podróży. To są ludzie oszczędni, prości; nie zmieniają twarzy, nawet jej nie każą czyścić. Twierdzą, że jest dość dobra, a kto im dowiedzie, że jest inaczej? Pytanie, oczywiście, skoro mają kilka twarzy, co czynią z pozostałymi? Przechowują je. Ich dzieci mają je nosić. Ale zda-

rza się także, iż psy chadzają w nich po dworze. Dlaczegożby nie? Twarz to twarz.

Inni ludzie niesamowicie szybko nakładają twarze, jedną po drugiej i zużywają je. Wydaje im się zrazu, że zapas im starczy na zawsze, ale zaledwie dochodzą do czterdziestki: oto już ostatnia. Jest w tym oczywiście pewien tragizm. Nie przywykli do oszczędzania twarzy, ostatnia po tygodniu jest zużyta, dziurawa, w wielu miejscach cienka jak papier — i oto potem stopniowo wychodzi na wierzch podkład, ta nie-twarz i z nią się obnoszą.

Ale ta kobieta, ta kobieta: zupełnie wtopczyła się w siebie, całym ciężarem zapadła twarzą w dłonie. Było to na rogu rue Notre-Dame-des-Champs. Zacząłem stąpać cicho, skoro ją ujrzałem. Kiedy ubodzy zamyślają się, nie wolno im przeszkadzać. Może jednak wpadnie im na myśl?

Ulica była zbyt pusta, jej pustka nudziła się i krok wyciągała mi spod nóg, i klekotała nim wokoło, tu i tam, jak drewnianym chodakiem. Kobieta w nagłym przestrawie pode-

rwiała się zbyt ostro, zbyt prędko — i twarz pozostała w rozwartych dłoniach. Ujrzałem tam tę twarz, jej pustą formę, z nieopisanym wysiłkiem przykułem się do tych dłoni, aby nie zobaczyć tego, co się od nich oderwało. Groza mnie zdjęła na widok twarzy od środka, ale jeszcze więcej bałem się nagiej rany, tej głowy bez twarzy.

Boję się. Na strach trzeba coś zaradzić, skoro się go ma. Byłoby to brzydko tu zachorować, a gdyby ktoś wpadł na pomysł przewiezienia mnie do Hôtel-Dieu, umarłbym tam z pewnością. Ten hotel jest przyjemnym hotelem, ma niesłychane powodzenie. Trudno obserwować fasadę katedry paryskiej bez niebezpieczeństwa wpadnięcia pod jeden z tych licznych pojazdów, które przez otwarty plac muszą tam wjeżdżać z najwyższą szybkością. Są więc małe omnibusy, co bezustannie dzwonią, a sam książę zegański musiałby zatrzymać swoją karetkę, jeśliby taki umierający nieborak uparł się jechać prostą drogą do Hotelu Pana Boga. Umierający są



uparci, a cały Paryż staje w miejscu, skoro Madame Legrand, *brocanteuse*<sup>8</sup> z rue des Martyrs, zajezdza na pewien plac w Cité. Zauważyć należy, że te piekielnie małe wózki posiadają wysoce interesujące szyby mleczne, poza którymi wyobrazić sobie można najwspanialsze agonie; na to wystarczy fantazja konsjerżki<sup>9</sup>. Kto posiada wyższą jeszcze imaginację i skieruje ją w inne strony, dla tego domysły nie mają granic. Ale widywałem tam i otwarte dorożki, płatne od czasu, dorożki z podniesioną budą, jadące podług zwykłej taksy<sup>10</sup>: dwa franki od godziny umierania.

Znakomity ów hotel jest bardzo stary, już za czasów króla Klodoweusza umierano tu w paru łózkach. Teraz umiera się w pięćset pięćdziesięciu dziewięciu. Naturalnie fabrycznie. Przy tak znacznej produkcji poszczególna śmierć nie jest wykonana szczególnie dobrze, ale nie o to przecież chodzi. O masę chodzi. Któż dzisiaj da

---

<sup>8</sup>*brocanteuse* (fr.) — handlarka starzyzną. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*konsjerżka* (z fr.) — dozorczyńni. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*taksa* — stawka. [przypis edytorski]

coś jeszcze za dobrze wykonaną śmierć? Nikt. Nawet bogacze, którzy by mogli przecież pozwolić sobie na szczegółowe umieranie, stają się niedbali i obojętni; życzenie posiadania własnej śmierci spotyka się coraz rzadziej. Jeszcze chwila, a stanie się równie rzadkim jak własne życie. Boże, to wszystko już jest. Przychodzi się, znajduje życie gotowe, że tylko się w nie ubrać. Chce się odejść albo jest się do tego zmuszonym: no, bez fatygi:

— *Voilà votre mort, monsieur*<sup>11</sup>.

Umiera się, jak się zdarzy; umiera się śmiercią, jaka należy do tej choroby, którą się ma (bo odkąd znane są wszystkie choroby, wiadomo także, iż rozmaite śmiertelne zakończenia należą do chorób, a nie do ludzi; pacjent poniekąd nie ma nic do roboty).

W lecznicach, kędy<sup>12</sup> umieranie jest tak chętne i tak pełne wdzięczności dla lekarzy i sióstr, umiera się jedną z śmierci zaangażowanych w zakładzie; jest to mile widziane. Umierając jed-

---

<sup>11</sup>*Voilà votre mort, monsieur* (fr.) — oto pańska śmierć, proszę pana. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>kędy (daw.) — gdzie. [przypis edytorski]

nak w domu, wybiera się oczywiście ona uprzejmą śmierć wyższych sfer, od której niejako już się zaczyna pogrzeb pierwszej klasy, a z nim cały szereg jego przepięknych obrządków. I oto stoi tłum ubogich przed takim domem i patrzy do syta. Ich śmierć jest naturalnie banalna, bez żadnych względów. Cieszą się, gdy znajdą śmierć dostosowaną jako tako. Za obszerna może być: trochę na wyrost. Tylko jeśli się na piersiach nie dopina albo dławi, wtenczas jest bieda.

Kiedy myślę o naszym domu, gdzie teraz nie ma już nikogo, wtedy sędzę, że wówczas musiało być inaczej. Dawniej wiedzano (albo może domyślano się), że śmierć człowiek nosi w sobie jak owoc pestkę. Dzieci miały w sobie małą, a dorośli dużą. Kobiety miały ją w łonie, a mężczyźni w piersi. Dość, że się ją miało — a to dawało człowiekowi osobliwą, dostojną i cichą jakąś dumę.

Po moim dziadku jeszcze, starym szambelanie Brigge, znać było, że nosił śmierć w sobie.

I jaka to ona była: przez dwa miesiące, a tak głośna, że ją słyszeć było aż na folwarku.

Długi, stary dwór za ciasny był na tę śmierć, zdawało się, że trzeba dobudowywać skrzydła, gdyż ciało szambelana stawało się coraz większe i chciał, aby go ustawicznie przenosić do innej komnaty, i zapalał się straszliwym gniewem, skoro dzień się nie kończył, a już nie było pokoju, w którym jeszcze nie leżał.

Potem cały ów korowód sług, niewiast i psów, które stale miał koło siebie, ruszał na górę po schodach do komnaty śmiertelnej jego nieodżałowanej nieboszczki matki. A ta komnata, opuszczona przez nią dwadzieścia trzy lata temu, zachowana była w nietkniętym stanie, a nigdy nikt nie miał do niej wstępu. Teraz wdarła się tam cała ta zgraja. Podniesiono rolety i pyzate światło letniego popołudnia jeło<sup>13</sup> macać wszystkie te płocze<sup>14</sup>, wystraszone przedmioty i obracało się niezdarnie w potłuczonych zwierciadłach. A ludzie nie inaczej się zacho-

---

<sup>13</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>płochy (daw.) — lekkomyślny, niestały w uczuciach. [przypis edytorski]

wywali. Więc były służebne, którym z ciekawości latały palce, chłopcy kredensowi z wybałuszonymi oczyma, starzy lokaje, którzy obchodząc dokoła usiłowali przypomnieć sobie wszystko, co im naopowiadano o tym zamkniętym pokoju, do którego wtargnęli oto szczęśliwie.

Nade wszystko jednak pobytem w komnacie, gdzie pachniały wszystkie rzeczy, podniecone były psy. Wielkie, szczupłe charty rosyjskie biegały zaaferowane za wysokimi fotelami i w poprzek komnaty długim, tanecznym krokiem, kołyszącym się ruchem; stawały na zadnich nogach jak herbowe gryfy i wąskie łapy opierając na biało-złotym parapecie okna, spozierały spiczastym, skupionym pyskiem i podniesionym czołem w prawo i w lewo na dziedziniec. Małe, jak rękawiczka żółte jamniki z wyrazem spokoju, jak gdyby wszystko było w najlepszym porządku, siedziały na szerokim jedwabnym fotelu pod oknem, a nastroszony, mrukliwy wyżeł tarł grzbiet o pozłocistą nogę stołu, na którego płycie malowanej drżały sewrskie filizanki.

Tak, były to czasy okropne dla tych nieprzytomnych, zaspanych przedmiotów. Zdarzało się, że z książek, niezgrabnie otwartych porywczą ręką, wypadły chwiejnie zaschłe płatki róży i podeptano je. Ktoś chwycił małe słabowite cacka i natychmiast stłuczone odkładał pośpiesznie, niejeden gracik ukryty wepchnięto za kotarę lub zgoła rzucono za złotą kratę kominka. A od czasu do czasu coś z brzękiem stłumionym padało na dywan, jasno padało na twardą posadzkę, bo rzeczy te, nader rozpieszczone, nie znosiły upadku.

I gdyby ktoś wpadł na pomysł zapytania, jaka jest przyczyna tego wszystkiego i co na ów trwożnie strzeżony pokój sprowadziło pełnię zagłady — odpowiedź byłaby tylko jedna: śmierć.

Śmierć szambelana Krzysztofa Detlefa Briggę na Ulsgaardzie. Ten bowiem, ogromny, przelewający się z granatowego munduru, leżał pośrodku posadzki i nie ruszał się. W obcym, wielkim, nikomu już nie znanym obliczu oczy były zamknięte: nie widział, co się działo. Pró-

bowano zrazu kłaść go na łożu, lecz on się bro-  
nił, bo łożka nienawidził od czasu onych pierw-  
szych nocy, kiedy choroba jego urosła. Zresztą  
łożko na górze okazało się zbyt małe, więc nic  
nie pozostało innego, jak złożyć go tak na ko-  
biercu; na dół bowiem wracać nie chciał.

Leżał więc tak i można było mniemać, że  
umarł. Kiedy powoli zaczęło zmierzchać, psy  
jeden po drugim wysunęły się przez szparę drzwi,  
tylko nastroszony wyżeł z mrukliwą twarzą sie-  
dział przy swoim panu, a szeroka, włochata je-  
go łapa spoczęła na wielkiej, szarej ręce Krzysz-  
tofa Detlefa. Także służba stała teraz za drzwia-  
mi w białym korytarzu, jaśniejszym niż pokój;  
ci wszakże, którzy jeszcze pozostali wewnątrz,  
spozierali czasem na tę wielką, czerniejącą ma-  
sę w pośrodku, z gorącym życzeniem, aby to  
nie było już niczym, tylko wielkim mundurem  
nad zepsutą rzeczą.

Ale to jeszcze było czymś. Było głosem,  
głosem, którego przed siedmiu tygodniami nie  
znał nikt: nie był to bowiem głos szambelana.

Nie Krzysztof Detlef był właścicielem tego głosu, lecz śmierć Krzysztofa Detlefa.

Tak więc śmierć Krzysztofa Detlefa już od wielu, wielu dni żyła w Ulsgaardzie i gadała z wszystkimi, i żądała. Żądała, aby ją obnoszono, żądała błękitnej komnaty, żądała saloniku, żądała wielkiej sali. Żądała psów, żądała śmiechu, rozmów, zabawy i ciszy, i wszystkiego na raz. Żądała widoku przyjaciół, niewiast i zmarłych, i żądała własnego skonu: żądała. Żądała z wielkim krzykiem.

Bo skoro noc przyszła i ci spośród przemęczonych sług, co nie byli wyznaczeni do czuwania, próbowali zasnąć, wtenczas śmierć Krzysztofa Detlefa krzyczała, krzyczała i stękała, wyła tak długo i nieprzerwanie, że psy zrazu wyjące do wtóru milkły i nie śmiały się położyć, i stojąc na długich, smukłych, drżących nogach, bały się.

A ludzie we wsi, co słyszeli jej ryk poprzez daleką, srebrną, duńską noc letnią, wstawali jak w czas burzy i zasiadali bez słowa wkoło lampy, póki nie ustało. A kobiety bliskie roz-



wiązania układano w najdalszej izbie i pod najcięższe pierzyny; ale one słyszały, słyszały tak, jakby to było w ich własnym żywocie<sup>15</sup>, i błagały, aby im także pozwolono wstać, i przychodziły białe i szerokie, i ze swymi zamazanymi twarzami przysiadały się do drugich. A krowy, które cielily się w ów czas, były bezradne i zamknięte, a któregoś wyrwano z brzucha martwy płód razem z jelitami, kiedy nie chciał wyjść sam. I wszyscy pracę powszednią wykonywali źle i zapominali zwieźć siano, ponieważ za dnia lękali się nocy, a częstym czuwaniem i pełnymi strachu przebudzeniami tak byli przemęczeni, że nic sobie przypomnieć nie mogli. A kiedy w niedzielę szli do białego, pogodnego kościoła, modlili się, aby już nie było pana na Ullsgaardzie: ten bowiem był strasznym panem. A wszystko to, co myśleli i o co się modlili, ksiądz mówił głośno z ambony, bo i on już nie miał żadnych nocy i Boga pojąć nie mógł. I to samo mówił dzwon, co doczekał się potężnego rywala, grzmiącego całą noc, na któ-

---

<sup>15</sup>żywot (daw.) — brzuch, łono. [przypis edytorski]

rego rady nie było, nawet gdy dzwon rozdzwo-  
nił się pełnym spizem. Tak wszyscy to mówili,  
a był jeden wśród młodzieńców, który sen  
miał, że poszedł do pałacu i dziedzica zabił wi-  
dłami od gnoju — i wzburzenie było tak wiel-  
kie, tak ostateczne, tak przedrażnione, że słu-  
chali wszyscy, kiedy opowiadał swój sen, i nie-  
świadomie spojerali nań, czy aby był zdolny  
do takiego czynu.

Tak czuła i mówiła cała okolica, która kil-  
ka jeszcze tygodni temu miała dla szambelana  
miłującą litość. Ale chociaż tak mówiono, nie  
zmieniało się nic. Śmierć Krzysztofa Detlefa,  
mieszkająca w pałacu Ulsgaard, nie pozwala-  
ła się naglić. Przyszła na dziesięć tygodni i tak  
też długo pozostała. A w tym czasie więcej była  
panem, niż panem był kiedykolwiek Krzysztof  
Detlef Brigge, była jak król, którego nazywają  
Groźnym później i zawsze.

Nie była to śmierć z pierwszej lepszej pu-  
chliny, to była zła, książęca śmierć, którą sham-  
belan przez całe życie nosił w sobie i z siebie

żywił. Cały nadmiar dumy, woli i magnackiej siły, jakiego w spokojnych nawet dniach szambelan zużyć nie mógł, przeszedł na tę śmierć, na tę śmierć, która teraz siedziała w Ulsgaardzie i trwonila.

Jakim wzrokiem spojrzełby szambelan Briggge na kogoś, kto by odeń zażądał umierania inną śmiercią niż ta właśnie! Umarł ciężką swoją śmiercią.

A gdy myślę o tych innych, których widziałem lub o których słyszałem: zawsze to samo. Wszyscy oni mieli własną śmierć. Ci mężowie, którzy ją nosili w zbroi, wewnątrz, jak więźnia, te kobiety, co stawały się stare i małe i potem na olbrzymim łożu, niby na otwartej scenie, wobec całej rodziny, służby i psów, dyskretnie i po magnacku oddawały ducha. I dzieci, nawet najmniejsze, miały nie jakąkolwiek dziecięcą śmierć — lecz skupiały się w sobie i umierały tym, czym już były, i tym, co byłoby z nich wyrosło.

A jaką to nadawało piękność melancholijną kobietom, kiedy w ciąży były i stały, a w ich wielkim łonie, na którym mimowolnie spoczęły wąskie ręce, były dwa płody: jedno dziecko i jedna śmierć. Czy ten gęsty, prawie pożywny uśmiech w ich zupełnie wyprzątniętej twarzy nie pochodził z przypuszczenia, że tamte rosną, jedno i drugie?

Zaradziłem coś na strach. Siedziałem całą noc i pisałem, a teraz jestem zmęczony jak po dalekim marszu po polach Ulsgaardu. Ciężko jest jednak pomyśleć, że tego wszystkiego już nie ma, że obcy ludzie mieszkają w starym długim dworze. Może być, że w białej komnacie na górze, pod szczytem, teraz śpią dziewczki, swój ciężki sen wilgotny śpią od wieczora do rana.

I nie ma się nikogo i nic, i jeździ się po świecie z walizką i z pudłem książek, i właściwie bez ciekawości. Co to właściwie za życie: bez domu, bez odziedziczonych rzeczy, bez psów. Gdyby się miało przynajmniej wspomnienia.

Ale kto je ma? Gdyby dzieciństwo było, ale jest jak pogrzebane. Może trzeba być starym, aby osiągnąć tego wszystkiego? Dobrze to chyba być starym.

Dzisiaj był piękny jesienny ranek. Szedłem przez Tuilerie<sup>16</sup>. Wszystko, co było na wschód, pod słońce, raziło. Strona oświetlona była obwieszona mgłą jak jasnoszarą zasłoną. Szare w szarym wygrzewały się w słońcu posągi w nie odsłoniętych jeszcze ogrodach. Pojedyncze kwiaty wstawały w podłużnych klombach i mówiły: *Rouge*<sup>17</sup>! głosem wystraszonym. Potem nadszedł bardzo wysoki, szczupły człowiek zza rogu od strony Champs-Elysées; niósł szczudło, ale już nie wsunięte pod pachę — trzymał je przed sobą, lekko, a niekiedy uderzał nim o ziemię silnie i głośno, jak laską herolda. Nie mógł powstrzymać uśmiechu radości i uśmiechał się wskroś wszystkiego ku słońcu, ku kwiatom. Krok miał

---

<sup>16</sup>*Tuilerie* — dzielnica Paryża między Luwrem a Sekwaną, znana z ogrodów.  
[przypis edytorski]

<sup>17</sup>*rouge* (fr.) — czerwony. [przypis edytorski]

nieśmiały, jak krok dziecka, ale lekki niezwykle, pełen wspomnień dawnego chodzenia.

Czego to taki mały księżyc nie potrafi! Są dni, kiedy wszystko wokół człowieka jest światłe, lekkie, zaledwie napomknięte w jasnym świetle, a jednak wyraźne. Najbliższe rzeczy mają już tony dali, ktoś je zabrał i tylko ukazał, nie podał; a co odnosi się do dali: rzeka, mosty, długie ulice i place, i wszystko, co rozrzutnością oddycha, to ustawiło tę dal za sobą; jest na niej malowane jak na jedwabiu. Nie sposób wyrazić, czym może być wtedy jasnozielony wóz na Pont-Neuf albo cośkolwiek czerwonego, co nie da się powstrzymać, albo chociażby tylko afisz na ognistym murze perłowszarszej grupy domów. Wszystko jest uproszczone, sprowadzone do kilku trafnych, jasnych płaszczyzn jak twarz na obrazie Maneta<sup>18</sup>. I nic nie jest marne ani zbędne. Antykwariusze nad kanałem otwierają swoje witryny — i świeża lub

---

<sup>18</sup>*Manet, Edouard* (1832–1883) — malarz francuski, powiązany z ruchem impresjonistów. [przypis edytorski]

spłowiała żółtość ksiązek, liliowy brąz tomów, większa zieleń jakiejś teki: wszystko jest w porządku, jest ważne, ma udział i tworzy pełnię, w której nie brak nic.

Na dole jest takie zestawienie: kobieta pcha mały wózek; na przedzie katarynka ustawiona wzdłuż. Za nią w poprzek dziecięcy koszyk, w którym maleństwo stoi silnie na nogach, rozpromienione, w czepku, i nie pozwala się posadzić. Od czasu do czasu kobieta kręci katarynkę. Maleństwo wtedy natychmiast podnosi się znowu tupiąc w swym koszyku, a dziewczynka w zielonej odświętnej sukience tańczy i bije w tamburino ku górnym oknom.

Sądzę, że powinienem zacząć jakąś pracę, teraz, kiedy uczę się patrzeć. Mam dwadzieścia osiem lat i właściwie nic się nie stało. Powtórzmy: napisałem o Carpacciu<sup>19</sup> studium, które jest złe, dramat, który się zwie *Małżeństwo* i coś

---

<sup>19</sup>*Carpaccio, Vittore* (1465–1526) — malarz włoski, przedstawiciel szkoły weneckiej. [przypis edytorski]

falszywego usiłuje dowieść dwuznacznymi środkami, i poezje. Ach, te poezje to takie nic, kiedy się je pisze za młodu. Powinno się z tym czekać i gromadzić sens i słodycz przez całe jedno życie, i to długie o ile możliwości, a potem na samym końcu, może potem mogłoby się napisać dziesięć dobrych wierszy.

Poezje nie są bowiem, jak ludzie sądzą, uczuciami (uczucia miewa się dość wcześnie) — są doświadczeniami. Gwoli jednej strofy trzeba wiele miast zobaczyć, ludzi i rzeczy, trzeba znać zwierzęta, trzeba czuć, jak latają ptaki, i znać gest, z jakim małe kwiaty otwierają się o świcie. Trzeba umieć myśleć wstecz o drogach w nieznanym stronach, o niespodzianych spotkaniach i rozstaniach, których nadejście widziało się dawno — o dniach dzieciństwa jeszcze nie wyjaśnionych, o rodzicach, których się martwić musiało, skoro dziecku radość nieśli, a dziecko jej nie rozumiało (była to radość dla kogoś innego), o dziecięcych chorobach, co poczynają się tak dziwnie w tyłu ciężkich i głębokich



przemianach, o dniach w cichych, bezszmer-  
nych izbach i o rankach nad morzem, o morzu  
w ogóle, o morzach, o nocach podróżniczych,  
co w dal szumiały hen w górze i z wszystki-  
mi gnały gwiazdami — a to jeszcze nie dosyć,  
jeżeli komuś wolno myśleć o tym wszystkim!  
Trzeba mieć wspomnienia wielu nocy miło-  
snych, z których żadna nie była równa dru-  
giej, krzyku rodzących i wspomnienia lekkich,  
białych, śpiących położnic, które się zamyka-  
ją. Ale i przy konających trzeba było spędzać  
czas, przy zmarłych trzeba było siedzieć w izbie  
z otwartym oknem i miarowymi szmerami. A nie  
wystarcza i to jeszcze, że się ma wspomnienia.  
Trzeba je umieć zapomnieć, jeśli jest ich wie-  
le, i trzeba mieć tę wielką cierpliwość czeka-  
nia, póki nie wrócą. Bo wspomnienia same to  
jeszcze nie to. Dopiero kiedy krwią się staną  
w nas, spojrzeniem i gestem, czymś bezimien-  
nym i nie dającym się odróżnić od nas samych,  
dopiero wtenczas zdarzyć się może, iż w jakiejś  
bardzo odosobnionej godzinie pierwsze słowo  
poezji wstanie pośrodku nich i z nich wyjdzie.

Wszystkie natomiast moje poezje w inny sposób powstały i dlatego nie są żadnymi.

A kiedy pisałem dramat, jakże jam wtedy błądził! Czy naśladowcą byłem lub błaznem, że potrzeba mi było kogoś Trzeciego, by opowiadać o losie dwojga ludzi, którzy sobie nawzajem utrudniali życie? Jak łatwo wpadłem w pułapkę. A powinienem był przecież wiedzieć, że ten Trzeci, który idzie przez wszystkie życia i literatury — że ten upiór jakiegoś Trzeciego, który nie istniał nigdy, nie ma znaczenia, że go trzeba negować. Należy on do pretekstów natury, która wiecznie usiłuje odwieść uwagę ludzi od swych najgłębszych tajemnic. On jest parawanem, za którym odgrywa się dramat. On jest hałasem u wejścia do bezgłośnej ciszy istotnego konfliktu. Można by sądzić, że wszystkim było dotąd za trudno mówić o tych dwojgu, o których chodzi; ów Trzeci, właśnie ponieważ jest tak nierzeczywisty, jest łatwą stroną zadania, umieli go wszyscy. Na samym początku ich dramatów czuje się niecierpliwość dojścia do tego Trzeciego, trud-

no się go doczekać. Skoro on się zjawia, wszystko jest dobrze. Lecz jakaż nuda, kiedy on się spóźnia, nic się dziać nie może bez niego, wszystko staje, tamuje się, czeka. A nużby się na tym zatrzymaniu i zastoju skończyło? A nuż, panie dramaturgu, i ty, publiczności, która znasz życie, a nuż on zaginie bez wieści, ten ulubiony *viveur*<sup>20</sup> albo ten zarozumiały młodzieniec, co każde małżeństwo otwiera jak wytrych? A nużby jego, na przykład, diabli wzięli? Przypuśćmy. Czuje się nagle sztuczną pustkę teatrów, zamurówuje się je, jak niebezpieczne dziury, tylko mole z krawędzi łóż tłuką się w beznadziejnej próżni. Dla autorów dramatycznych skończyło się używanie w wytwornych willach. Całe publiczne węszyćielstwo szuka dla nich w odległych krajach tego jednego niezbędnego, który był akcją samą.

A tymczasem oni mieszkają wśród ludzi, nie ci Trzeci, ale ci dwoje, o których można by mówić tak nieskończenie wiele, o których jesz-

---

<sup>20</sup>*viveur* (fr.) — człowiek korzystający z życia. [przypis edytorski]

cze nigdy nic nie powiedziano, mimo że cierpią i działają, i rady sobie dać nie mogą.

Śmieszne to. Siedzę tu w moim pokoiku, ja, Brigge, który skończył dwadzieścia osiem lat i o którym nikt nic nie wie. Siedzę tu i jestem niczym. A jednak — to nic zaczyna myśleć i myśli, na wyżynie piątego piętra, pewnego szarego paryskiego popołudnia taką myśl:

Czy to być może — myśli — że się jeszcze nic rzeczywistego ani ważnego nie widziało, ani poznało, ani rzekło? Czy to być może, iż przez tysiące lat miało się czas patrzeć, myśleć i spisywać — i że się te tysiące lat spędziło jak pauzę szkolną, w której zjada się kromkę chleba i jabłko?

Tak, to może być.

Czy to być może, iż mimo wynalazków i postępu, mimo kultury, religii i mądrości świata pozostało się na powierzchni życia? Czy być może, iż tę nawet powierzchnię, która ostatecznie jednak byłaby czymś, pokryło się niesłychanie nudnym materiałem, skutkiem cze-

go wygląda jak salonowe meble podczas letnich wakacji?

Tak, to może być.

Czy to może być, że całą historię świata rozumiano fałszywie? Czy to być może, iż przeszłość jest fałszywa, gdyż zawsze mówiono o jej masach tak, jak gdyby opowiadano o zbiegowisku licznych ludzi, zamiast mówić o tym jednym, wkoło którego stali, ponieważ był obcy i umarł?

Tak, to może być.

Czy to być może, iż mniemano, że trzeba dogonić to, co się wydarzyło, zanim się przyszło na świat? Czy to może być, że trzeba było przypominać każdemu, iż powstał z wszystkich poprzednich ludzi, że on to wie i dlatego nic nie powinien sobie pozwolić wmówić tym, którzy wiedzą co innego?

Tak, to może być.

Czy to może być, że wszyscy ci ludzie znają najdokładniej przeszłość, której nie było nigdy? Czy może być, że wszystkie rzeczywistości nie są niczym dla nich? Że życie ich upływa

niezwiązane z niczym, jak zegar w pustym pokoju?

Tak, to może być.

Czy to może być, że się nic nie wie o tych dziewczynach, które przecie żyją? Że mówi się: „kobiety”, „dzieci”, „chłopcy”, a nie przeczuwa się (nie ma się pojęcia mimo całego wykształcenia), że słowa te już dawno nie mają liczby mnogiej, a tylko niezliczone liczby pojedyncze?

Tak, to może być.

Czy to być może, iż są ludzie mówiący „Bóg” i myślący, że to jest coś wspólnego? — I spójrz na dwoje dzieci szkolnych: kupi sobie jeden scyzoryk, a sąsiad kupi sobie taki sam tego samego dnia. I pokazują sobie po tygodniu te dwa scyzoryki, i widać, że już bardzo mało są podobne do siebie — tak odmiennie rozwinęły się w odmiennych rękach. (Tak — powie na to jedna z matek — bo wy zawsze wszystko musicie od razu zużyć.) Więc tak: czy możliwe jest przypuszczenie, że można mieć Boga, nie zużywając Go?

Tak, jest możliwe.

Jeżeli wszakże wszystko to jest możliwe, jeżeli ma choć szczyptę możliwości — to wtedy, na miłość boską, musi się coś stać!

Pierwszy z brzegu, ten, który miał tę myśl niepokojącą, musi zacząć robić coś z tych zaniedbanych rzeczy; choćby tylko był kimkolwiek, bynajmniej nie najodpowiedniejszym: po prostu innego nie ma. Ten młody, byle jaki cudzoziemiec Brigge będzie musiał usiąść na piątym piętrze i pisać dzień i noc: tak, będzie musiał pisać, na tym się skończy.

Dwanaście chyba lat miałem w tych czasach albo trzynaście co najwyżej. Ojciec zabrał mnie z sobą do Urne. Nie wiem, co go skłoniło do odwiedzenia teścia. Ci dwaj ludzie nie widzieli się od wielu lat, od czasu śmierci mej matki, a nawet mój ojciec jeszcze nigdy nie był w starym zamku, w którym hrabia Brahe zamknął się dopiero w podeszłych latach. Osobliwego tego domu nigdy później nie ujrzałem; po śmierci mego dziadka przeszedł w obce ręce. To, co odnajduję w dziecięco ukształtowa-

nym wspomnieniu, nie jest budynkiem; jest we mnie zupełnie pokawałkowane: tu komnata, ówdzie komnata, a tam kawał korytarza, który nie łączy dwu tych komnat, lecz zachowany jest sam w sobie jako fragment. W ten sposób wszystko we mnie jest rozsypane — pokoje, schody, opuszczające się z tyłu cegielkami, i inne wąskie, kręcone schodki, a w ich ciemnicy szło się tak, jak krew idzie w żyłach; izdebki na wieży, wysoko zawieszony balkony, niespodziane altany, na które wpadało się ni stąd, ni zowąd z jakichś małych drzwi; wszystko to jest jeszcze we mnie i nigdy nie przestanie być. Obraz tego domu runął niejako we mnie z nieskończonej wyżyny i na dnie moim rozstrzaskał się.

Zupełnie utrzymana w moim sercu jest, jak się zdaje, tylko ta sala, w której zbieraliśmy się na obiad, codziennie o siódmej wieczorem. Nigdy tej komnaty nie widziałem za dnia, nie przypominam sobie nawet, czy miała okna i na co wychodziły; kiedy schodziła się rodzina, zawsze już świece jarzyły się w ciężkich kan-



delabrach — i po kilku minutach zapominało się o czasie i o wszystkim, co się widziało na dworze. Wysoka i, jak się domyślam, sklepio-  
na ta przestrzeń była mocniejsza nad wszystko; ciemniącym stropem i nigdy do cna nie wyjaśnionymi kątami wysysała z człowieka wszystkie obrazy, nie dając w zamian nic określonego. Siedziałeś tam nieobecny duchem; bez żadnej woli, bez opamiętania, bez chęci, bez sprzeciwu. Byłeś jak puste miejsce.

Przypominam sobie, że ten nieznośny nastrój przyprawiał mnie zrazu niemal o mdłości, o coś w rodzaju morskiej choroby, którą przewyciężyć umiałem tylko w ten sposób, że wyciągałem nogę, aż czubkiem trąciłem kolano ojca siedzącego naprzeciw mnie. Później dopiero uderzyło mnie to, że ojciec dziwne to zachowanie zdawał się rozumieć, czy przynajmniej znosić, choć był między nami stosunek raczej chłodny, nieusprawiedliwiający podobnej poufałości. Tymczasem właśnie owo lekkie dotknięcie dawało mi siłę przetrwania długich obiadów. I po kilku tygodniach kurczo-

wych zmaganiań tak dalece przywykłem, dzięki nieograniczonej wprost, dziecięcej zdolności przystosowania się do niesamowitości tych schadzek, że już bez wysiłku potrafiłem siedzieć po dwie godziny przy stole; teraz mijały one dość nawet szybko, bo zajmowała mnie obserwacja obecnych.

Dziadek mój nazywał to „rodziną”, a słyszałem nawet u drugich to zupełnie dowolne wyrażenie. Chociaż bowiem czworo tych ludzi spowinowaconych było w odległym stopniu, nic a nic ich jednak nie łączyło. Stryj, siedzący obok mnie, był to człowiek stary, o twardej, ogorzałej<sup>21</sup> twarzy z kilku czarnymi plamami — pozostałością, jak się dowiedziałem, od eksplozji ładunku prochowego; mruk ten i malkontent podał się jako major do dymisji — i teraz w nie znanej mi izbie pałacu robił doświadczenia alchemiczne, a prócz tego, według opowiadań służby, utrzymywał stosunki z jakimś więzieniem, skąd mu raz albo dwa razy

---

<sup>21</sup>*ogorzały* — o cerze ściemniałej wskutek częstego przebywania na słońcu.  
[przypis edytorski]

do roku przysyłano zwłoki. Zamykał się z nimi na całe dni i noce, krajał i preparował w tajemniczy sposób, zabezpieczając od rozkładu.

Naprzeciwko siadywała przy stole panna Matylda Brahe. Osoba w nieokreślonym wieku — daleka kuzynka mojej matki, a wiedzano o niej tylko tyle, że utrzymywała nader ożywioną korespondencję z pewnym austriackim spirytystą, który nazywał siebie baronem Nolde i któremu tak była oddana, że najmniejszej rzeczy nie umiała zdziałać bez uprzedniego uzyskania jego zgody lub raczej czegoś w rodzaju błogosławieństwa. W tych czasach była niezwykle otyła, o miękkiej, leniwej tuszy, jakby wlanej nieuważnie w luźne, jasne suknie. Ruchy miała zmęczone i niewyraźne, a oczy nieustannie przepełnione łzami. A jednak było w niej coś, co mi przypominało moją cichą, wiotką matkę. Im dłużej obserwowałem ją, tym więcej odnajdywałem w jej twarzy owych delikatnych i cichych rysów, których od śmierci matki nigdy sobie wyraźnie przypomnieć nie mogłem; teraz dopiero, kiedy widywałem codziennie Ma-

tyldę Brahe, wiedziałem znowu, jak wyglądała nieboszczka; tak, wiedziałem to może po raz pierwszy. Teraz dopiero z setek i tysięcy szczegółów układałem w sobie obraz zmarłej, ów obraz, który mi wszędzie towarzyszy. Później wyjaśniło mi się, że w twarzy panny Brahe istotnie były wszystkie szczegóły, określające rysy mej matki — tylko że coś jak cudze oblicze stanęło w poprzek tych rysów, roztrąciło je, powyginało i zatraciło ich łączność.

Obok tej damy siadywał synek pewnej kuzynki, chłopiec mniej więcej w moim wieku, ale mniejszy i węższy. Z pomarszczonej kryzy wyrastała cienka, blada szyja i ginęła pod długim podbródkiem. Wargi miał wąskie i zaciśnięte, nozdrza drgały lekko, a z pięknych ciemnych oczu jedno tylko było ruchome. Patrzyło ku mnie czasem spokojnie i smutno, a drugie tymczasem utkwione było w zawsze ten sam kąt, jak gdyby już było sprzedane i poza nawiasem.

Na drugim końcu stołu stał olbrzymi fotel mego dziadka, przysuwany przez lokaja, który

poza tym nie miał żadnej roboty. W tym fotelu starzec zajmował tylko małą część miejsca. Byli ludzie, którzy głuchawego despotę nazywali ekscelencją i marszałkiem, inni dawali mu tytuł generała. I pewnie też naprawdę miał prawo do wszystkich tych godności, ale to sprawowanie urzędów minęło już tak dawno, że tytuły podobne nie bardzo już były zrozumiałe. Mnie się w ogóle wydawało, że do tej tak w pewnych chwilach ostrej, a jednak i nieokreślonej osobistości nie da się przyczepić żadne imię. Zdecydować się nigdy nie mogłem, żeby go nazwać dziadkiem, chociaż bywał niekiedy uprzejmy dla mnie, wołał mnie nawet do siebie, przy czym imię moje starał się zabawić żartobliwym tonem. Zresztą cała rodzina wobec hrabiego okazywała cześć i lęk zarazem, tylko mały Eryk poniekąd poufalił się ze zgrzybiałym panem domu; jego ruchome oko rzucało niekiedy szybkie, porozumiewawcze spojrzenia, na które starzec odpowiadał z równą szybkością. Czasami też podczas długich popołudni widywano ich, jak wyłaniali się na koń-

cu głębokiej galerii, jak trzymając się za ręce szli wzdłuż starych ciemnych portretów, nic nie mówiąc, snadź<sup>22</sup> porozumiewając się w inny sposób.

Ja spędzałem całe dni w parku i daleko w lasach bukowych albo na wrzosowiskach. A były na szczęście w Urne psy, które mi towarzyszyły; był tu i ówdzie domek dzierżawcy czy folwark, gdzie dostać mogłem mleka i chleba, i owoców, a zdaje mi się, że wolności używałem dość swobodnie, nie dając się zastraszyć, przynajmniej w najbliższych tygodniach, myślą o wieczornych biesiadach. Nie rozmawiałem prawie z nikim, bo samotność radowała mnie szczerze. Z psami tylko trochę gadałem od czasu do czasu; rozumieliśmy się wyśmienicie. Zresztą milkliwość była poniekąd przymiotem rodzinnym, znałem ją u ojca i nie dziwiłem się, że przy wieczerzach nie mówiło się prawie nic.

W pierwszych co prawda dniach po naszym przyjeździe panna Matylda okazywała znacz-

---

<sup>22</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

ną rozmowność. Pytała ojca o dawnych znajomych z zagranicznych miast, przypominała odległe wrażenia, wzruszała sama siebie do łez, wspominając zmarłe przyjaciółki i pewnego młodzieńca, o którym napomknęła, że się w niej kochał, a ona nie chciała reagować na to gorące i beznadziejne uczucie.

Ojciec mój słuchał uprzejmie, raz po raz kiwał potakująco głową i odpowiadał tylko najkonieczniejszymi słowami. Hrabia na końcu stołu uśmiechał się bez przerwy, obwisłymi wargami, twarz jego wydawała się większa niż zwykle, jak gdyby miał maskę. Sam się zresztą czasem odzywał, przy czym głos jego nie odnosił się do nikogo, ale słyszać go było, choć mówił bardzo cicho, w całej sali. Głos ten miał coś z jednostajnego, obojętnego tykania zegara; cisza dookolna jak gdyby miała swój własny pusty rezonans, dla każdej sylaby ten sam.

Hrabia Brahe za szczególną grzeczność w stosunku do mego ojca poczytywał sobie rozmowy o jego nieboszczce żonie, mojej matce. Nazywał ją hrabiną Sybillą, a wszystkie jego zda-

nia kończyły się, jakby o nią pytał. Nawet zdawało mi się, sam nie wiem dlaczego, że mowa o bardzo młodej, białej dziewczynie, która la-da chwila mogłaby tu wejść. W tym samym również tonie słyszałem go mówiącego o „naszej małej Annie Zosi”. A gdy pewnego dnia zapytałem o tę panienkę, którą tak szczególnie lubił dziadek, dowiedziałem się, że miał na myśli córkę Wielkiego Kanclerza Konrada Re-ventlow, świętej pamięci małżonkę Fryderyka Czwartego, od półtora z górą wieku wiecznym spokojem odpoczywającą w Roskilde. Zmiany czasu niczym były dla niego, śmierć była epizod- dzikiem bez znaczenia, osoby, raz przyjęte do jego wspomnień, istniały, a zgon ich nic abso- lutnie zmienić nie mógł.

W wiele lat potem, już po śmierci starusz- ka, opowiadano sobie, jak z tym samym upo- rem odczuwał przyszłość jako coś terażniejsze- go. Podobno kiedyś pewnej młodej damie opo- wiadano o jej synach, przede wszystkim o po- dróżach jednego z tych synów, podczas gdy owa dama, znajdującą się właśnie w trzecim mie-



siącu swojej pierwszej ciąży, bliska zemdlenia z przerażenia i strachu siedziała obok rozgadanego jegomościa.

Ale zaczęło się od tego, że ja się roześmiałem. Śmiałem się nawet głośno i nie mogłem się uspokoić. Pewnego wieczora brak było panny Matyldy. Stary, prawie zupełnie ślepy lokaj podszedł do jej miejsca i podał usłudze półmisek. Przez chwilę tak stał; potem zadowolony odszedł dostojnie i podawał dalej, jak gdyby nic nie zaszło. Obserwowałem tę scenę i w momencie, kiedy na nią patrzałem, wcale nie wydała mi się komiczną. Ale po pewnej chwili, właśnie gdy miałem pełne usta, porwał mnie śmiech tak raptowny, że zachłysnąłem się i narobiłem szalonej wrzawy. I chociaż sytuacja mnie samemu była nader przykra, choć wszelkimi sposobami starałem się odzyskać powagę — śmiech wielkimi falami zalewał mnie raz po raz i najzupełniej mną zawładnął.

Ojciec, chcąc pokryć moje zachowanie, spytał swym płaskim, stłumionym głosem:

— Czy Matylda chora?

Dziadek uśmiechnął się na swój sposób, po czym odpowiedział zdaniem, na które, zbyt będąc zajęty sobą, nie zwróciłem uwagi, a które brzmiało mniej więcej tak:

— Nie, tylko nie chce spotkać się z Krystyną.

Więc też nie poczytywałem<sup>23</sup> tego za skutek jego słów, że mój sąsiad, śniady major, wstał i mrużąc niewyraźnie „przepraszam”, z ukłonem w stronę hrabiego opuścił salę. Uderzyło mnie tylko, że za plecami pana domu raz jeszcze odwrócił się w drzwiach, dając zapraszające i potakujące znaki małemu Erykowi, a ku memu największemu zdumieniu także i mnie, jak gdyby nas zachęcał do wyjścia razem z nim.

Byłem tak zaskoczony, że śmiech nagle przestał mnie męczyć. Zresztą już na majora nie zwracałem uwagi; nie lubiłem go, a przy tym spostrzegłem, że i Eryk nie patrzy na niego.

Wieczera wlokła się dalej jak zwykle i już podawano deser, kiedy uwagę moją zajął ruch,

---

<sup>23</sup>poczytywać (daw.) — uznawać. [przypis edytorski]

poczynający się w głębi sali, w półcieniu. Tam w kącie z wolna rozwarły się drzwi, według mego przekonania wiecznie zamknięte, o których opowiadano mi, że prowadzą na półpiętrze — i nagle oto, kiedy z nowym dla mnie zgoła<sup>24</sup> uczuciem ciekawości i zdumienia wytrzeszczałem oczy, w czerni otworu pojawiła się smukła, jasno ubrana postać kobieca, z wolna przybliżająca się ku nam.

Nie wiem, czy zrobiłem ruch jaki, czy wydałem głos — łoskot przewróconego krzesła oderwał mój wzrok od osobliwej postaci. Ujrzałem ojca, który zerwał się — i teraz, blady jak ściana, z zaciśniętymi, zwisającymi pięściami szedł prosto na zjawę.

Ona tymczasem, obojętna zupełnie na tę scenę, sunęła ku nam, krok za krokiem — i już była niedaleko miejsca hrabiego, kiedy ów poderwał się nagłym ruchem, ojca złapał za rękę, pociągnął wstecz do stołu i trzymał. Obca dama wolno i obojętnie szła przez opustoszałą przestrzeń, krok za krokiem, wśród nieopisa-

---

<sup>24</sup>*zgoła* (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

nej ciszy (a tylko gdzieś z drzeniem zabrzączało szkło), i w jakichś drzwiach przeciwległej ściany zniknęła. W tej sekundzie spostrzegłem, że to mały Eryk z głębokim ukłonem zamknął te drzwi za nieznajomą.

Ja jeden do tej chwili siedziałem przy stole. Taki na moim krześle zrobiłem się ciężki, że miałem uczucie, jakbym nie był nigdy już zdolny podnieść się sam. Przez chwilę patrzyłem nie widząc. Wtem przypomniałem sobie ojca i zauważyłem, że starzec wciąż jeszcze trzyma go za rękę. Twarz ojca była teraz gniewna, krwią nabrzmiała, ale dziadek, palce jak białe pazury wpijając w dłoń ojca, uśmiechał się swoim sztucznym uśmiechem.

Słyszałem potem, że coś mówił zgłoskę po zgłosce, a nie pojmowałem treści słów. Wraziły mi się jednak głęboko w słuch, bo po jakich dwu latach odnalazłem je nagle na dnie pamięci i odtąd je znam.

Rzekł:

— Krewki jesteś, szambelanie, i nieprzy-  
stojny. Czegóż nie puszczasz ludzi do ich zajęć?

— Kto to jest?! — przekrzykiwał ojciec.

— Ktoś, kto ma prawo pono<sup>25</sup> być tu. Nikt obcy. Krystyna Brahe.

Tu nastąpiła znowu ta dziwna, rozrzedzona cisza — i znowu zabrzęczało szkło. Wtem ojciec jednym szarpnięciem wyrwał się i jak szalony wypadł z sali.

Całą noc słyszałem, jak chodził tam i sam po swym pokoju. Bo i ja spać nie mogłem. Lecz nagle nad ranem zbudziłem się jednak z czegoś, jak ze snu. Z przerażeniem, które ścięło mi krew do ostatniej kropli, zobaczyłem coś białego, siedzącego przy moim łóżku. Straszna rozpacz dała mi wreszcie siłę zagrzebania głowy pod kołdrę i tam w bezradnym strachu począłem płakać.

Nagle nad zapłakanyimi oczami zrobiło mi się chłodno i jasno. Zacisnąłem je, całe we łzach, żeby nie widzieć nic. Lecz głos, który oto tuż przemawiał do mnie, muskał mi twarz ciepło i słodko — i poznałem go: był to panny Matyldy głos.

---

<sup>25</sup>*pono* (daw.) — podobno. [przypis edytorski]

Uspokoilem się natychmiast. I nawet kiedy już byłem do cna spokojny, pozwalałem się wciąż jeszcze pocieszać. Czułem wprawdzie, że dobroć ta była zbyt mdła, ale raczyłem się nią jednak i miałem wrażenie, że jakoś na nią zasłużyłem.

— Ciociu — rzekłem wreszcie, usiłując z jej rozpląniętej twarzy wydobyć rysy matki. — Ciociu, kto to był ta dama?

— Ach — odrzekła panna Matylda z westchnieniem, które mi się wydało dziwne — kobieta nieszczęśliwa, moje dziecko, nieszczęśliwa.

Tego dnia rano zauważyłem w jednym pokoju kilku służących zajętych pakowaniem rzeczy. Pomyślałem, że wyjedziemy, uważałem to za zupełnie naturalne, że teraz wyjedziemy. Może i taki był zamiar ojca. Nie wiem, co go skłoniło, że po tym wieczorze jeszcze pozostał w Urne. Więc nie wyjechaliśmy. Całe osiem czy dziewięć tygodni jeszcze zostaliśmy w tym domu, znosiliśmy nacisk jego dziwów i trzy razy jeszcze widzieliśmy Krystynę Brahe.

Nic wtenczas nie wiedziałem o jej historii. Nie wiedziałem, że dawno, dawno temu umarła przy drugim porodzie, wydając na świat chłopca, co rósł ku ciężkim i okrutnym przeznaczeniom — nie wiedziałem, że była umarłą. Ale mój ojciec wiedział. Czy chciał się zmusić, on, który był tak namiętny i skłonny do jasnej konsekwencji, czy chciał się zmusić do wytrzymania tej przygody spokojnie i bez pytań? Nie pojmując, widziałem, jak walczył z sobą, nie rozumiejąc, przeżyłem chwilę, kiedy się ostatecznie opanował.

Było to wtedy, kiedy Krystynę widzieliśmy ostatni raz. Tym razem panna Matylda przyszła do stołu; ale była inna niż zwykle. Podobnie jak w pierwszych dniach po naszym przyjeździe, rozmawiała nieustannie bez określonego związku i mieszając się ustawicznie, a przy tym był w niej niepokój fizyczny, który sprawiał, że co chwila poprawiała sobie włosy lub suknie — aż nagle zerwała się z przenikliwym okrzykiem skargi i zniknęła.

W tej samej chwili zwróciłem spojrzenie mimowolnie ku wiadomym drzwiom i naprawdę Krystyna Brahe zjawiała się.

Sąsiad mój, major, zrobił ostry, krótki ruch, który udzielił się i mnie, ale najwidoczniej nie miał już siły wstać. Śniadą, starą, plamistą twarz obracał od jednych do drugich, usta miał otwarte, a język wił się za popsutymi zębami. Potem nagle ta twarz zniknęła i siwa głowa leżała na stole, ramiona jak w kawałach leżały na niej i pod nią, a gdzieś wyłoniła się zwiędła plamista ręka i dygotała.

I w tej chwili mijają nas Krystyna, krok za krokiem, powolnie jak chora, wśród ciszy nieopisanej, w którą wgryzł się jeden tylko jękliwy dźwięk, jak skowyt starego psa. Ale nagle po lewej stronie srebrnego łąbiedzia, pełnego narcyzów, wysunęła się wielka maska starca z szarym swoim uśmiechem. Kielich wina podniósł w stronę ojca. I oto ujrzałem, jak ojciec w chwili, kiedy Krystyna przesuwiała się za jego krzesłem, sięgnął po swój kielich i uniósł



go, jak coś bardzo ciężkiego, na trzy cale ponad stół. I tejże samej nocy wyjechaliśmy.

Siedzę i czytam poetę. Wielu jest ludzi w sali, ale nie czuje się ich. Są w książkach. Czasem ruszają się wśród stronic jak ludzie, którzy śpią i obracają się między dwoma snami. Ach, jak to dobrze być pośród czytających ludzi. Cemu oni nie są zawsze tacy? Choćbyś podszedł do którego i dotknął go lekko: nie poczuje nic. A gdy wstając potrącisz sąsiada i przeprosisz go, skinie w stronę, z której posłyszał twój głos, twarz jego zwraca się ku tobie i nie widzi cię, a włosy jego są jak włosy śpiących. Jak to błogo!

A ja siedzę i mam poetę. Co za przeznaczenie. Jest oto w sali ze trzystu ludzi, którzy czytają; ale to nie jest możliwe, aby każdy poszczególny miał jednego poetę. (Bóg wie, co oni mają.) Trzystu poetów nie istnieje. Ale patrz, co za przeznaczenie: ja, może najmizerniejszy wśród tych czytających, ja, cudzoziemiec, ja mam poetę. Chociaż jestem ubogi. Choć

ubranie, które noszę co dzień, zaczyna świecić w różnych miejscach, choć moim butom można by zarzucić to i owo. Wprawdzie kołnierzyk mam czysty i bieliznę też — i mógłbym, tak jak jestem, pójść do pierwszej lepszej cukierni, przypośćmy na wielkich bulwarach, i mógłbym śmiało ręką sięgnąć do talerza z ciastkami. Nie widziano by w tym nic dziwnego, nie zwymyślano by mnie ani wyrzucono, bo jest to mimo wszystko ręka z wyższych sfer, ręka, którą się myje cztery czy pięć razy dziennie. Nawet za paznokciami nie ma nic, nie ma śladów atramentu, a przede wszystkim przeguby są bez zarzutu. Tak daleko ubodzy ludzie się nie myją, jest to fakt stwierdzony. Więc z czystości przegubów można snuć pewne wnioski. Wysnuwa się je, owszem. Wysnuwa się w sklepach. Ale jest jednak, na Boulevard Saint-Michel na przykład albo na rue Racine, parę istot, które nie dają sobie oczu zamydlić, które kpią sobie z przegubów. Tacy spojrzą na mnie i już wiedzą. Wiedzą, że właściwie to ja do nich należę, że tylko trochę błaznuję. Są przecież zapusty.

A oni nie chcą mi psuć zabawy; oni się tylko trochę uśmiechają szyderczo i mrugają oczami. Nikt tego nie widzi. Zresztą traktują mnie jak pana. A skoro tylko ktoś jest w pobliżu, no, to już płaszcą się przede mną. Kłaniają się, jakbym miał futro, a przed domem powóz. Niekiedy daję im dwa sous<sup>26</sup> i drzę, że nie przyjmą; ale przyjmują. I byłoby wszystko dobrze, gdyby nie to, że znów uśmiechają się i mrugają cichaczem.

Co to za ludzie? Czego chcą ode mnie? Czy na mnie czekają? Po czym poznają mnie? Prawda, wąsy mam nieco zaniedbane, a trochę, troszeczkę podobne są one do ich starych, chorych, spłowiałych bród, które zawsze na mnie robiły wrażenie. Ale czyż mi nie wolno zaniedbywać wąsów? Wielu zapracowanych ludzi to czyni, a nikomu się przecież nie śni zaliczać ich do wyrzutków. To bowiem jest mi jasne, że oni są wyrzutkami, nie żebracy tylko; nie, to właściwie nie są żebracy, trzeba rozróżniać. To są odpadki, łupiny ludzi wyplutych przez los.

---

<sup>26</sup>*sou* — drobna moneta francuska. [przypis edytorski]

Wilgotni od śliny losu przylepiają się do muru, do latarni, do plakatów na słupie albo ściekają z wolna wzdłuż uliczki, a za nimi ciągnie się ciemny, brudny ślad.

Czegóż u licha chciała ode mnie ta starucha, kiedy z szufladką od nocnego stolika, w której klekotało kilka igieł i guzików, wypęzła ku mnie z jakiejś nory? Dlaczego szła bez przerwy obok mnie i bacznie mnie śledziła? Jakby usiłowała poznać mnie mokrymi oczami, które wyglądały, jak gdyby ktoś chory napluł jej zielonego śluzu pod krwawe powieki.

I skąd wtedy owa szara kobiecina wpadła na pomysł stania u mego boku przed wystawą okienną przez kwadrans, pokazując mi stary, długi ołówek, wysuwający się nieskończenie powolnie z jej zniszczonych, zaciśniętych rąk? Udawałem, że przyglądam się wystawie i że nie widzę nic. Ale ona wiedziała, że ją spostrzegłem, wiedziała, że stałem rozmyślając, co ona takiego robi. Bo że nie mogło chodzić o ten ołówek, to rozumiałem dobrze, czułem, że to był znak, znak dla wtajemniczonych, znak, któ-

ry znają wyrzutki. Przeczuwałem, iż daje mi do zrozumienia, że gdzieś mam pójść czy coś uczynić. A co najdziwniejsze, że absolutnie nie mogłem pozbyć się uczucia, jakoby naprawdę istniała pewna umowa, do której przynależał ów znak, i jakoby ta scena była w istocie rzeczy czymś, czego powinienem się być spodziewać.

To było dwa tygodnie temu. Lecz teraz prawie nie mija żaden dzień bez takiego spotkania. Nie tylko o zmroku, ale w biały dzień, w najludniejszych ulicach zdarza się, że nagle stoi przede mną człowieczek albo staruszka, kiwa głową, coś mi pokazuje i znika, jak gdyby wszystko już było zrobione. Pewnego dnia mogłoby im się nawet zachcieć przyjść aż do mego pokoju, wiedzą na pewno, gdzie mieszkam, a oni już potrafią tak się urządzać, że ich konsjerżka<sup>27</sup> nie zatrzyma. Ale tu, moi mili, tu jestem bezpieczny przed wami. Idę trochę nieśmiały, co jest naturalne, ulicami, ale wreszcie staję przed drzwiami oszklonymi, otwieram je, jak gdybym był u siebie, u następnych drzwi

---

<sup>27</sup>konsjerżka (z fr.) — dozorczyń. [przypis edytorski]

pokazuję bilet (zupełnie tak samo, jak wy mi pokazujecie wasze rzeczy, z tą jeno różnicą, że u mnie wiadomo, co myślę), a potem jestem wśród książek, jestem wam zabrany, jak gdybym umarł, i siedzę, i czytam poetę.

Wy nie wiecie, co to jest — poeta?

Verlaine<sup>28</sup>...

Nic? Żadnych wspomnień? Nie.

Czy nie rozróżnialiście wśród tych, których znacie? Różnice dla was nie istnieją, to wiem. Ale poeta, którego czytam, to jest inny, nie mieszkający w Paryżu, zupełnie inny. Ktoś, kto ma cichy domek w górach. Taki brzmi, jak dzwon w czystym przestworzu. Szczęśliwy poeta, który o swoim oknie opowiada i o szybach szafy do książek, gdzie odbija się w zamyśleniu dobro, samotna dal. To jest właśnie ten poeta, którym chciałbym być, bo on tyle wie o dziewczynach, a ja też bym o nich wiedział wiele. On wie o dziewczynach, które żyły przed stu laty; to nic nie znaczy, że one nie żyją, bo on wie

---

<sup>28</sup>*Verlaine, Paul* (1844–1896) — francuski poeta, zaliczany do tzw. poetów wyklętych, przedstawiciel impresjonizmu w literaturze. [przypis edytorski]

wszystko. A to jest najważniejsze. On ich imiona wymawia, te ciche, smukło pisane imiona o przestarzałych zawijasach długich liter, i dorosłe imiona ich starszych przyjaciółek, w których rozbrzmiewa już drobina losu, szczypta rozczarowania i śmierci. Może w szufladce mahoniowego biurka ma on wyblakłe ich listy i luźne karty pamiątek, w których są imieniny, wycieczki letnie, imieniny. Albo może w brzuchatej komodzie w głębi jego sypialni jest szuflada, gdzie przechowano ich wiosenne suknie; białe sukienki, które się w czas Wielkiejnocy kładło po raz pierwszy, sukienki tiulowe w groszki, właściwie stosowne na lato, którego doczekać się nie można.

O, jakież los szczęśliwy, siedzieć tak w cichej izbie odziedziczonego domu wpośród samych spokojnych, zasiedziałych rzeczy i słyszeć na dworze w lekkim, seledynowym ogrodzie te pierwsze szczygły, które próbują, a w oddali zegar na wiejskim kościółku. Siedzieć i spoglądać na tę ciepłą smugę popołudniowego słońca, i wiele wiedzieć o dziewczynach, co prze-

minęły, i być poetą. I myśleć, że ja też stał-  
bym się takim poetą, gdyby mi danym było  
mieszkać gdziekolwiek, gdziekolwiek na świe-  
cie, w jednym z tych wielu zamkniętych wiej-  
skich domków, o które nikt się nie troszczy.  
Jednego tylko potrzeba by mi pokoju (słonecz-  
nego pokoju pod facjatą<sup>29</sup>). Tam mieszkałbym  
sobie z moimi gratami, wśród portretów ro-  
dzinnych, wśród książek. I fotel byłbym miał,  
i kwiaty, i psy, i sporą laskę na kamieniste dro-  
gi. I nic więcej. Tylko książkę, oprawną w żół-  
tawą skórę, w tonie kości słoniowej, z kwieci-  
stym starym wzorem od środka: w niej bym  
pisał. Pisałbym dużo, gdyż miałbym wiele my-  
śli i wspomnień o wielu.

Ale inaczej się stało, Bóg będzie wiedział,  
czemu. Moje stare meble gniją w stodole, w któ-  
rą pozwolono mi je wstawić, a ja sam, tak, mój  
Boże, ja nie mam dachu nad sobą, a deszcz pa-  
da mi w oczy.

---

<sup>29</sup>*facjata* — frontowa ściana kamienicy. [przypis edytorski]



Czasami przechodzę koło sklepików, gdzieś w okolicy rue de Seine. Handlarze starzyzny albo sztychów, albo starych książek z przepelnionymi wystawami. Nikt nigdy do nich nie zachodzi, widocznie mało zarabiają. Ale skoro zajrzesz do środka, siedzą tam, siedzą i czytają, bez kłopotu; nie troskają się o jutro, nie boją się niepowodzeń, mają psa, dobrze wytresowanego, który siedzi w nogach, albo kota, który ciszę czyni jeszcze większą, sunąc wzdłuż szeregu książek, jak gdyby napisy ścierał z grzbietów.

Ach, gdyby to starczyło: mam czasem ochotę kupić sobie taką przepelnioną wystawę książek i usiąść za nią z psem na dwadzieścia lat.

Dobrze jest powiedzieć głośno:

— Nic się nie stało.

Jeszcze raz:

Nic się nie stało.

Czy to pomaga?

Że mój piec znowu dymił i że musiałem wyjść z domu, to naprawdę nie jest tragedią.

Że czuję się zaziębiony i nieswój, to nic. Że cały dzień latałem po ulicach, to moja własna wina. Mogłem tak samo siedzieć w Luwrze. Lecz nie, nie mogłem. Tam są pewni ludzie, którzy się chcą ogrzać. Siedzą na pluszowych ławkach, a ich nogi stoją w rzędzie, jak wielkie puste buty, na kratkach kaloryferów. Są to bardzo skromni ludzie, którzy są wdzięczni, jeśli woźni w ciemnych mundurach pełnych orderów tolerują ich. Ale kiedy ja wchodzę, oni uśmiechają się wyzywająco, kiwając lekko głową. A potem, kiedy posuwam się wzdłuż obrazów, nie spuszczają mnie z oka, nie spuszczają mnie wcale z tego rozbełtanego, mętnie spłyniętego oka.

Dobrze zatem, że nie poszedłem do Luwru. Byłem bez przerwy w ruchu. Bóg wie, w ilu byłem dzielnicach, miastach, na ilu cmentarzach, mostach i wiaduktach. Kędyś widziałem człowieka, pchającego wózek z jarzynami. Krzyczał:

— *Chou-fleur*<sup>30</sup>, *chou-fleur*...

---

<sup>30</sup>*Chou-fleur* (fr.) — kalafior. [przypis edytorski]

To „fleur” z dziwnie zamąconym „eu.” Przy nim szła kanciasta, brzydka kobieta, trącając go od czasu do czasu. A kiedy go trącała, krzyczał. Czasami krzyczał też sam, ale wtedy krzyczał daremnie i zaraz potem musiał krzyczeć znowu, bo byli przed domem, który kupował. Czy mówiłem już, że był ślepy? Nie? A więc był ślepy. Ślepy był i krzyczał. Fałszuję, jeśli tak mówię, sprzeniewierzam ten wózek, który on pchał — udaję, że nie zauważyłem, jak anon-suje kalafiory. Ale czy to jest istotne? A gdyby nawet było istotne — czyż nie o to chodzi, czym cała ta rzecz była dla mnie? Widziałem starego człowieka, który ślepy był i krzyczał. To ja widziałem. Widziałem.

Czy kto uwierzy, iż są takie domy? Nie, ludzie powiedzą, że fałszuję. Tym razem jest to prawda, bez opuszczeń, oczywiście, i bez dodatków. Skądby mi się to miało wziąć? Wiadomo, że ubogi. Wiadomo. Domy? Ale chcąc być ścisłym, były to domy, których już nie było. Domy, które rozebrano od góry do dołu.

A istniały tylko te drugie domy, które stały obok tamtych, wysokie domy sąsiednie. Było niebezpieczeństwo oczywiste, że się przewrócą, skoro tuż obok pozabierano wszystko; całe bowiem rusztowanie z długich, wysmołowanych masztów wbite było skośnie między powierzchnię placu zasłanego gruzem a obnażony mur. Nie wiem, czy mówiłem już, że myślę o tej ścianie. Ale to nie była, że tak powiem, pierwsza ściana istniejących domów (co przecież można było przypuścić), lecz ostatnia ściana byłych domów. Widać było ich ścianę wewnętrzną. Widać było na poszczególnych piętrach ściany pokojów, a na nich przyklepione jeszcze tapety i tu, i ówdzie szczątki podłóg albo sufitów. Obok ścian pokojowych wzdłuż całego muru pozostało jeszcze brudnobiałe pasmo — i tędy pełzała w niesłychanie wstrętnych, miękkich jak glista, jakby trawiących ruchach otwarta, rdzawa rura klozetowa. Po szlakach, którymi szedł gaz świetlny, pozostały na brzegu sufitów szare, zapyłone ślady, które tu i tam zgoła niespodzianie skręcały okrągło i wbie-

gały w kolorową ścianę, gdzieś w dziurę wydar-  
tą czarno i bezwzględnie.

Najbardziej wszakże niezapomniane były sa-  
me te ściany. Twarde życie tych izb nie dało  
się zdeptać. Było jeszcze, trzymało się pozo-  
stałych gwoździ, stało na wystających na je-  
den łokieć podłogach, skuliło się pod resztkami  
kątów, kędy jeszcze było trochę wnętrza.  
Widziało się, że było to życie i w farbie, któ-  
rą powolnie rok za rokiem przemieniło: błękit  
w spleśniałą zielen, zielen w szarzystą, a żółtość  
w starą odstałą biel, która gnije. Ale żyło ono  
niemniej w miejscach świeżych, co się zachowa-  
wały na tyłach luster, obrazów i szaf; bo na-  
szkicowało i obrysowało ich kontury i, razem  
z kurzem i pajakami, było także w tych ukry-  
tych miejscach, obnażonych teraz. Było życie  
ono w każdym zdartym paseczku i w bąblach  
wilgotnych u dołu tapet, chwiała się w zwi-  
sających strzępach, wydzielalo się z szpetnych,  
bardzo dawno powstałych plam.

I oto z tych ścian, niegdyś niebieskich, zie-  
lonych i żółtych, obramowanych szlakami odłu-

panych murów, wystawało tych żyć powietrze, zacięte, leniwe, zbutwiałe powietrze, żadnym dotąd wiatrem nie rozwiane. Tam tkwiły obiady i choroby, i wyziewy, i wieloletni dym, i pot, co wydziela się spod pachwin i obciąża suknie, i czczy zapach z ust, i fetor spotniałych nóg. Tam tkwił kwas uryny i żar sadzy, i szary opar ziemniaczany, i ciężki, śliski smród zestarzonego smalcu. Słodkawa, długa woń zaniedbanych niemowląt i bojaźliwe wyziewy dzieci, co idą do szkoły, i zaduch z łóżek dojrzewających chłopców. I przyłączyło się wiele rzeczy, które przyszły z dołu, z parującej otchłani ulicznej, a inne pościekały z góry z deszczem, który nad miastami nie jest czysty. I niejedno nanośli słabe, oswojone wiatry domowe, pozostające zawsze na tej samej ulicy, i wiele tam było jeszcze rzeczy o niewiadomym pochodzeniu. Wszak mówiłem, że wszystkie mury były rozebrane doszczętnie? Otóż o tej ścianie mówię bez przerwy. Powie ktoś, że długo przed nią stałem; ale gotów jestem przysiąc, że zacząłem biec z chwilą, gdy poznałem tę ścianę. To

bowiem jest właśnie straszne, że ją poznałem. Poznaję to wszystko i dlatego tak po prostu to wchłaniam; czuje się to w moim wnętrzu jak u siebie.

Czułem się nieco wyczerpany po tym wszystkim, rzekłbym, niemal nadwreżony — i przeto za wiele to było na mnie, że i on jeszcze na mnie czekał. Czekał w małej *crêmerie*<sup>31</sup>, gdzie chciałem zjeść jajecznicę; głodny byłem, przez cały dzień nie zdobyłem się na jedzenie. Ale i teraz nie mogłem nic spożyć; zanim jajecznica była gotowa, coś mnie znowu wyгнаło na ulicę, płynące ku mnie zgęstniałą ciecżą ludzi. Był bowiem karnawał i wieczór — i ludzie wszyscy mieli czas, i wałęsali się, i ocierali jeden o drugiego. A twarze ich były pełne światła bijącego z bud widowiskowych i śmiech wyciekał im z ust jak ropa z otwartych ran. Śmiali się coraz bardziej i tłoczyli coraz ciaśniej, im niecierpliwiej starałem się ruszyć z miejsca. Chustka jakiejś dziewczki zaczepiła się o mnie, zacząłem

---

<sup>31</sup>*crêmerie* (fr.) — mleczarnia (tu w znaczeniu: mały zakład gastronomiczny).  
[przypis edytorski]

ją wlec za sobą, a ludzie zatrzymywali mnie ze śmiechem — i czułem, że i ja miałem się śmiać, ale nie mogłem. Ktoś cisnął mi w oczy garść confetti i to paliło jak bicz. Na rogach ludzie byli zaklinowani, jeden wsunięty w drugiego, i nie było w nich żadnego posuwania się, tylko lekkie, miękkie, miarowe ruchy, jak gdyby się parzyli stojąc. Ale choć oni stali, a ja nad brzegiem jezdni, kędy były w ciżbie wyłomy, biegłem jak wariat, to w rzeczywistości tak było, że oni się ruszali, a ja ani drgnąłem. Bo nie zmieniło się nic; kiedy podnosiłem oczy, widziałem wciąż te same domy po jednej i budy po drugiej stronie. Może też stało w miejscu wszystko, a tylko we mnie i w nich był zawrót, co zdawał się kręcić wszystkim. Nie miałem czasu myśleć o tym, ciężki byłem od potu i ogłuszający ból wirował we mnie, jakby w mej krwi krążyło społem coś zbyt wielkiego, rozsadzającego żyły, gdziekolwiek się wdarło. A przy tym czułem, że powietrze dawno się skończyło i że już tylko wdychałem wyziewy, których płuca nie przyjmowały.



Ale teraz już po wszystkim; przetrwałem. Siedzę w swoim pokoju przy lampie; jest chłodno, bo nie mam odwagi spróbować pieca; a nuż by kopcił i znów bym musiał uciekać?

Siedzę i rozmyślam: gdybym nie był ubogi, wynająłbym pokój inny, pokój z meblami nie tak zniszczonymi, nie tak pełnymi poprzednich lokatorów. Na początku naprawdę trudno mi było głowę oprzeć na tym fotelu; jest tam bowiem w zielonym obiciu lepko-szare zagłębienie, do którego zdają się pasować wszystkie głowy. Przez pewien czas byłem na tyle ostrożny, że podkładałem pod włosy chustkę, ale teraz zbyt jestem zmęczony. Zauważyłem, że i tak można, i że ta mała wklęsłość zrobiona jest akuratnie na moją czaszkę, wprost na miarę.

Gdybym jednak nie był ubogi, kupiłbym sobie przede wszystkim dobry piec i paliłbym czystym, mocnym drzewem, które jest z gór, a nie tymi opłakanymi *têtes de moineau*<sup>32</sup>, których swąd tak ściska pierś i głowę mąci. I da-

---

<sup>32</sup>*tête de moineau* (fr.) — chaber. [przypis edytorski]

lej musiałby ktoś być, kto sprząta bez rubasz-  
nego hałasu i piec opatrzy<sup>33</sup>, jak mi potrzeba.  
Bo często, kiedy przez cały kwadrans muszę  
klęczeć przed piecem i grzebać w nim, z czo-  
łem naprężonym od bliskiego żaru i z ogniem  
w rozwartych oczach, wydaję całą siłę, na ja-  
ką mnie stać w ciągu dnia — i skoro potem  
zjawiam się wśród ludzi, wtedy im naturalnie  
łatwo. Czasem, gdy jest wielki natłok, brał-  
bym powóz, przejeżdżałbym, codziennie jadł-  
bym u któregoś Duwala... a nie włóczył się po  
kremeriach...

Czy on by też był u takiego Duwala?

Nie. Tam nie byłoby mu wolno czekać na  
mnie. Umierających nie wpuszcza się. Umiera-  
jących? Ja przecież siedzę teraz w swoim poko-  
ju. Mogę przecież próbować spokojnie myśleć  
o tym, co mi się przydarzyło. Dobrze jest nic  
nie pozostawić w niepewności.

A więc wszedłem i zrazu spostrzegłem tyl-  
ko, że stolik, przy którym często siadywałem,  
zajęty był przez kogoś innego. Skinąłem w stro-

---

<sup>33</sup>opatrzyc (daw.) — zaopatrzyc, przygotowac. [przypis edytorski]

nę bufetu, zamawiając danie, i usiadłem obok. Ale uczułem go, choć się nie ruszał. Tę właśnie nieruchomość uczułem i pojąłem piorunem. Łączność między nami powstała i wiedziałem, że on zmartwiał z przerażenia. Wiedziałem, że to przerażenie sparaliżowało go, przerażenie na widok czegoś, co się w nim działo. Może jakieś naczynie w nim pękło, może trucizna, której się bał dawno, teraz właśnie wkraczała w komorę jego serca, może wielki wrzód pękł w jego mózgu jak słońce, które mu przemieniło świat. Z nieopisanym wysiłkiem zmuszałem się do patrzenia nań, albowiem jeszcze wierzyłem, że to wszystko przywidzenie.

Nagle stało się: zerwałem się błyskawicznie i wypadłem na ulicę; nie omyliłem się. Siedział tam w grubym, czarnym płaszczu zimowym, a szara nateżona twarz zwisała głęboko w wełnianej szali. Usta były zawarte, jakby z impetem zatrzaśnięte, ale nie sposób było orzec, czy oczy jego jeszcze patrzyły: zamglone, jak dym szare szkła okularów leżały przed nimi i drżały z lekka. Nozdrza miał rozdęte, a długi włos nad

skrońmi, skąd wszystko było zabrane, wiądl jak w upale nadmiernym. Uszy były długie, żółte, z wielkim za sobą cieniem. Tak, on wiedział, że teraz oddala się od wszystkiego: nie tylko od ludzi. Jedna chwila jeszcze, a wszystko straci sens — a ten stół i ta filiżanka, i stolek ten, którego się ręce czepiają, wszystko codzienne i najbliższe stanie się niezrozumiałe, obce i ciężkie. Tak siedział oto i czekał, aż to się dokona. I już się nie bronił.

A ja się bronię jeszcze. Bronię się, choć wiem, że serce mam już wywieszzone i że i tak już żyć nie mogę, nawet gdyby teraz moi dręczyciele poniechali mnie.

Mówię sobie: nic się nie stało — a jednak jak ja potrafiłem pojąć tego umierającego człowieka, ponieważ i we mnie dzieje się coś, co zaczyna mnie od wszystkiego dzielić i oddalać. Jaką ja grozę czułem, gdy słyszałem, jak mówiono o konającym: już nie rozpoznawał nikogo! Wtedy wyobrażał sobie samotne oblicze, które podniosło się z poduszek i szukało, czegoś znajomego szukało, czegoś już raz wi-

dzianego szukało, a nie było nic — nic. Gdyby strach mój nie był tak ogromny, pocieszyłaby mnie myśl, że nie jest niemożliwością widzieć wszystko inaczej, a jednak żyć. Ale ja się boję, ja się boję straszliwie tej przemiany. Ja przecie wcale jeszcze nie oswoiłem się z tym światem, który mi się wydaje dobry. Cóż mam począć w innym? Tak bym bardzo chciał pozostać wśród tych kategorii, które polubiłem, a skoro już coś się musi zmienić, chciałbym przynajmniej żyć pośród psów, które mają świat pokrewny i rzeczy te same.

Jeszcze przez chwilę mogę spisywać to wszystko i mówić. Ale przyjdzie godzina, kiedy ręka będzie daleko ode mnie, a gdy rozkażę jej pisać, będzie pisała słowa, których nie mam na myśli. Czas nadejdzie innego wykładania i słowo na słowie nie pozostanie, i treść wszelaka rozplynie się jak chmura, i jak woda opadnie. Przy całym tym strachu jednak jestem ostatecznie jak ktoś, co stoi przed czymś wielkim — i przypominam, że dawniej często podobnie działo się we mnie, nim zaczynałem pisać. Ale

tym razem ja będę pisany. Jam jest wrażeniem, które się przemieni. Och, maluczko, a mógłbym to wszystko pojąć i zaaprobować. Jeden krok, a wielka nędza moja stałaby się szczęśliwością. Ale ja tego kroku uczynić nie umiem, ja upadłem i już powstać nie mogę, bo jestem złamany. Wieczniem jeszcze wierzył, że pomoc jakaś przyjść może.

Oto tu leży przede mną, własnym moim pismem pisane, com się modlił w kaźden wieczór. Odpisałem to sobie z książek, gdzie to znalazłem, żeby mi było najzupełniej bliskie i z mojej wydane ręki jak własne. I teraz jeszcze raz to spiszę, tu przed moim stołem uklęknę i spiszę. Bo tak dłużej będę to miał niż czytając — a kaźde słowo trwa i ma czas przebrzmieć.

„Mécontent de tous et mécontent de moi, je voudrais bien me racheter et m'enorgueillir un peu dans le silence et la solitude de la nuit. Ames de ceux que j'ai aimés, âmes de ceux que j'ai chantes, fortifiez-moi, soutenez-moi, éloignez de moi le mensonge et les vapeurs corruptrices du monde; et vous, Seigneur mon

Dieu! accordez-moi la grâce de produire quelques beaux vers qui me prouvent à moi-même que je ne suis pas le dernier des hommes, que je ne suis pas inférieur à ceux que je méprise.”<sup>34</sup>

„Synowie głupich i podłych i na ziemi zgoła się nie ukazujący.

Teraz obróciłem się w piosnkę ich i stałem się im przypowieścią.

Rozkopali drogi moje...

Wniwecz jestem obrócony... a nie był, kto by dał pomoc.

A teraz we mnie samym więdnie dusza moja i opanowały mię dni utrapienia.

W nocy wiercą boleści kość moją; a ci, którzy mię jedzą, nie śpią.

Od mnóstwa ich kazi się odzienie moje i jako obojczykiem szaty opasali mię.

---

<sup>34</sup>„*Mécontent de tous...*” — Niezadowolony z siebie i niezadowolony z wszystkich, pragnąłbym siebie odkupić i odzyskać nieco dumy w milczeniu i samotności nocy. Dusze tych, których miłowałem, dusze tych, których opiewałem, skrzepcie mnie, podtrzymajcie, oddalście ode mnie kłamstwo i zatruwające wyziewy świata; i ty, Panie mój i Boże! użyż mi łaski zestawienia kilku pięknych wierszy, które by udowodniły mi, że nie jestem ostatnim z ludzi, że gorszy nie jestem od tych, którymi gardzę. (Charles Baudelaire, *O pierwszej nad ranem*, tłum. Stefan Napierski). [przypis edytorski]

Wnętrznosci moje wezwrzały bez żadnego odpoczynku, ubieżały mię dni utrapienia.

Arfa moja obróciła się w żalobę i organy moje w głos płaczących<sup>35</sup>”.

Lekarz mnie nie rozumiał. Nic. Trudno też to było opowiedzieć. Chcieli próbę zrobić z elektryzowaniem. Dobrze. Dostałem kartkę: o pierwszej miałem być w Salpêtrière. Byłem. Długo musiałem mijać różne baraki, kilka dziedzińców, gdzie tu i ówdzie pod pustymi drzewami stali ludzie w białych czepkach jak skazańcy. Nareszcie wszedłem w długą, ciemną, korytarzową przestrzeń, która po jednej stronie miała cztery okienka z matowego, zielonego szkła, a okna te rozdzielone były szeroką, czarną ścianą. Przed nią ciągnęła się ława drewniana, mijając wszystko, a na tej ławie siedzieli oni, którzy znali mnie i czekali.

Tak, byli tu wszyscy. Skoro przywykłem do zmroku izby, zauważyłem, że wśród tych siedzących ramię przy ramieniu w nieskończo-

---

<sup>35</sup>Synowie głupich i podłych i na ziemi zgoła się nie ukazujący... — Jb 30, 8-31, w tłumaczeniu Jakuba Wujka. [przypis edytorski]



nym szeregu mogło być też kilkoro innych ludzi, małych ludzi, rzemieślników, posługaczek i tragarzy. Na dole, po wąskiej stronie korytarza, na specjalnych krzesłach rozsiadły się, rozmawiając, dwie grube kobiety, przypuszczalnie stróżki.

Spojrzałem na zegarek. Za pięć minut pierwsza. No, za pięć, powiedzmy za dziesięć minut musi przyjść kolej na mnie, więc nie najgorzej.

Powietrze było złe, ciężkie, pełne ubrań i oddechów. W którymś miejscu ze szpary w drzwiach dobywał się mocny, wzmagający się chłód eteru.

Zacząłem chodzić tam i z powrotem. Przyszło mi na myśl, że mnie tu przysłano, do tych ludzi, w tę przepelnioną, publiczną godzinę przyjęć. Było to poniekąd pierwsze oficjalne potwierdzenie, że należę do wyrzutków. Czy lekarz to wyczytał z mej miny? Ale wizytę składałem w nie najgorszym ubraniu, posłałem bilet wizytowy. A jednak musiał on się jakoś dowiedzieć, może sam się zdradziłem. Teraz, gdy to było faktem, wcale tego nie uważałem za

coś bardzo złego; ludzie siedzieli cicho i nie zważali na mnie. Niektórzy mieli bóle i kiwali nieznacznie nogą, aby sobie ulżyć. Różni mężczyźni złożyli głowy w otwartych dłoniach, inni spali twardo z ciężką, zachmurzoną twarzą. Gruby jakiś jegomość z czerwoną, spuchniętą szyją siedział podany naprzód, gapił się na podłogę i spluwał od czasu do czasu głośno w jeden punkt, który wydawał mu się odpowiedni. Dziecko szlochało w kącie; długie, chude nogi podciągnęło na ławkę i trzymało je w silnym uścisku, jak gdyby miało się rozstać z nimi. Mała, blada kobieta w okrągłym, czarnymi kwiatami przybranym kapeluszu krepowym, krzywo nasadzonym na włosy, wokół wąskich warg miała grymas jakiegoś uśmiechu, lecz obolałe powieki wilgotniały nieustannie.

Niedaleko posadzono dziewczynę o gładkiej okrągłej twarzy i wypchniętych na wierzchołkach oczach, które były bez wyrazu; miała otwarte usta tak, iż widziało się białe lepkie dziąsła i stare zanikające zęby.

I wiele było opatrunków. Były opatrunki opasujące całą głowę, warstwa przy warstwie, aż zostało się jedno tylko oko, nie należące już do nikogo. Opatrunki, które pokrywały, i opatrunki, które ukazywały to, co było pod spodem. Opatrunki, które otwarto i w których teraz jak w brudnym łożu leżała ręka, co już ręką nie była. I owinięta noga, stojąca poza szeregiem, wielka jak cały człowiek.

Chodziłem wzdłuż i wszerz i siliłem się na spokój. Zajmowałem się skwapliwie<sup>36</sup> przeciwległą ścianą. Spostrzegłem, że zawiera szereg pojedynczych drzwi i nie sięga sufitu, tak iż korytarz ten niezupełnie był oddzielony od przestrzeni przylegających.

Spojrzałem na zegarek; od godziny już przechadzałem się... Po chwili zjawili się lekarze. Najpierw kilku młodych, którzy przeszli z obojętną twarzą, wreszcie ten, u którego ja byłem, w jasnych rękawiczkach, *chapeau à huit reflets*<sup>37</sup>, w nieskazitelnym palcie. Spostrzegłszy mnie,

---

<sup>36</sup>*skwapliwie* (daw.) — chętnie. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*chapeau à huit reflets* (fr.) — rodzaj błyszczącego cylindra. [przypis edytorski]

uniósł nieco kapelusza i uśmiechnął się roztagoniony. Była teraz nadzieja, że mnie zaraz zawołają, ale minęła znów godzina. Nie pamiętam, jak ją spędziłem. Minęła. Stary człowiek, coś jak posługacz, zjawił się w poplamionym fartuchu i trącił mnie w ramię.

Wszedłem do którejś z przyległych izb. Lekarz i młodzieńcy siedzieli koło stołu i patrzyli na mnie, podano mi krzesło. Już. I teraz miałem opowiedzieć, jak i co. Jak najkrócej, *s'il vous plaît*. Bo wiele czasu ci panowie nie mają. Było mi dziwnie na duszy. Młodzieńcy siedzieli i spoglądali na mnie z tą godną, fachową ciekawością, której się nauczyli. Lekarz, którego znałem, głaskał bródkę i uśmiechał się roztagoniony.

Myślałem, że wybuchnę płaczem, lecz usłyszałem siebie mówiącego po francusku:

— Miałem już przyjemność udzielenia panu, panie doktorze, wszelkich informacji, jakich udzielić mogę. Skoro pan uważa za potrzebne wtajemniczenie tych panów, to po naszej rozmowie z pewnością potrafi pan to uczy-

nić własnymi słowami, mnie to jest bardzo trudno.

Lekarz powstał z uprzejmym uśmiechem, podszedł z asystentami ku oknu i powiedział kilka słów, które podkreślił poziomym, kołyszącym ruchem ręki. Po trzech minutach jeden z młodzieńców, dystrakt i krótkowidz, wrócił do stołu i rzekł starając się patrzeć na mnie surowo:

— Pan, proszę pana, dobrze sypia?

— Nie, źle.

Po czym odskoczył z powrotem do grupy. Tam naradzano się jeszcze przez chwilę, a potem lekarz zwrócił się do mnie i oznajmił, że mnie każą zawołać. Przypomniałem, że zamówiono mnie na pierwszą. Uśmiechnął się i białymi rączkami wykonał kilka szybkich, skocznych gestów, które miały znaczyć, że jest niesłuchanie zajęty.

Wróciłem zatem na swój korytarz, gdzie powietrze zrobiło się znacznie duszniejsze, i znów zacząłem chodzić tam i sam, choć byłem znużony śmiertelnie. Wreszcie wilgotny, gęsty smród

zakręcił mi w głowie. Stałem przy drzwiach wejściowych i uchyliłem ich nieco. Ujrzałem, że na dworze jest jeszcze dzień i szczypta słońca — i było mi z tym nieskończenie dobrze. Ale nieostałem tak ani minuty, a już posłyszałem, że ktoś mnie woła. Kobięcisko jakieś, o dwa kroki siedzące przy stoliku, syknęło coś ku mnie. Kto mi kazał drzwi otwierać, pytała. Odparłem, że nie mogę znieść tego powietrza. A ona, że dobrze, że to moja rzecz, ale że drzwi muszą być zamknięte. Czy nie można by otworzyć okna? Nie, jest zakaz.

Postanowiłem zacząć chodzić znowu tam i z powrotem, bo to jednak było ostatecznie pewnym odurzeniem, a nie gorszyło nikogo. Ale kobiecie przy stoliku teraz i to się nie podobało. Spytała, czy nie mam żadnego krzesła. Nie, nie mam. Chodzić tu nie wolno; powinienem znaleźć sobie miejsce. Znajdzie się.

Miała rację kobieta. Znalazło się istotnie natychmiast miejsce obok dziewczyny z wysadzonymi na wierzch oczami. Siedziałem więc z uczuciem, że stan taki z pewnością musi przy-

gotować mnie na coś straszliwego. Na lewo była zatem dziewczyna z gnijącymi dziąsłami; co było na prawo ode mnie, to zdołałem poznać dopiero po chwili. Nieruchoma, olbrzymia masa, która miała twarz i wielką, ciężką bez ruchu rękę. Strona twarzy, którą widziałem, była pusta, bez żadnych rysów i bez wspomnień — a niesamowity był ubiór, jak szata trupa ubranego do trumny. Wąska, czarna przepaska na szyi w równie luźny, nieosobisty sposób była przypięta do kołnierza, a po ubraniu widać było, że je ktoś inny naciągnął na to bezwolne ciało. Rękę położono na spodniach, tam gdzie leżała, a nawet włosy uczesane były jak przez umywaczki trupów i sztywno ułożone, jak włos wypchanych zwierząt.

Obserwowałem to wszystko z uwagą i przyszło mi na myśl, że to więc było miejsce z dawna mi przeznaczone, czułem bowiem, że teraz wreszcie dotarłem do punktu mego życia, na którym pozostanę. Tak, przeznaczenie dziwnymi chadza drogami.

Nagle tuż obok podniosły się szybkie, prze-  
rażone, obronne krzyki dziecka, a po nich ci-  
chy, zduszony płacz. W czasie kiedy wyteęzałem  
się, aby wywnioskować, gdzie to było, przed-  
rzał znowu nikły, stłumiony okrzyk — i usły-  
szałem głosy, które pytały, i stłumiony głos,  
rozkazujący — a potem rozturkotała się jakaś  
obojętna maszyna i nie dbała o nic. Teraz przy-  
pomniałem sobie oną półścianę i zrozumiałem,  
że to wszystko dochodziło z tamtej strony drzwi  
i że tam szła robota w najlepsze. Istotnie, od  
czasu do czasu posługacz w brudnym fartu-  
chu zjawiał się i kiwał. Już nawet nie myśla-  
łem o tym, że to mnie mogło dotyczyć. Czy  
to ja? Nie. Dwóch mężczyzn stało tam z krze-  
słem na kółkach. Posadzili w nim nieruchomą  
masę i ujrzałem oto, że to był stary, chromy<sup>38</sup>  
człowiek, który miał jeszcze drugą, mniejszą,  
życiem zużytą stronę — z otwartym, mętnym,  
smutnym okiem. Wieźli go i obok mnie zro-  
biło się dużo miejsca.

---

<sup>38</sup>*chromy* — kulawy, kaleki. [przypis edytorski]



I siedziałem myśląc, co też oni uczynią tej tępej dziewczynie i czy ona także będzie wrzeszczyć. Te maszyny w tyle warczały tak miło, fabrycznie, nic w tym nie było niepokojącego.

Lecz nagle wszystko się uciszyło — i w tę ciszę rzeki przemożny, zadowolony z siebie głos, który pono znałem:

— *Riez!*

Pauza.

— *Riez!... Mais riez, riez!*<sup>39</sup>

Ja już się śmiałem.

Nie mogłem pojąć, dlaczego ten człowiek tam się nie śmieje. Maszyna jakaś zaczęła turkotać, ale zaraz znów zamilkła, zamieniano słowa, potem podniósł się znowu ten sam energiczny głos i rozkazał:

— *Dites nous le mot: avant.*<sup>40</sup>

Sylabizując:

— A-v-a-n-t.

Cisza.

---

<sup>39</sup>*Riez!... Mais riez, riez!* (fr.) — ależ niech pan się śmieje. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*Dites nous le mot: avant* (fr.) — proszę powiedzieć nam słowo: naprzód. [przypis edytorski]

— *On n'entend rien. Encore une fois*<sup>41</sup>...

I oto, kiedy tam bełkotało tak ciepło i tak soczyście jak gąbka — w tej chwili po raz pierwszy od wielu, wielu lat zjawiało się! To, co mnie rozsadzało pierwszym, głębokim przerażeniem, gdy jako dziecko leżałem w gorączce: to *Wielkie*. Tak, tak zawsze mawiałem, kiedy wszyscy stali wkoło mego łóżka i macali mi puls, i pytali, co mnie przestraszyło:

— To *Wielkie*.

A kiedy lekarza wzywali i on był, i przemawiał do mnie, wtędym go prosił, aby się tylko postarał, by to *Wielkie* sobie poszło, bo wszystko inne to nic. Ale on był taki jak inni. On go zabrać nie mógł, choć przecież wówczas byłem mały i tak łatwo było mi pomóc.

I teraz przyszło znowu. Później po prostu nie zjawiało się, nie powracało nawet w nocach gorączki, ale teraz było tu, chociaż gorączki nie miałem. Teraz było. Teraz wyrastało ze mnie jak spęczniały wrzód, jak druga głowa

---

<sup>41</sup>*On n'entend rien. Encore une fois* (fr.) — nic nie słysząc. Jeszcze raz. [przypis edytorski]

— i było częścią mnie samego, aczkolwiek nie mogło przecie wcale należeć do mnie, bo było tak wielkie. Było jak wielkie martwe zwierzę, co niegdyś, gdy żyło jeszcze, było moją ręką albo moim ramieniem. I krew moja szła przeze mnie i przez nie, jak przez to samo ciało. A serce moje musiało się wysilać, by wpędzić krew w to *Wielkie*; prawie nie było dosyć krwi. A krew niechętnie wkraczała w to *Wielkie* i wracała chora i zepsuta. Ale *Wielkie* pęczniało i wyrastało mi przed twarz jak ciepły, siny bąbel i wyrastało mi przed usta — i nad ostatnim moim okiem już był cień jego krawędzi.

Nie mogę sobie przypomnieć, jak wydoستاłem się przez tę moc dziadzińców. Był wieczór i zbłądziłem w nieznanym stronach, i szedłem wzdłuż bulwarów o nieskończonych murach w jednym kierunku, a gdy potem nie chciały się kończyć, wracałem w przeciwną stronę aż do jakiegokolwiek placu. Stamtąd poczynałem iść jakąś ulicą i wyłaniały się inne ulice, których nie widziałem na oczy, i jeszcze inne. Tramwaje przejasne z twardym, stukającym dzwo-

nieniem gnały czasem z pędem na mnie i poza mnie. Lecz na ich tablicach były nazwy, których nie znałem. Nie wiedziałem, w jakim jestem mieście i czy tu gdzie mam jakie mieszkanie, i co mam zrobić, żebym już nie musiał chodzić.

A teraz na domiar jeszcze ta choroba, która zawsze tak dziwnie działała na mnie. Jestem pewien, że się ją bagatelizuje. Zupełnie tak samo, jak się przecenia znaczenie innych chorób. Ta choroba nie ma określonych właściwości, ona przybiera właściwości osoby, którą zawładnie. Z lunatyczną pewnością wyciąga z każdego najgłębsze jego niebezpieczeństwo, które wydawało się minione — i znowu przed nim je stawia, tuż, tuż, w najbliższą godzinę. Ludzie, co kiedyś w czasach szkolnych próbowali bezradnego nałogu, którym oszukanymi powiernikami były biedne twarde dłonie chłopięce — tu się znów odnajdują albo choroba się w nich od nowa zaczyna, którą przeżyli w dzieciństwie; albo zagubione nawyk-

nienie znów się zjawia, jakieś wahające odwracanie głowy, właściwe im przed laty. A z tym, co nadchodzi, cały splot obłądnych wspomnień podnosi się i uwiesza, jak mokre wodorosty na zatopionej rzeczy. Życia, o których nie byłby się człowiek dowiedział nigdy, wyłaniają się i mieszają z tym, co było naprawdę — i odpychają minione, o którym myślałeś, że je znasz: w tym, co powstaje, jest bowiem wypoczęta, nowa siła, to zaś, co było zawsze, zmęczone jest zbyt częstym wspomnianiem.

Leżę na moim łóżku, na wysokości pięciu pięter, a dzień mój, niczym nie przerywany, jest jak tarcza zegarowa bez wskazówek.

Jak rzecz od dawna zgubiona pewnego ranka nagle zjawia się na swoim miejscu, ochroniona i cała, bardziej nowa niemal niż w czasie zgubienia, zupełnie tak, jakby u kogoś była w pieczy<sup>42</sup> — tak tu i tam na mojej kołdrze leżą zguby dzieciństwa i są jak nowe. Wszystkie utracone strachy zjawiają się znowu.

---

<sup>42</sup>piecza — opieka a. dozór. [przypis edytorski]

Strach, że mała wełniana nitka wystająca z brzegu kołdry twarda jest, twarda i ostra jak stalowa igła. Strach, że ten guziczek u nocnej koszuli jest większy niż moja głowa, wielki i ciężki. Strach, że ta kruszyna chleba, staczająca się oto z mego łóżka, upadnie na ziemię szklana i stłuczona, że tym samym właściwie wszystko będzie stłuczone, wszystko na zawsze. Strach, że to pasmo z brzegu rozciętego listu jest czymś zakazanym, czego nikt wiedzieć nie ma, czymś nieopisanie cennym, i że w całym pokoju nie ma dlań dość bezpiecznego miejsca. Strach, że skoro usnę, połknę ten kawał węgla leżący pod piecem. Strach, że jakaś liczba w moim mózgu pocznie rosnać, aż nie starczy jej we mnie przestrzeni. Strach, że to, na czym leżę, to granit, szary granit. Strach, że mógłbym wrzasnąć i że przed moimi drzwiami zbiegliby się ludzie i wyłamali wreszcie te drzwi, strach, że mógłbym się zdradzić i powiedzieć to wszystko, czego się boję, i strach, że nie mógłbym powiedzieć nic, bo wszystko

jest niewypowiedziane — i te inne strachy...  
te strachy...!

Prosiłem o moje dzieciństwo i ono wróciło  
— i czuję, że wciąż jest tak ciężkie jeszcze, jak  
wtedy, i że na nic się nie zdało, że się zestarza-  
łem.

Wczoraj z gorączką było lepiej, a dzisiaj dzień  
jak wiosna się zaczyna, jak wiosna w obrazach.  
Spróbuję wyjść do Bibliothèque Nationale<sup>43</sup>,  
do mojego poety, którego nie czytałem tak daw-  
no — i może później potrafię przejść wolno  
przez ogrody. Może jest wiatr nad wielkim sta-  
wem, który ma tak prawdziwą wodę — i przyj-  
dą dzieci, które na nią puszczą okręciki o czer-  
wonych żaglach, i przyglądać się będą.

Dzisiaj nie byłem na to przygotowany, wy-  
szedłem tak odważnie, z taką prostą natural-  
nością. A jednak znowu coś przyszło i porwało  
mnie jak papier, zmięło i odrzuciło — zjawilo  
się coś niesłychanego.

---

<sup>43</sup>*Bibliothèque Nationale* (fr.) — biblioteka narodowa. [przypis edytorski]

Bulwar St. Michel był pusty i przestronny i łatwo się szło po jego lekkiej pochyłości. Okna otwierały się w górze z brzękiem szklanym, a błysk ich leciał jak biały ptak przez ulicę. Powóz o jasnoczerwonych kołach przejechał, a dalej w dole ktoś niósł coś zielonego. Konie w błyszczącej uprzęży biegły przez ciemno spryskaną, czystą jezdnię. Wiatr był poruszony, nowy, łagodny, a wszystko wznosiło się: zapachy, wołania, dzwony.

Mijałem jedną z kawiarni, w których co wieczór grywają fałszywi czerwoni cyganie. Z rozwartych okien pełzało z nieczystym sumieniem niewyspane powietrze. Kelnerzy gładko uczesani właśnie zamiatali pod drzwiami. Jeden z nich zgięty w pół ciskał garść po garści żółty piasek pod stoły. Wtem któryś z przechodzących trącił go i wskazał na dół wzdłuż ulicy. Kelner z mocno czerwoną twarzą przez chwilę patrzył z wyteżeniem, po czym śmiech rozpostarł się na wygolonych policzkach, jakby rozsypany na nich. Kiwnął na resztę kelnerów, pośpiesznie obrócił kilka razy twarz z prawej strony ku le-



wej, aby zwołać wszystkich, a samemu nic nie uronić. I już stali wszyscy i spojierali; to patrząc w dół, to szukając, z uśmiechem lub złością, że jeszcze nie odkryli, co gdzie jest śmiesznego.

Czułem, że wzrasta we mnie odrobina lęku. Coś pchnęło mnie na drugą stronę ulicy; lecz zacząłem tylko przyśpieszać kroku i zlustrowałem mimowolnie garstkę ludzi przed sobą, nie widząc na nich nic szczególnego. Ujrzałem wszakże, że jeden z nich, chłopiec w niebieskim fartuchu i z pustym koszykiem na ramieniu, patrzył za kimś. Skoro się napatrzył, obrócił się w miejscu ku domom i do roześmianego kupczyka po drugiej stronie ulicy stuknął się w czoło ruchem powszechnie znanym. Potem łypnął czarnymi oczyma i zadowolony począł iść ku mnie kołyszącym krokiem.

Z chwilą gdy oko moje zyskało perspektywę, począłem oczekiwać jakiegokolwiek niezwykłej i uderzającej figury, ale okazało się, że przede mną nie szedł nikt poza wysokim, szczupłym mężczyzną w ciemnym płaszczu i mięk-

kim czarnym kapeluszu na krótkich, płowych włosach. Upewniłem się, że ani w ubiorze, ani w zachowaniu tego człowieka nie ma nic zabawnego, i już chciałem poza niego spojrzeć w głąb ulicy, kiedy nagle potknął się. Ponieważ stąpałem tuż za nim, skupiłem uwagę, ale skoro doszedłem do tego miejsca, nic tam nie było, no nic! Szliśmy dalej obaj, on i ja, przestrzeń między nami nie zmniejszała się. Teraz była poprzeczna ulica i oto ów człowiek przede mną nierówno skoczył ze stopnia chodnika, podobnie jak nieraz dzieci idąc podskakują z radości. Na przeciwległy chodnik wszedł po prostu, jednym długim krokiem. Ale już zaraz podciągnął jedną nogę i podskoczył na drugiej raz i znowu raz, i jeszcze raz. Teraz można było znów ten nagły ruch poczytywać za potknięcie, gdyby sobie człowiek wmówił, że jakaś drobnostka tam leżała, pestka, śliska łupina owocu, cośkolwiek. A co najdziwniejsze, człowiek ów sam zdawał się wierzyć w istnienie jakiejś przeszkody, gdyż za każdym razem odwracał się ze wzrokiem podrażnionym i pełnym wyrzu-

tu, właściwym człowiekowi w podobnych sytuacjach. Raz jeszcze jakiś ostrzegawczy głos wołał mnie na drugą stronę ulicy, lecz nie posłuchałem krocząc dalej za tym człowiekiem i całą uwagę skupiając na jego nogach.

Przyznać muszę, iż z dziwną ulgą odetchnąłem, kiedy przez jakie dwadzieścia kroków podskakiwanie nie powtórzyło się, ale gdy oto podniosłem oczy, zauważyłem, iż człowiek mój miał nowe zmartwienie.

Kołnierz od płaszcza podniósł mu się i choć usiłował to jedną, to drugą ręką koniecznie go spuścić, nie udawało się ani rusz. To się zdarza. Nie byłem tym zaniepokojony. Lecz zaraz potem zauważyłem z niesłychanym zdumieniem, że w skrzętnych rękach tego jegomościa były dwa ruchy: jeden skryty, prędko, którym nieznacznie podnosił kołnierz — i ów drugi, szczegółowy, trwały, niejako przesadnie sylabizowany ruch, mający na celu spuszczenie kołnierza.

Obserwacja ta oszołomiła mnie do tego stopnia, że minęły dwie minuty, zanim poznałem, że w szyi tego człowieczka, za sterczącym koł-

nierzem i nerwowo działającymi rękami, było to samo straszliwe, dwuzgłoskowe podskakiwanie, które co dopiero opuściło jego nogi. Od tej chwili byłem z nim związany. Zrozumiałem, że to podskakiwanie tłuło się po jego ciele, że próbowało przedrzeć się tu i tam. Pojąłem jego strach przed ludźmi i sam zacząłem śledzić ostrożnie, czy przechodnie coś zauważają. Zimny prąd przeszył mi plecy, gdy jego nogi raptem wykonały nieznaczny drgawkowy skok; ale nikt nie widział — i wymyśliłem sobie, że i ja potknę się nieco, na wypadek, gdyby ktoś to spostrzegł. To byłby niezawodny sposób przekonania ciekawskich, że tam jednak była na drodze mała, nieznaczna przeszkoda, na którą nastąpiliśmy obaj przypadkowo.

Ale kiedy tak myślałem o ratunku, on sam znalazł nowy znakomity wybieg. Zapomniałem powiedzieć, że miał laskę; otóż była to laska zwykła, z ciemnego drzewa, o skromnej, zaokrąglonej gałce. I w tym lęku szukania wpadł na myśl przytrzymania laski na grzbiecie, na razie jedną ręką (bo kto wie, na co jeszcze przyda

się druga), tuż na kręgosłupie, przyciśnięcia jej siłą do krzyża i wsunięcia zakrzywionej gałki za kołnierz tak, iż czuło się ją jak twarde oparcie za kręgami grzbietu i szyi. To była postawa wcale nie uderzająca, chyba nieco swawolna; niespodziewany dzień wiosenny tłumaczyć to mógł zupełnie. Nikt nie myślał oglądać się i jakoś to było. Było świetnie. Wprawdzie przy najbliższej przecznicy wypsnęły się dwa podskoki, dwa małe, stłumione podrygi, nie mające żadnego znaczenia; a ów jeden widzialny naprawdę skok umieszczony był tak zgrabnie (wąż do skrapiania ulic leżał właśnie w poprzek drogi), że nie było obawy. Tak, jeszcze wszystko było w porządku; raz po raz i druga ręka chwyciła laskę i przyciskała ją mocniej — i od razu mijało niebezpieczeństwo. Nie miałem na to rady, że mój strach wzrastał jednak. Wiedziałem, że kiedy on szedł i z niesłychanym wysiłkiem starał się wyglądać na obojętnego i roztargnionego, straszne drgawki w jego ciele gromadziły się; we mnie był ten sam lęk, który on czuł, kiedy dygoty w nim rosły i rosły — i widzia-

łem, jak czepia się laski, kiedy poczynają nim szamotać. Wtedy wyraz tych rąk był tak nieubłagany i surowy, iż całą nadzieję pokładałem w jego woli, która musiała być wielka. Ale co tam wola! Musiała przyjść chwila, kiedy siła jego skończy się, nie mogła być daleka ta chwila. A ja, który stąpałem za nim z bijącym mocno sercem, ja ciulałem te moje kruszyny siły jak grosz — i patrząc na jego ręce, prosiłem go, aby brał, jeśli mu potrzeba.

Zdaje mi się, że wziął; jakaż w tym moja wina, że jej nie było więcej!

Na Place St. Michel było wiele powozów i ludzi śpieszących na wszystkie strony, byliśmy często między dwoma pojazdami i wtenczas on czerpał powietrze i szedł niedbalej, jak gdyby chciał odpocząć, a były w nim małe drgawki i podskoki. Wola w dwóch miejscach była przełamana, a to folgowanie<sup>44</sup> pozostawiło w spętanych mięśniach lekkie jakieś, wabiące podniecenie i ów przemożny dwutakt. Lecz laska była jeszcze na swoim miejscu, a ręce gniew-

---

<sup>44</sup>*folgować* — pozwalać na coś, nie ograniczać się. [przypis edytorski]

ne były i złe; tak wstąpiliśmy na most i nieźle było. Wcale<sup>45</sup> nieźle.

Teraz jakaś niepewność opanowała jego chód, teraz biegł kilka kroków, a teraz stał. Stał. Lewa ręka odbiła się cicho od laski i podniosła się tak wolno, iż widziałem, jak drżała pod światło. Kapelusz odsunął trochę w tył i ręką przejechał po czole. Odwrócił nieco głowę i wzrok jego zachybotał po niebie, domach i wodzie nic nie pojmując, a potem uległ. Laska zniknęła, on wyciągnął ramiona, jak gdyby miał wzlecieć — i buchnęło z niego jak siła żywiołu, i zgięło go ku przodowi, i szarpnęło w tył, i kazało mu zgiąć się i chwiać, i wyrzucało zeń siłę taneczną w tłum. Bo już ludzi wiele było wkoło i nie zobaczyłem go więcej.

Co za sens byłby jeszcze iść gdziekolwiek, byłem pusty. Jak pusty papier gnało mnie wzdłuż domów, z powrotem bulwarem w górę.

Próbuję pisać do Ciebie, chociaż właściwie nie ma nic po koniecznym rozstaniu. Próbuję

---

<sup>45</sup>wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

mimo to, zdaje mi się, że muszę to uczynić, ponieważ tę świętą widziałem w Panteonie, tę samotną świętą panią i ten dach, i te drzwi, a wewnątrz tę lampę ze skromnym kręgiem światła, a tam, hen, miasto śpiące i rzekę, i dal w blasku księżyca. Święta pani czuwa nad miastem uśpionym. Płakałem. Płakałem, bo to wszystko tak naraz przyszło nieoczekiwanie. Płakałem patrząc na to, nie było rady.

Jestem w Paryżu, kto to słyszy, cieszy się, na ogół zazdrozczą mi ludzie. Mają rację. Wielkie miasto, duże, pełne pokus osobliwych. Sam przyznać muszę, że im uległem w pewnej mierze. Sądzę, że tego inaczej nazwać nie można. Uległem tym pokusom, a to spowodowało pewne zmiany, może nie w charakterze moim, ale w poglądzie na świat, w każdym razie w moim życiu. Zupełnie inny pogląd na wszystkie rzeczy wytworzył się we mnie pod tymi wpływami — zjawily się pewne różnice, dzielące mnie od ludzi więcej niż wszystko dotychczas. Świat zmieniony. Życie nowe, peł-



ne nowych znaczeń. Trochę trudno mi w tej chwili, ponieważ wszystko jest zbyt nowe. Nowicjuszem jestem w moich własnych stosunkach.

Czy nie można by tak raz zobaczyć morza?

Ach, pomyśl tylko, wyobraziłem sobie, że Ty mogłabyś przyjść. A może Ty mogłabyś powiedzieć mi, czy istnieje lekarz? Zapomniałem dowiedzieć się. Zresztą niepotrzebne mi to już.

Czy pamiętasz niesłychany wiersz Baudelaire'a<sup>46</sup> *Une charogne*<sup>47</sup>? Być może, iż teraz go rozumiem. Poza ostatnią zwrotką miał słuszność. Co miał uczynić, skoro go to spotkało? Zadaniem jego było w tych okropnościach, w tych pozornych jeno<sup>48</sup> przeciwnościach szukać tego, co *jest*, mającego ważność wśród wszystkie-

---

<sup>46</sup>Baudelaire, Charles Pierre (1821–1867) — francuski poeta, krytyk sztuki, tłumacz Edgara Allana Poe, prekursor symbolizmu i poezji nowoczesnej, parnasista, dekadent. Uznawany za jednego z tzw. „poetów przeklętych”. Jego twórczość była kontrowersyjna, samego autora oskarżano o niemoralność ze względu na podejmowaną tematykę w swych utworach: dewiacje, rzekome popieranie satanizmu, prostytutcja, życie marginesu społecznego itd. Najślynniejszym dziełem Baudelaire'a są wydane w 1857 r. *Kwiaty zła* (*Les fleurs du mal*), znane również pod innym polskim tytułem — *Kwiaty grzechu*. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*Une charogne* (fr.) — padlina. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>*jeno* (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

go, co jest. Wyboru i odrzucania nie ma. Czy uważasz to za przypadek, że Flaubert<sup>49</sup> napisał swego „Saint-Julien-l’Hospitalier”? Wydaje mi się, że to jest coś decydującego: czy ktoś zdobędzie się na to, by położyć się obok trędowatego i ogrzać go serdecznym ciepłem nocy miłosnych; to nie może się nie skończyć dobrze.

Nie myśl czasem, że ja tu cierpię na rozczarowania, przeciwnie. Dziwię się nieraz, z jaką gotowością poświęcam wszystko, czego wyczekiwałem, za rzeczywistość twardą nawet.

Boże, gdyby można coś z tego podzielić! ale czyż *byłoby* wtedy, czy *byłoby* wtedy? Nie, to *jest* tylko za cenę samotności.

Istnienie straszliwości w każdej cząstce powietrza. Wdychasz ją przezroczyście; ale w tobie opada, twardnieje, między narządami przy-

---

<sup>49</sup>Flaubert, Gustave (1821–1880) — francuski pisarz, wybitny realista, uważany też za jednego z pierwszych przedstawicieli naturalizmu. Dzieła: *Pani Bovary* (*Madame Bovary*, 1857), *Salambo* (*Salammbô*, 1862), *Szkola uczuć* (*L’Education sentimentale*, 1869), *Kuszenie św. Antoniego* (*La Tentation de Saint Antoine*, 1874). [przypis edytorski]

biera formy spiczaste, geometryczne. Bo wszystkie zgrozy i męki, jakie wydarzyły się na placach sądu, w izbach tortur, w domach wariatów, w salach operacyjnych, pod przęsłami mostów w późną jesień; wszystko to ma jakąś twar-  
dą nieśmiertelność, wszystko to w sobie trwa i, zazdroszcząc wszelkiemu bytowi, czepia się strasznej rzeczywistości. Chcieliby ludzie, aby im dozwolono wiele z tych rzeczy zapomnieć, ich sen lekkim pilnikiem ściera takie bruzdy w mózgu, lecz marzenia senne odpychają go i kreślą głębiej ślady. I budzą się ludzie, i dyszą ciężko, i każą blaskom świecy roztapiać się w ciemni, i jak osłodzoną wodę piją półjasne ukojenie.

Ach, ale której krawędzi trzyma się ta pewność! Najmniejszy obrót, a już wzrok wysuwa się poza miłe i znajome — a z zarysu przed chwilą jeszcze tak pocieszającego wyłania się krawędź grozy. Strzeż się światła, które izbę czyni bardziej głuchą; nie oglądaj się, czy czasem cień nie podniesie się za twoim krzesłem jak twój pan. Lepiej chyba, gdybyś był pozostał

w ciemności i gdyby twoje nie odgraniczone serce spróbowało być ciężkim sercem wszystkich tych nie odróżnionych rzeczy. Teraz zebrałeś się w sobie, widzisz, jak się kończysz we własnych dłoniach, od czasu do czasu niedokładnym ruchem pociągasz własną twarz za sobą. I w tobie prawie nie ma przestrzeni, i koi cię to niemal, że w tej ciasnocie w tobie nie może nic przebywać bardzo wielkiego, że i to niesłychane zamknąć się musi i ścieśnić wedle warunków. Lecz tam na świecie, tam ono jest bez granic, a kiedy tam wzrasta, natenczas napętnia się i w tobie, nie w naczyniach będących częściowo w twojej władzy ani flegmie twoich spokojniejszych narządów: wzrasta we włóknach, wzwyż wsysane w najdalsze odnogi twojego bezmiernie rozgałęzionego bytu. Tam się podnosi, tam wyrasta ponad ciebie, sięga ponad twój oddech, do którego chronisz się jak do ostatniej przystani.

Ach, a dokąd potem, dokąd potem? Twoje serce wypędza cię z siebie, twoje serce w ślad za tobą gna, a ty już prawie poza sobą stoisz

i już wrócić nie możesz. Jak robak nadepnięty, tak ty pękasz i rozlewasz się, a twoja drobina zewnętrznej twardości i przystosowania jest bez sensu!

O nocy bez przedmiotów! O tępe okno wychylone, o drzwi troskliwie pozamykane; urządzenia z dawien dawna przejęte, uwierzytelnione, nigdy do cna nie zrozumiane. O ciszo w sieni, ciszo z pokojów sąsiednich, ciszo wysoko pod pułapem.

O matko, o ty jedyna, która wszystką tę ciszę przemieniłaś kiedyś w dzieciństwie. Która ją bierzesz na siebie, mówisz: nie bój się, to ja. Która odwagę masz w samą noc tą ciszą być dla wszystkiego, co się boi, co ginie ze strachu.

Zapalasz świecę, a już ten szmer, to ty. I trzymasz ją przed sobą, i mówisz: to ja, nie przestraszać się. I stawiasz ją powoli, i — bez wątpienia: to ty, ty jesteś tym światłem wokoło zwykłych, serdecznych rzeczy, które bez pokątne-go znaczenia istnieją, są dobre, naiwne, jednoznaczne. A kiedy coś niepokoje gdzieś za ścianą albo krok czyni pod podłogą, to ty uśmiechasz

się tylko, uśmiechasz, przejrzyście uśmiechasz na jasnym tle do zatrwożonej twarzy, która szuka w tobie, jak gdybyś była zjednoczona i w zmo- wie z każdym półdźwiękiem, złączona z nim w tajemnicy i zgodzie. Czy moc jaka równa się twojej mocy w ziemskim panowaniu? Spójrz, królowie leżą i patrzą w słupek, a bazarz odwrócić nie może ich uwagi. Gdy leżą na słodkich pier- siach ulubienicy, wpęta na nich groza i obez- władnia, i gasi żądę. Ty zaś przychodzisz i trzy- masz to niesłychane za sobą i jesteś najzupel- niej przed nim; nie jak zasłona, którą by można tu i ówdzie podnieść. Nie! jak gdybyś je by- ła wyprzedziła na wołanie, któremu byłaś ko- nieczna. Jak gdybyś była przyszła daleko przed wszystkim, co przyjść może, a miała za sobą tylko twój pęd, twoją wieczną drogę, twojej miłości lot.

*Mouleur*<sup>50</sup>, koło którego przechodzę codzien- nie, wywiesił dwie maski przed drzwiami. Twarz młodej topielicy, odlaną w trupiarni, ponieważ

---

<sup>50</sup>*mouleur* (fr.) — odlewnik. [przypis edytorski]

była piękna, ponieważ uśmiechała się, uśmiechała tak łudzaco, jak gdyby wiedziała.

A pod nią jego wiedzące oblicze. Ten twar-  
dy sęk z mocno ściągniętych zmysłów. To nie-  
ubłagane samozgęszczenie Muzyki wiecznie chcą-  
cej dymić. Oblicze tego, któremu jeden z bo-  
gów zamknął słuch, aby nie było dźwięków oprócz  
dźwięków jego. Aby nie zmieszała go mętność  
i znikomość szmerów. On, w którym była ich  
jasność i trwanie; aby tylko bezdźwięczne zmy-  
sły wносиły mu świat, bez szmeru, napięty, cze-  
kający świat, niedokończony, przed stworze-  
niem Dźwięku.

Ty, który kończysz świat!

Jak to, co deszczem spada niedbale na zie-  
mię i nad wody, opadając przypadkowo, i mniej  
widoczne a radosne według prawa powstaje po-  
wrotnie z wszystkiego, i wznosi się, i zawisa,  
i tworzy nieba — także z ciebie podniósł się  
wzlot naszych opadów i ponad światem wzniosł  
sklepienie Muzyki.

Twoja muzyka: gdybyż mogła być wokoło  
świata, nie wokoło nas. Gdybyż ci zbudowano

fortepian w pustyni Tebaidy. I Anioł zawiódłby cię przed samotny instrument, przez turnie pustynnych gór, kędy leżą króle i hetery<sup>51</sup>, i anachoreci<sup>52</sup>. I cisnąłby się wzwyż i precz — w lęku, abyś nie zaczął.

I wtenczas promieniowałbyś, promieniejący, niesłyszany; oddając Powszechności, co Powszechność jedynie dźwigać zdolna.

W dali Beduini gnają w pustynię zabobonnie. Na ziemię padają kupcy u skraju twojej muzyki, jak gdybyś huraganem był. Tylko nocą okrążają cię w wielkim łuku lwy poniektóre, co samych siebie się przeraziły, zagrożone własną wzburzoną krwią.

Bo kto ciebie teraz powrotnie dobędzie z uszu, które są lubieżne? Kto ich wypędzi z sal muzycznych, tych przedajnych o niepłodnym słuchu, słuchu złajdaczonym, a nie zapładnianym nigdy? Tam wielkie promienieje nasienie, a oni podstawiają się jak ładacznice i bawią się tym — albo kiedy leżą rozwaleni w chuciach nie

---

<sup>51</sup>*hetera* (z gr.) — kurtyzana. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*anachoreta* — asceta, pustelnik. [przypis edytorski]



zaspokojonych, ona pada między nich wszystkich jak nasienie Onana.

Kędy jednak, Panie, ktoś dziewiczy o niepokalanym uchu leżałby przy twoim dźwięku: umarłby z szczęśliwości albo rozstrzygnął Nie skończoność — i zapłodniony jego mózg musiałby pęknąć w niesłychanym rdzeniu.

Nie bagatelizuję. Wiem, że na to potrzeba odwagi. Ale przypuśćmy na chwilę, że ktoś by ją miał, ktoś by miał ów *courage de luxe*, by im ulec, iżby potem wiedzieć raz na zawsze (bo któż by mógł to zapomnieć czy pomylić?), dokąd oni później wpełzają i co robią przez pozostały długi dzień, i czy sypiają w nocy. To przede wszystkim trzeba by stwierdzić: czy sypiają. Ale odwaga to jeszcze nie dosyć. Przychoǳą bowiem i odchodzą nie jak inni ludzie, za którymi byłoby łatwo pójść. Zjawiają się i znikają, nagle ktoś ich stawia i zabiera jak ołowianych żołnierzy. W odległych nieco miejscach znajduje się ich, ale nie w ukrytych. Krzewy cofają się nieco, ścieżka kręci się trochę koło

trawnika: stoją już i mają wokoło siebie moc przejrzystej przestrzeni, jak gdyby stali pod szklanym kloszem.

Mógłbyś ich uważać za spacerujących w zadumaniu, tych niepozornych człowieczków, o ni-  
kłej, skromnej pod każdym względem postaci. Ale mylisz się. Czy widzisz tę lewą rękę, jak po-  
coś sięga do skośnej kieszeni starego płaszcza; jak znajduje to coś i wyciąga, i trzyma w powie-  
trzu ów przedmiot niezgrabnie i ostentacyjnie? Po kilku zaledwie chwilach zjawiają się dwa,  
trzy ptaszki, wróble, podskakujące w zacieka-  
wieniu. I jeśli uda się temu człowiekowi po-  
twierdzić ich bardzo dokładne pojęcie o nieru-  
chomości, natenczas nie ma powodu, dla któ-  
rego nie miałyby się jeszcze bardziej zbliżyć. I wreszcie wznosi się pierwszy i przez chwi-  
lę trzepoce nerwowo na wysokości ręki, która  
(mój Boże) nadstawia kruszynę zużytego słod-  
kiego chleba, skromnymi, wyraziście rezygnu-  
jącymi palcami.

A im więcej ludzi gromadzi się przy nim,  
w stosownej oczywiście odległości, tym mniej

ma z nimi wspólnego. Jak świecznik dogasający stoi on i świeci resztą światła, i cały jest nim ciepły, i nigdy się nie ruszył. A jak wabi, jak przywabia — tego te liczne, małe, głupie ptaszki osądzić nie mogą. Gdyby nie widzowie i gdyby mu dość długo pozwolono stać, pewien jestem, że nagle przyszedłby anioł, przewyciężył się i zjadłby ten stary, słodkawy kęs z wynędzniałej ręki. Zawadzają tu, jak zawsze ludzie. Dbają o to, by zjawiały się tylko ptaszki; uważają, że to dosyć, i twierdzą, że on niczego innego nie oczekuje. Bo czegożby też miał oczekiwać on, ten stary, deszczem splukany wiecheć, trochę skośnie zatknięty w ziemię, jak drewniane podobizny ludzkie z okrętów, w ojczystych ogrodach; czy i on ma tę postawę stąd, że kiedyś stał gdzieś na przedzie w swoim życiu, kędy ruch jest największy? Czy dlatego tak jest teraz zamazany, że kiedyś był kolorowy? Czy chcesz go pytać?

Kobiet tylko nie pytaj o nic, kiedy widzisz, że która karmi ptaszki. Można by nawet iść za nimi; one to robią tak mimochodem: byłoby ci

łatwo. Ale zostaw je. One nie wiedzą, skąd im to przyszło. Mają ni stąd, ni zowąd moc chleba w torbie i spod cienkiej mantyli<sup>53</sup> wyciągają wielkie kawały, pogryzione trochę i mokre. Dobrze im z tym, że ich ślina troszeczkę w świat się dostanie, że małe ptaszki latać będą z tym przysmakiem, chociaż i oczywiście zapomną go zaraz.

Siedziałem oto przy twoich książkach, o ty Uparty, i próbowałem myśleć jak inni, którzy nie chcą pozostawić cię w całości, a wzięli sobie swoją część zadowoleni. Nie pojmowałem bowiem jeszcze sławy, tej publicznej rozbiórki czegoś tworzącego się, na którego plac budowlany wdziera się tłuszcz, przesuwając mu kamienie.

Młodzińcze, gdziekolwiek jesteś, w którym powstaje coś, co mrowiem przechodzi po skórze, *korzystaj* z tego, że cię nikt nie zna! A kiedy przeczą tobie, którzy cię za nic mają, a kiedy poniechają cię zupełnie ci, z którymi

---

<sup>53</sup>*mantyla* (daw.) — rodzaj krótkiej peleryny damskiej. [przypis edytorski]

obcujesz, i kiedy wytępić chcą ciebie gwoli<sup>54</sup> twych myśli kochanych — czym jest to wyrażne niebezpieczeństwo, które cię skupia w tobie, wobec przebiegłego później wroga, sławy, która cię unieszkodliwia, ponieważ cię rozsypuje!

Nie proś nikogo, aby mówił o tobie, nawet nie pogardliwie. A gdy czas idzie i czujesz, jak imię twoje krąży wśród ludzi, nie bierz go poważniej niż wszystko, co znajdujesz w ich ustach. Pomyśl: zepsuło się — i zdejmij je. Inne przybierz, jakiegokolwiek, aby cię Bóg zawołać mógł w nocy. I zakryj je przed wszystkimi.

Ty najsamotniejszy, postronny, jakże cię dogonili na twojej sławie. Jak to dawno, kiedy przeciwni tobie byli z całej duszy — a oto obchodzą się z tobą jak z równym sobie. A słowa twoje ciągną za sobą w klatkach swojej pychy i na placach pokazują, i drażnią je trochę z bezpiecznych swoich miejsc. Wszystkie twoje straszne drapieżniki.

---

<sup>54</sup>*gwoli* (daw.) — ze względu na coś. [przypis edytorski]

Wtenczas czytałem cię dopiero, kiedy wyrwali się i napadli mnie w mojej pustyni ci desperaci. Zrozpaczeni, jak i ty sam zrozpaczony byłeś na końcu, ty, którego droga fałszywie wrysowana jest we wszystkie mapy. Jak rysa idzie ona przez nieba, ta beznadziejna hiperbola twojej drogi, raz tylko wyginająca się ku nam i oddalająca się w przerażeniu. Co tobie zależało na tym, czy kobieta jaka zostaje lub odchodzi i czy kogo ogarnie zawrót, a innego szaleństwo, i czy umarli są żywi, a żywi w letargu: co tobie?

To wszystko było dla ciebie tak naturalne: tyś przez to przeszedł, jak się przechodzi przez sień, i nie zatrzymałeś się. Ale tam przystanąłeś pochylony, gdzie nasze dokonanie dymi i opada, i barwę zmienia, wewnątrz. Wewnętrzniej niż tam, gdzie ktoś był kiedykolwiek; drzwi jakieś odskoczyły przed tobą i oto stałeś przy tyglach w łunie ognia. Tam, dokąd nigdy nie zabierałeś nikogo, o ty, Nieufny, tam siedziałeś i rozróżniałeś przejścia.

I tam, ponieważ wskazywanie miałeś we krwi, a nie kształtowanie, a nie mówienie, tam powzięłeś tę ogromną decyzję; to nikłe, któreś sam zrazu tylko przez szkła spostrzegał, postanowiłeś najzupełniej sam od razu tak powiększyć, aby stało przed tysiącami, olbrzymie, przed wszystkimi. Twój teatr powstał. Ty nie mogłeś czekać, aby to bezprzestrzenne niemal, przez wieki w krople stłoczone życie przez *inne* sztuki znalezione było i stopniowo uwidocznione dla pojedynczych, którzy się z wolna łączą w poznawaniu, którzy wreszcie żądają wspólnego widzenia, jak się te pogłoski dostojne potwierdzają w symbolu rozwartej przed nimi sceny. Ty odczekać tego nie mogłeś, ty pojawiłeś się, ty musiałeś ustalić i trzymać otwartą tę Niepojętość, co się zmierzyć nie da: to uczucie, co się o pół stopnia wznosi; kąt przeważania woli niczym prawie nie obciążonej, odczytany z zupełnie bliska; lekkie i zmącenie w jednej kropli tęsknoty i to „nic” w przemianie barw atomu zaufania. W tych bowiem procesach było teraz życie, nasze życie, które w nas się wśli-

znęło, które się cofnęło do wnętrza, tak głęboko, że już chyba przypuszczeń o nim być nie mogło.

Do wskazywania stworzony byłeś, bezczasowo tragiczny poeto — i przeto musiałeś tę kapilarność<sup>55</sup> błyskawicznie przetworzyć w najbardziej przekonywające gesty, w najbardziej istniejące rzeczy. Tu przystąpiłeś do bezprzykładnego gwałtu twego tworu, który coraz to niecierpliwiej, coraz rozpaczniej pod widzialnością szukał odpowiedników dla rzeczy widzianych wewnątrz. Było tam poddasze, był królik, sala była, w której ktoś chodzi tu i tam: był brzęk szkła w sąsiednim pokoju, pożar przed oknami, słońce. Kościół był i parów skalisty kościołowi równy. Lecz to nie wystarczało; na koniec i wieże pomieścić się musiały, i całe góry, a lawiny, grzebiące szmaty kraju, zasypały scenę rzeczami dotykalnymi, gwoli niepojętości. Ty wtedy nie zdzierzyłeś. Dwa końce, któreś ty nagiął razem, odskoczyły na dwie strony;

---

<sup>55</sup>kapilarność — dosł. włoskowatość, zjawisko podnoszenia się cieczy na różną wysokość w rurkach o niewielkiej średnicy. [przypis edytorski]



wściekła twoja siła wytrysnęła z giętkiego pręta — i dzieło tve: jakby nie było.

Któż by inaczej pojął, że na koniec nie chciałeś oderwać się od okna, z całą właściwą sobie przekorą. Przechodniów chciałeś widzieć; przyszła ci bowiem myśl, czy by którego dnia nie można z nich czegoś zrobić, gdyby się tak człowiek zdecydował zacząć.

Pierwszy raz wtedy uderzyło mnie to, że o kobiecie nic powiedzieć nie można; spostrzegłem, gdy opowiadali o niej, jak skąpo ją traktowali, jak nazywali i opisywali innych, otoczenia, miejscowości, przedmioty, aż do pewnego punktu, gdzie to wszystko kończyło się łagodnie i jakoby ostrożnie, kończyło lekkim, nie podkreślanym nigdy zarysem, który zamykał ją.

— Jaka ona była? — pytałem wówczas.

— Jasna, prawie jak ty — mówili i jęli<sup>56</sup> wyliczać różności, jakie jeszcze znali; przy tym jednak stawali się znowu najzupełniej niedo-

---

<sup>56</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

kładni, a ja już nic nie mogłem sobie wyobrazić. *Widzieć* właściwie mogłem ją tylko wtenczas, kiedy *maman* opowiadała mi tę historyjkę, której żądałem wciąż od nowa.

Naówczas zawsze, gdy dochodziła do sceny z psem, zamykała oczy i zupełnie zamkniętą, ale przeświecającą wszędzie twarz żarliwie jakoś trzymała w obu dłoniach, zimno dotykających skroni.

— Ja to widziałam, Malte — zaklinała się — ja to widziałam.

To było już w ostatnich jej latach, kiedy to od niej słyszałem. W czasach kiedy nikogo już widzieć nie chciała i kiedy stale, w podróży nawet, miała przy sobie małe, gęste srebrne sitko, przez które przelewała wszystkie napoje. Stałych potraw wcale już nie spożywała, biskoptów chyba trochę lub chleba, który drobiła, gdy była sama, i jadła kruszynę po kruszynie, tak jak kruszyny jedzą dzieci. Strach przed szpilkami już wtedy opanował ją całkowicie. Do drugich mawiała tylko na uniewinnienie:

— Ja już nie znoszę nic po prostu, ale niech to was nie martwi, czuję się przy tym wyśmianicie.

Do mnie wszakże mogła się zwrócić nagle (bo już byłem troszeczkę dorosły) i z uśmiechem, który ją bardzo męczył, powiedzieć:

— Ile to jest na świecie szpilek, Malte, i gdzie też one nie leżą, a pomyśleć, jak łatwo wypadają...

Starła się mówić to jak najzartobliwiej, ale zgroza wstrząsała nią na myśl o tych wszystkich źle przytwierdzonych szpilkach, które lada chwila mogły gdzieś wpaść.

Skoro jednakże opowiadała o Ingebordze, nic jej się stać nie mogło. Wówczas nie oszczędzała się; wówczas mówiła głośnie, wówczas śmiała się na wspomnienie śmiechu Ingeborgi, wówczas miało się widzieć, jak piękną była Ingeborga.

— Weseliła nas wszystkich — mawiała — ojca twego też, Malte, dosłownie weseliła. Ale później, kiedy mówiono, że umrze, choć prze-

cież wydawała się tylko trochę chorą, a my błąkaliśmy się i starali to ukryć, ona usiadła raz na łóżku i rzekła tak przed siebie, jak ktoś, kto usłyszeć pragnie, jak to brzmi: „Wy się tak nie wysilajcie. Wiemy to wszyscy, a ja mogę was uspokoić; dobre to, co ma przyjść; ja już nie chcę”. Wyobraź sobie, powiedziała: „Ja już nie chcę”; ona, która weseliła nas wszystkich. Czy ty zrozumiesz to kiedyś, gdy dorośniesz, Malte? Myśl o tym później, może pojdziesz nagle. Byłoby to bardzo dobrze, gdyby ktoś istniał, kto takie rzeczy rozumie.

„Takie rzeczy” zajmowały *maman*, kiedy była sama, a była zawsze sama w tych ostatnich latach.

— Ja już nigdy na to nie wpadnę, Malte — mawiała czasem z dziwnie śmiałym uśmiechem, który nie chciał być widziany przez nikogo i cel swój spełniał kompletnie przez to, że ktoś się nim uśmiechnął.

— Ale że też nikogo to nie pobudza do badania, gdybym była mężczyzną, tak, właśnie, gdybym mężczyzną była, rozmyślałabym o tym

porządnie, po kolei, od samego początku. Bo przecież jakiś początek być musi, a gdyby tak pochwycić go, byłoby to przynajmniej coś. Ach, Malte, przemijamy tak, a mnie się zdaje, że wszyscy są roztargnieni i zajęci i nie bardzo zważają na to, kiedy my przemijamy. Jak gdyby spadała gwiazda i nikt jej nie widział, i nikt sobie nic nie życzył. Nie zapominaj nigdy życzyć sobie czegoś, Malte. Życzeń pozbywać się nie trzeba. Myślę, że nie ma spełnień, ale są życzenia trwające długo, całe życie, tak iż spełnienia i tak doczekać by się nie można.

*Maman* kazała mały sekretarzyk<sup>57</sup> Ingeborgi wstawić na górze do swego pokoju, tam znajdowałem ją często, gdyż wolno mi było zawsze do niej wchodzić. Krok mój gubił się zupełnie w dywanie, ale ona czuła mnie i wyciągała ku mnie rękę poza siebie. Ta ręka nie miała żadnej wagi, a całowało się ją niemal jak ów krucyfiks z kości słoniowej, który mi co wieczór podawano przed zaśnięciem. Przed tym niskim biur-

---

<sup>57</sup>*sekretarzyk* — mebel przypominający biurko, z kompletem szufladek ustawionych na blacie. [przypis edytorski]

kiem, które się jedną płytą otwierało przed nią, siedziała jak przed instrumentem.

— Tyle tu słońca! — mówiła; i rzeczywiście, wewnątrz było dziwnie jasne od starego, żółtego lakieru, na którym wymalowane były kwiaty, zawsze jeden czerwony i jeden niebieski. A gdzie trzy były przy sobie, był między tamtymi trzeci liliowy, dzielący oba pozostałe. Barwy te oraz zieleni wąskich, poziomych pnączy ściemnione były w sobie tak samo jak błyszczące było tło, które jednak jasne właściwie nie było. To stwarzało stłumiony osobliwie stosunek odcieni, wzajemnie uzależnionych wewnątrz, lecz o tej zależności nie mówiących nic.

*Maman* wyciągała małe szufladki, a były wszystkie puste.

— Ach, róże — mówiła, pochylając się nieco naprzód w tę mętną woń, która nie kończyła się. Przy tym zawsze miała wrażenie, że nagle jeszcze coś mogłoby się znaleźć w jakiejś tajemnej skrytce, o której nikt nie pomyślał, a która

ustąpiłaby tylko pod naciskiem jakiejś ukrytej sprężyny.

— Nagle odskoczy, zobaczysz — mówiła poważnie i z lękiem i pośpiesznie wyciągała wszystkie szuflady. Wszystkie jednak papiery, które naprawdę pozostały w biurku, złożyła starannie i zamknęła nie czytając.

— I tak nie zrozumiałabym, Malte, to byłoby z pewnością za trudne dla mnie.

Przekonana była, że wszystko jest dla niej zbyt skomplikowane.

— Nie ma w życiu klas dla początkujących, żąda się od nas od razu rzeczy najtrudniejszych.

Zapewniano mnie, że taką stała się dopiero po strasznej śmierci swej siostry, hrabiny Ollegaard Skeel, która spaliła się, kiedy, wybierając się na bal, poprawić chciała kwiaty we włosach przed lustrem z płonącymi świecznikami. Ale w ostatnich czasach Ingeborga jednak wydała się jej tym, co najtrudniej jest pojąć.

A teraz spiszę tę historię tak, jak ją *maman* opowiadała, gdy o to prosiłem.

Było to w pełni lata, w czwartek po złożeniu zwłok Ingeborgi. Z tarasu, gdzie piło się herbatę, widać było szczyt rodzinnego grobowca spomiędzy olbrzymich wiązków. Nakryto w ten sposób, jak gdyby nigdy nie była jedna osoba więcej siedziała przy tym stole — i siedzieliśmy wszyscy dość rozparci. I każdy coś z sobą przyniósł, książkę lub koszyczek z robótką, tak iż nawet trochę było ciasno. Abelone (siostra najmłodsza *maman*) rozlewała herbatę i wszyscy zajęci byli podawaniem czegoś, dziadek twój tylko z fotela spoglądał ku domowi. Była to pora, kiedy oczekiwano poczty, a zazwyczaj składało się tak, że przynosiła ją Ingeborga, dłużej zatrzymana w domu zarządzeniami gospodarczymi. W czasie tygodni jej choroby mieliśmy więc dość czasu, by odwyknąć od jej zjawiania się; wiedzieliśmy bowiem, że przyjść nie może. Ale popołudnia tego, Malte, kiedy rzeczywiście już przyjść nie mogła — przyszła.

Może to nasza wina była. Może myśmy ją wołali. Bo przypominam sobie, że nagle sie-



działam tu i natężałam się, aby sobie przypomnieć, co to właściwie teraz się zmieniło. I nagle nie mogłam zupełnie powiedzieć, co. Zapomniałam doszczętnie. Podniosłam oczy i ujrzałam wszystkich zwróconych ku domowi, ale nie w jakiś szczególny, uderzający sposób, a tak najspokojniej, najcodzienniej, w oczekiwaniu. I już, już miałam — (mróz mnie przeszywa, Malte, kiedy pomyślę), ale, niech Bóg mnie strzeże, już miałam powiedzieć:

— A co to tak długo nie widać...

Wtem Cavalier, jak zwykle, wyrwał się spod stołu i wybiegł ku niej. Ja to widziałam, Malte, ja to widziałam. Wybiegł ku niej, chociaż ona nie przyszła. Dla niego *przyszła*. Zrozumieliśmy, że ku niej wybiegł. Dwa razy obejrzał się ku nam, jakby pytając. Potem rzucił się na nią tak, jak zawsze, i dopadł jej. Zaczął skakać naokoło, Malte, naokoło czegoś, czego nie było, a potem w górę na nią, lizać, prosto w górę. Słyszeliśmy, jak skowyczał z radości, a gdy tak ciskał się w górę, kilka razy prędko po sobie, można było naprawdę sądzić, że zakrywa

ją podskokami. Ale nagle zawyło, a on własnym rozpędem obrócił się w powietrzu i runął wstecz, dziwnie niezgrabnie, i zupełnie osobliwie leżał płasko, i nie ruszał się.

Od drugiej strony lokaj wyszedł z domu z listami. Zawahał się przez chwilę; najwidoczniej niezupełnie łatwo było zbliżyć się ku naszym twarzom. I już też kiwał twój ojciec, żeby został. Twój ojciec, Malte, nie lubił zwierząt. Ale teraz jednak poszedł powoli, jak mi się zdawało, i pochylił się nad psem. Przemówił coś do lokaja, coś krótkiego, jednozgłoskowego. Widziałam, jak lokaj rzucił się podnieść Cavalierra. Lecz oto ojciec twój sam wziął zwierzę i wszedł z nim w dom, jak gdyby wiedział dokładnie dokąd.

Pewnego razu, kiedy przy tym opowiadaniu prawie się ściemniło, o mało nie opowiedziałem *maman* o „ręce”: w takiej chwili byłbym potrafił. Już zaczerpnąłem powietrza, by zacząć, ale tu przypomniałem sobie, jak ja dobrze pojąłem lokaja, który nie mógł iść ku ich

twarzom. I mimo ciemności bałem się twarzy *maman*, gdyby ta twarz ujrzała, co ja widziałem. Jeszcze raz odetchnąłem szybko, aby wyglądało tak, jakbym nie chciał nic innego. Kilka lat później, po tej osobliwej nocy w galerii w Urne, nosiłem się całymi dniami z myślą zwierzenia się małemu Erykowi. On wszakże po naszej rozmowie nocnej zamknął się znowu przede mną zupełnie, unikał mnie; myślę, że pogardzał mną. I właśnie dlatego chciałem mu opowiedzieć o „ręce”. Uwidziałem sobie, iż zyskam w jego mniemaniu (a tego pragnąłem usilnie dla pewnego powodu), gdybym zdołał wytłumaczyć mu, że przeżyłem to rzeczywiście. Eryk tak jednak był sprytny w wymijaniu, że nic z tego nie było. A i potem zresztą wyjechaliśmy zaraz. Tak oto, dziw nad dziwy, po raz pierwszy zdarza się, że opowiadam zdarzenie, które daleko za mną leży w dzieciństwie.

Jak mały wtedy jeszcze być musiałem, wnoszę<sup>58</sup> z tego, że klęczałem na fotelu, by swobodnie dosięgnąć stołu, na którym rysowałem. Był

---

<sup>58</sup>*wnosić* — tu: wnioskować. [przypis edytorski]

wieczór, zima, jeśli się nie mylę, w miejskim mieszkaniu. Stół w moim pokoju stał między oknami i jedna tylko lampa świeciła na moje karty i książkę *mademoiselle*<sup>59</sup>; bo *mademoiselle* siedziała obok mnie, odsunięta nieco, i czytała. Była hen daleko, gdy czytała, nie wiem, czy była w książce; umiała czytać godzinami, rzadko przewracała karty — i miałem wrażenie, że stronice pod nią stają się coraz pełniejsze, jak gdyby wzrokiem dodawała słów, określonych słów, które jej były potrzebne, a których nie było. Tak mi się wydawało, kiedy rysowałem. Rysowałem powoli, bez wyraźnych zamiarów, a gdy nie wiedziałem, co dalej, patrzałem na to wszystko z głową lekko pochyloną na prawo; tak najłatwiej zawsze przychodziło mi na myśl to, czego było brak. Oficerowie albo jechali konno do boju, albo już walczyli, a to było znacznie łatwiejsze, bo wtenczas wystarczał już tylko dym, który otulał wszystko. *Maman* wprawdzie twierdzi stale, że ja malowałem wy-

---

<sup>59</sup>*mademoiselle* (fr.) — panna (tu jako grzecznościowy zwrot do nauczycielki domowej). [przypis edytorski]

spy; wyspy z wielkimi drzewami i zamkiem, i schodami, i kwiatami na skraju, które miały się przeglądać w wodzie. Ale mnie się zdaje, że albo ona zmyśla, albo to było później.

Nie ma dwóch zdań, że tego wieczora rysowałem rycerza, pojedynczego, bardzo wyraźnego rycerza na dziwnie przybranym koniu. Zrobił się tak kolorowy, że często musiałem zmieniać kredki, lecz przede wszystkim jednak potrzebna była czerwona, po którą sięgałem co chwila. Oto jeszcze raz była konieczna; i nagle (widzę ją jeszcze) potoczyła się skośnie przez oświetlony arkusz aż na krawędź stołu i zanim zdołałem przeszkodzić, spadła koło mnie i zniknęła. Potrzebna mi była naprawdę pilnie i bardzo przykro było teraz pełzać za nią. Mocno niezgrabny byłem, więc niemało kosztowało mnie to ceregieli, by się dostać na dół. Nogi wydały mi się o wiele za długie, nie umiałem ich wyciągnąć spod siebie. Zbyt długotrwałe klęczenie sprawiło, że mi członki<sup>60</sup> ścierpły. Nie wiedziałem, co należy do mnie, a co do krze-

---

<sup>60</sup>członki (daw.) — kończyny. [przypis edytorski]

sła. Nareszcie jednak, oszołomiony nieco, dotarłem pod stół i znalazłem się na włochatej skórze, rozciągniętej pod stołem aż do ściany. Ale tu powstała nowa trudność. Oczy moje, nastawione na jasność tam w górze i całe jeszcze zachwycone barwami na białym papierze, niezdolne były rozeznąć cokolwiek pod stołem, gdzie czerń wydała mi się tak zamkniętą, iż bałem się ją potrącić. Zdałem się więc na wyzucie, i klęcząc na lewej dłoni wsparty, drugą ręką czesałem długowłose kobierzec, bardzo miły w dotyku; lecz kredki ani śladu.

Zdawało mi się, że tracę wiele czasu, i już chciałem wołać *mademoiselle*, aby mi pottrzymała lampę, kiedy zauważyłem, że dla moich mimowolnie wyteżonych oczu mrok stopniowo stawał się bardziej przejrzysty. Już odróżnić mogłem ścianę w głębi, kończącą się jasną listwą; zorientowałem się co do nóg stółowych; poznałem nade wszystko moją własną rozcapierzoną dłoń, która samiuteńka, trochę jak wodne zwierzątko, ruszała się tam w dole i badała dno. Przyglądałem się jej, wiem to

jeszcze, prawie z ciekawością; miałem wrażenie, jakoby umiała rzeczy, których jej wcale nie uczyłem, kiedy tak macała samowolnie tam w głębi ruchami, jakich nie obserwowałem u niej nigdy. Ścigałem ją, kiedy się posuwała, bawiło mnie to, przygotowany byłem na wiele niespodzianek. Ale jakże miałem być przygotowany na to, że ku niej nagle od ściany zaczęła iść ręka inna, większa, niezwykle chuda ręka, jakiej nigdy jeszcze nie widziałem. W podobny sposób szukała od drugiej strony — i dwie rozstawione dłonie sunęły ślepo ku sobie...

Ciekawość moja jeszcze się nie wyczerpała, ale nagle urwała się — i pozostała sama groza. Czuję, że jedna z tych dwu rąk należy do mnie i że oto zapuszcza się w coś, co już się nie da naprawić. Siłą całego prawa, jakie do niej miałem, powstrzymałem ją i cofnąłem płasko i wolno, nie spuszczając z oka tamtej, która szukała dalej. Pojąłem, że ona nie zaprzestanie; nie umiem powiedzieć, w jaki sposób znalazłem się znowu na górze.

Siedziałem zagłębiony w fotelu, zęby dzwoniły, a w twarzy miałem tak mało krwi, że zdawało mi się, że nic już błękitu nie ma w moich oczach.

— *Mademoiselle* — chciałem rzec i nie mogłem, lecz ona przeraziła się sama, cisnęła książkę i uklękła przy fotelu, i wołała moje imię; zdaje mi się, że trzęsa mną. Ale ja byłem przy zdrowych zmysłach. Przełknąłem kilkakrotnie, bo teraz oto chciałem opowiedzieć.

Lecz jak? Wysiłem się niewymownie, ale tego nie można było wyrazić tak, aby ktoś zrozumiał. Jeśli były słowa dla tego wydarzenia, to ja byłem zbyt mały, aby je znaleźć. I nagle zdjął mnie strach, że one jednak, niezależnie od mojego wieku, nagle mogłyby się znaleźć — i wydało mi się to straszliwszym nad wszystko, gdybym je wtenczas miał powiedzieć. Tę rzeczywistość tam w dole przeżyć raz jeszcze, przemienioną od początku; słyszeć, jak ja to przyznaję — na to już sił nie miałem.

Jest to naturalnie przywidzenie, jeżeli oto twierdzę, jakobym w onych już czasach czuł,



że tam coś weszło w moje życie, prostą drogą w moje życie, coś, z czym miałbym sam obnosić się po wszystkie czasy. Widzę siebie leżącego w zakratowanym łóżeczku, widzę, jak nie śpię i jakoś niewyraźnie przewiduję, że takie będzie życie: pełne samych rzeczy osobliwych, które pomyślane są tylko dla *jednego*, a których powiedzieć nie można. Pewne jest to, że się stopniowo podnosiła we mnie smutna, ciężka дума. Wyobrażałem sobie, jak to się chadzać będzie, pełnym wnętrza i milczącym. Odczuwałem dziką sympatię dla dorosłych; podziwiałem ich i postanawiałem powiedzieć im to, że ich podziwiam. Postanowiłem powiedzieć to *mademoiselle* przy najbliższej sposobności.

A potem przyszła jedna z tych chorób, które miały mi dowieść, że to nie było pierwsze własne przeżycie. Gorączka ryła we mnie i z samego dna wywlekała doświadczenia, obrazy, fakty, o których nie wiedziałem, leżałem oto przytłoczony sobą i czekałem na chwilę, kiedy otrzymam rozkaz wtłoczenia znowu tego wszyst-

kiego w siebie, porządnie, kolejno. Zaczynałem, ale mi to w rękach rosło, broniło się, za wiele tego było. Potem wzięła mnie złość, garściami wszystko wrzuciłem w siebie i stłoczyłem; ale nie domknąłem się już. I teraz jałem<sup>61</sup> krzyczeć wpólotwarty, krzyczeć i krzyczeć. A kiedy zaczynałem wychylać się z siebie, oni od dawna stali wkoło mego łóżka i ręce mi trzymali — i była świeca, a wielkie ich cienie za nimi się ruszały.

I ojciec mój kazał mi powiedzieć, co się ze mną dzieje. Rozkaz był uprzejmy, ściszony, ale jednak rozkaz. A on zniecierpliwił się, bo nie odpowiedziałem.

*Maman* nigdy nie przychodziła w nocy — a raczej nie, raz przyszła. Krzyczałem i krzyczałem i *mademoiselle* przyszła, i gospodyni, pani Sieversen, i stangret Grzegorz; ale to nie pomagało nic. I wreszcie posłali konie po rodziców, którzy byli na wielkim balu, zdaje się u następcy tronu. I wtem posłyszałem, jak po-

---

<sup>61</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

wóz zajeżdżał przed dom — i ucichłem, usiadłem i patrzyłem na drzwi...

I nagle zaszumiało z lekka w przyległych komnatach i *maman* weszła w wielkiej dworskiej toalecie<sup>62</sup>, wcale na nią nie zważając, i biegła niemal, i białe futro upuściła za sobą, i wzięła mnie w nagie ramiona.

A ja dotykałem, niezwykle zdumiony i zachwyty pełen, jej włosów i wypieszczonych lic, i zimnych kamieni w uszach, i jedwabiu na brzegu ramion pachnących kwiatami. I tak trwaliliśmy, płacząc rzewnie i całując się, aż poczuliśmy, że jest ojciec i że trzeba nam się rozstać.

— On ma wielką gorączkę — posłyszałem, jak mówiła *maman* nieśmiało, a ojciec sięgnął po moją dłoń i liczył puls. Miał mundur Wielkiego Łowczego z piękną, szeroką, wodnistobłękitną wstęgą Słonia.

— Cóż za głupstwo, żeby nas sprowadzać — rzekł w głąb pokoju, nie patrząc na mnie.

Przyrzekli wrócić, gdyby nie było nic groźnego. A przecież groźnego nic nie było. A na

---

<sup>62</sup>*toaleta* — elegancka suknia. [przypis edytorski]

kołdrze znalazłem karnecik maminy i białe karmelie, których nigdy jeszcze nie widziałem — i położyłem je sobie na oczach, skoro zauważyłem, jakie są chłodne.

Ale długie naprawdę były popołudnia w takich chorobach. Nad ranem po złej nocy zawsze się zasypiało — a skoro po przebudzeniu sądziło się, że to znów ranek, wtedy było popołudnie i trwało popołudnie, i nie przestawało popołudniem być. Tak się więc leżało w zasłanym łóżku i rosło się może troszeczkę w przegubach, i było się zbyt zmęczonym, aby wyobrazić sobie cośkolwiek. Smak jabłecznego kompotu trwał długo — a to już wiele było, jeśli się go mimowolnie jakoś tłumaczyło i czystemu kwaskowi pozwalało w sobie krążyć zamiast myślom. Później, gdy powracały siły, za plecami układano stosy poduszek — i wolno było siadać i bawić się żołnierzami. Ale oni tak łatwo przewracali się na pochyłej desce i to zawsze cały rząd od razu; a przecież jeszcze się tak niezupełnie było w samym życiu, żeby za-

czynać wciąż od nowa. Nagle miało się dosyć — i prosiło się o zabranie wszystkiego jak najprędzej — i tak błogo było widzieć znów tylko te dwie ręce, trochę dalej na pustej kołderce.

Gdy *maman* czasem przychodziła na pół godziny i czytała bajki (do porządnego, długiego czytania była pani Sieversen), to nie robiła tego gwoli bajek. Zgadzałyśmy się bowiem co do tego, że bajek nie lubimy. Inne mieliśmy pojęcie o cudowności. Uważałyśmy, że jeśli wszystko dzieje się najnaturalniej, to właśnie to jest zawsze najcudowniejsze. Nie zależało nam bardzo na tym, by fruwać w powietrzu, wróżki rozczarowywały nas, a po przemianach w coś innego oczekiwaliśmy bardzo powierzchownych tylko urozmaiceń. Ale czytało się jednak trochę, aby wyglądało na to, że jesteśmy zajęci. Niemile to było, kiedy ktoś wchodził i trzeba było mu tłumaczyć, co w danej chwili robimy; przede wszystkim wobec ojca byliśmy przesadnie skrupulatni.

Wtedy jeno, gdy zupełnie byliśmy pewni, że nikt nam nie przeszkodzi, a na dworze zmierz-

chało — mogło się zdarzyć, że oddawaliśmy się wspomnieniom, wspólnym wspomnieniom, co nam obojgu wydawały się stare i nad którymi uśmiechaliśmy się; od tych czasów bowiem wydorośleliśmy oboje.

Przypomniało się nam, że był czas, kiedy *maman* pragnęła, abym ja był małą dziewczynką, a nie chłopcem, jakim byłem od początku. Jakoś to odgadłem i wpadałem czasem na pomysł zastukania po południu do drzwi maminych.

A kiedy pytała, kto tam, uradowany wołałem za drzwiami:

— Zosia!

Przy czym wydawałem głosik tak misterny, że drapało mnie w gardle.

A gdy potem wchodziłem (w małej dziewczęcej sukience, którą nosiłem zawsze z podkaszanymi wysoko rękawkami), wtedy byłem po prostu Zosią, maminą małą Zosią, która się krzątała po domu i której warkocz musiała spłatać *maman*, aby nikt nie pomylił jej z brzydalem Maltem, gdyby on wrócił kiedykolwiek.

Nikt tego nie pragnął bynajmniej; o nie, *maman* i Zosia rade były, że się ulotnił, a ich rozmowy (kontynuowane przez Zosię wciąż tym samym wysokim głosikiem) składały się przeważnie z wyliczania niegrzeczności Maltego i wyrzekań na niesforne go chłopaka.

— Ach, tak, ten Malte — wzdychała *maman*.

A Zosia wiele umiała powiedzieć o niegodziwości chłopców w ogóle, jak gdyby ich znała Bóg wie ilu.

— Chciałabym wiedzieć, co się z Zosią stało — mówiła *maman* nagle wśród takich wspomnień.

Tu oczywiście Malte nie umiał udzielić objaśnień. Ale kiedy *maman* wyraziła przypuszczenie, że ona z pewnością umarła, Malte sprzeciwiał się przekornie i zaklinał, aby w to nie wierzyła, chociaż tego absolutnie dowieść nie było można.

Gdy teraz myślą przebiegam to wszystko, muszę się dziwić, iż z tego świata gorączek zawsze jednak powracałem do cna i wzywałem

się w to najzupełniej wspólne życie, gdzie każdy chciał się utwierdzić w poczuciu, że jest u znajomych, i gdzie tak się ostrożnie, znośnie żyło w tym, co łatwe i zrozumiałe. Tam oczekiwano się czegoś i to coś przychodziło albo nie przychodziło, trzecia możliwość nie istniała. Były tam rzeczy smutne raz na zawsze, były rzeczy miłe i cała moc podrzędnych. Gdy jednak komuś sprawiało się radość, to była to radość, a on musiał zachowywać się odpowiednio. Właściwie wszystko to było bardzo proste — a skoro raz się było na tropie, wszystko szło jak z płatka. W tych umówionych granicach wszystko już się potem mieściło: długie, jednostajne lekcje w szkole, kiedy na dworze było lato; spacery, o których trzeba było opowiadać po francusku; goście, do których trzeba było wyjść i którzy uważali, że się jest komicznym właśnie wtedy, gdy się smutnym było, a którzy tak się dzieckiem bawili, jak się ludzie bawią niekiedy strapioną miną pewnych ptaszków, co innej miny nie mają. No i naturalnie imieniny, na które sproszone dzieci prawie nieznanome, za-



kłopotane dzieci, przy których mieszał się sam solenizant, albo zuchwałe, które gospodarzowi drapały twarz i psuły to, co przed chwilą dostał, a potem nagle odjeżdżały, gdy wszystko powyciągane z szuflad i pudeł leżało jak groch z kapustą.

Kiedy się wszakże bawiło samemu, mogło się jednak wydarzyć, że się ów umówiony, na ogół nieszkodliwy świat przekraczało niepostrzeżenie i wpadało w stosunki zgoła odmienne i najzupełniej nieprzewidziane.

*Mademoiselle* miewała niekiedy migreny, objawiające się niezwykle silnie, a były to dni, kiedy trudno było mnie znaleźć. Wiem, że wówczas wysyłano do parku stangreta, skoro ojciec wpadł na pomysł zapytania o mnie, a mnie nie było. Z góry, z pokoju gościnnego, mogłem obserwować, jak stangret wybiegł i wołał mnie na początku długiej alei.

Te gościnne pokoje znajdowały się jeden przy drugim pod szczytem dworu w Ulsgaard i prawie stale były puste, jako że w owych czasach bardzo rzadko miewaliśmy gości. Tuż obok

natomiast był ów duży pokój narożny, pociągający mnie tak niezwykle. Nic tam nie było prócz starego popiersia, jak mi się zdaje, admirała Juela, ale ściany wokoło były obstawione głębokimi, szarymi szafami w ten sposób, że nawet okno umieszczone było aż nad szafami w pustej bielonej ścianie. Klucz znalazłem w jednej z szaf, a stosował się do wszystkich innych. Tak w krótkim czasie przeszukałem wszystko: fraki szambelańskie z osiemnastego wieku, zupełnie zimne od whaftowanych nitek srebrnych, i do tego piękne wyszywane kamizelki, stroje orderów Słonia i Dannebrog, które zrazu uważałem za suknie kobiece, tak były bogate i ceregielne, i z podszewką tak miękką w dotyku. Dalej prawdziwe toalety dworskie, podtrzymywane szkieletami, wisiały sztywno jak marionetki z jakiejś zbyt długiej sztuki, która tak dalece wyszła z mody, że się ich głowy zużyło do innych celów. A obok były szafy, w których ciemno było, gdy się je otwierało, ciemno od wysoko zapiętych mundurów, a te mundury miały wygląd znacznie bardziej zno-

szony niż wszystko i właściwie chciały się nie przechować.

Nikt się nie będzie dziwił, że to wszystko wyciągałem na światło; że to i owo przykładałem do siebie lub przymierzałem, że kostium, który mógł się mniej więcej nadawać, nakładałem porywczo i pędziłem w nim, ciekawy i wzburzony, do najbliższego pokoju gościnnego, przed wąskie zwierciadło między oknami, złożone z pojedynczych, nierówno zielonych kawałków szkła...

Ach, jak się drżało, widząc w nim siebie, i jakie to było porywające, skoro się tam było we własnej osobie! Gdy oto coś z mętnej głębi się zbliżało, wolniej niż ja sam, bo zwierciadło jakby nie chciało wierzyć i, kompletnie zaspane, nie zaraz chciało powtarzać, co mu się dyktowało. Lecz w końcu musiało oczywiście. I teraz było w tym coś bardzo niespodziewanego, obcego, zupełnie innego niż to, co człowiek myślał, coś nagłego, samodzielnego, dającego się szybko ogarnąć, by w następnej chwili jednak poznać siebie, nie bez pewnej ironii, która

o włos mogła zniszczyć całą przyjemność. Jeśli się wszakże zaczynało mówić natychmiast, kłaniać się, jeśli się dawało sobie znaki i, bezustannie patrząc w lustro, cofało się, a potem wracało z decyzją i zaciekawieniem — naten-  
czas imaginację miało się po swojej stronie do woli.

Poznałem wówczas wpływ, jaki może brać się bezpośrednio z danego stroju. Za ledwie włożyłem jeden z tych ubiorów, musiałem przyznać, że wziął mnie w swoją moc; że dyktował mi ruchy, wyraz twarzy, pomysły nawet. Moja ręka, na którą koronki spadały bezustannie, wcale nie była zwykłą moją ręką. Ruszała się jak aktor, a nawet, chciałbym rzec, przyglądała się samej sobie, choć brzmi to przesadnie. Te udawania jednakże nigdy nie posuwały się tak daleko, abym się czuł obcy sobie samemu; przeciwnie, im bardziej się przemieniałem, tym głębszego przekonania nabierałem o sobie. Stawałem się coraz to śmielszy; rosłem coraz wyżej; bo moja wprawa w chwytaniu nie ulegała wątpliwości.

W tej szybko rosnącej pewności nie odczułem pokusy. Na moją zgubę jeszcze tylko potrzeba było tego, żeby ostatnia szafa, której dotąd jakoś nie mogłem otworzyć, rozwarła się pewnego dnia i zamiast określonych strojów ukazała mi całą górę niewyraźnego śmiecia maskaradowego, to fantastyczne „ni to, ni owo” napędziło mi krew do głowy. Nie sposób powiedzieć, czego tam nie było. Prócz półmaski „bautty”, którą pamiętam, były tam domina<sup>63</sup> w najróżniejszych barwach, szaty niewieście jasno dzwoniące naszytymi monetami, pierrotty<sup>64</sup>, które mnie się wydały głupawe, i fałdziste tureckie spodnie, i czapki perskie, z których wypadały małe woreczki z kamforą, i korony w kształcie obręczy o głupich kamykach bez wyrazu. Tym wszystkim pogardzałem trochę; taką to miało skąpą nierzeczywistość i tak zwiślało mizernie i oklepanie, i na światło wywleczone tak opadało bezwolnie.

---

<sup>63</sup>*domino* — rodzaj płaszczka z kapturem. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*pierrot* — postać z francuskiej pantomimy, w białym stroju i z pobieloną twarzą. [przypis edytorski]

W pewien rodzaj upojenia wprawiały mnie jednak te płaszcze obszerne, te chusty, szale i welony, wszystkie te ustępliwe, wielkie, niezużyte materie, miękkie i przymilne albo tak śliskie, że je ledwie można było pochwycić, albo tak lekkie, że ulatywały jak wietrzyk, albo po prostu ciężkie z całym swym brzemieniem. W nich dopiero ujrzałem naprawdę wolne i nieskończenie ruchliwe możliwości: niewolnicą być, którą sprzedają, albo Joanną d'Arc, albo starym królem, albo czarodziejem, to wszystko miało się teraz w ręku, tym bardziej że i maski były, wielkie, groźne lub zdziwione twarze z prawdziwymi brodami, o pełnych albo podniesionych brwiach. Nigdy przedtem nie widziałem masek, ale zrozumiałem natychmiast, że maski muszą istnieć. Roześmiałem się, kiedy przyszło mi na myśl, że mieliśmy psa, który tak wyglądał, jak gdyby nosił maskę. Wyobraziłem sobie jego serdeczne oczy, które zawsze jakby z tyłu patrzyły we włochaty pysk. Jeszcze się śmiałem przebierając się, a od śmiechu zapomniałem zupełnie, co właściwie chciałem

udawać. No, będzie nowa zabawa rozstrzygnąć to dopiero później przed lustrem. Twarz, którą sobie przywiązałem, pachniała osobliwie pusto, przylgnęła silnie do mojej, ale widziałem przez nią wygodnie — i dopiero, kiedy maska już była utwierdzona, wybrałem różne chusty, które sobie na kształt turbanu owinąłem koło głowy, tak iż brzeg maski u dołu sięgający olbrzymiego, żółtego płaszcza, od góry, także i z boków, zasłonięty był prawie zupełnie.

W końcu, gdy już sił więcej nie miałem, uznałem się za dostatecznie zakapturzonego. Pochwyciłem jeszcze wielką laskę i wyciągniętą ręką posuwałem ją obok siebie; w ten sposób z niemałym wysiłkiem, ale pełen, jak mi się wydało, godności, zawlokłem się do pokoju gościnnego wprost do zwierciadła.

I było to też wspaniałe, ponad wszelki wyraz. Zwierciadło zaraz też to oddało, zbyt to było przekonywające. Wcale nie trzeba się było wiele ruszać; zjawisko to było doskonałe; nawet kiedy nie robiło nic. Wszelako trzeba było dowiedzieć się, czym ja właściwie byłem —

obróciłem się więc nieco i podniosłem wreszcie obie ręce: wielkie zaklinające niejako ruchy, oto, jak już zauważyłem, jedyne gesty stosowne.

W tej uroczystej wszakże chwili usłyszałem tuż koło siebie niezwykle złożony łoskot, przygłuszony przez moje zamaskowanie. Przerażony ogromnie, straciłem z oczu tamtą zjawę w lustrze i byłem mocno zły, zauważywszy, że przewróciłem okrągły stolik z Bóg wie jakimi, prawdopodobnie bardzo kruchymi przedmiotami.

Schyliłem się z wielkim trudem i ujrzałem potwierdzenie najgorszych moich przewidywań: wyglądało to, jakby wszystko było stłuczone. Obie te niepotrzebne, zielonawo-liliowe papugi z porcelany były naturalnie zbite, każda na inny złośliwy sposób. Bombonierka, z której posypały się cukierki wyglądające jak jedwabiście omotane owady, odrzuciła wieko od siebie, a widać było jego jedną połowę tylko, druga zniknęła w ogóle.



Najfatalniejszy jednak był flakon rozbity na tysiąc maleńkich kawałków, z którego trysnęła resztką starej jakiejś esencji i utworzyła oto na jasnej posadzce plamę o nader wstrętnej powierzchni. Wytarłem ją szybko czymś, co na mnie wisiało, lecz plama zrobiła się jeszcze bardziej czarna i niemiła. Byłem po prostu w rozpacz. Podniosłem się, szukając jakiegokolwiek przedmiotu, którym to wszystko można by naprawić. Ale nie znalazło się nic. Poza tym tak miałem skrępowany wzrok i każdy ruch, że porwała mnie złość na moje bezsensowne położenie, którego już pojąć nie mogłem. Szarpałem na wszystkie strony, lecz wszystko zaciskało się jeszcze ciaśniej. Sznurki płaszcza dusiły mnie, a szmaty na głowie uwierały, jak gdyby wciąż ich przybywało. Przy tym powietrze zrobiło się mętne i jakby zamglone nieświeżym oparem rozlanego płynu.

Rozgrzany i gniewny rzuciłem się do zwierciadła i z trudem patrzyłem przez maskę, jak pracowały moje ręce. Ale zwierciadło tylko na to czekało. Chwila odwetu dla niego nadeszła.

Podczas kiedy ja w zastraszająco rosnącym niepokojem usiłowałem w jaki bądź sposób wyzwolić się z mojego zakapturzenia, ono mnie zniewoliło, nie wiem jak, do podniesienia oczu i poddyktowało mi obraz, nie, rzeczywistość, obcą, niepojęcie monstrualną rzeczywistość, którą przeponiony zostałem wbrew swej woli: teraz bowiem ono było silniejsze, a ja byłem zwierciadłem.

Wlepiałem oczy w tego wielkiego, straszniego nieznajomego przede mną i ta samotność z nim jednym wydała mi się potworna. Lecz w tej samej chwili, kiedy to pomyślałem, stała się rzecz ostateczna: straciłem resztę rozumu, po prostu odpadłem. Przez jedną sekundę czułem nieopisaną, bolesną i daremną tęsknotę za sobą samym, potem już tylko był on: nie było nic prócz niego.

Rzuciłem się do ucieczki, ale teraz uciekał on właśnie. Potrącał o meble, nie znał domu, nie wiedział, dokąd biec; zbiegł po jakichś schodach, wpadł w korytarzu na jakąś osobę, która wyrwała się z krzykiem. Otworzyły się kę-

dyś drzwi, wypadło kilka osób: och, och, jak to dobrze, że się je znało! To była pani Sieversen, dobra pani Sieversen, i pokojówka, i kamerdyner: teraz musiało się rozstrzygnąć. Lecz oni nie podbiegli na ratunek; okrutność ich nie miała granic. Stali tak i śmiali się, mój Boże, oni mogli stać i śmiać się.

Płakałem, ale maska nie przepuszczała łez, one w środku ciekły mi po twarzy i wysychały zaraz, i ciekły znów, i wysychały. I wreszcie ukląknęłam przed nimi, jak nigdy nie klęczał człowiek żaden: klęczałem i ręce wzniosłem ku nim, i błagałem:

— Wyjąć, jeżeli jeszcze można, i zatrzymać!...

Ale oni nie słyszeli. Nie miałem już głosu.

Pani Sieversen opowiadała przez całe życie, jak upadłem i jak wciąż dalej się śmiali w przekonaniu, że tak trzeba. Tak do tego u mnie przywykli. Ale potem jednak leżałem jeszcze i nie odpowiadałem. I to przerażenie, kiedy wreszcie odkryli, że jestem nieprzytomny, i leżę jak

drewno we wszystkich tych szmatach, dosłownie jak drewno.

Czas szedł nieobliczalnie prędko — i nagle znowu nadeszła chwila, kiedy trzeba było zaprosić pastora, doktora Jespersena. Zaczynało się wówczas dla obu stron mozolne i długotrwałe śniadanie. Przyzwyczajony do bardzo pobożnego sąsiedztwa, które się zawsze po prostu rozpływało nad nim, u nas wcale nie czuł się dobrze; był niejako wyrzucony na ląd i łykał powietrze. Oddychanie skrzelami, jakie w sobie wykształcił, odbywało się z trudem, tworzyły się bąble i wszystko to nie było zupełnie bezpieczne.

Tematu do rozmowy, o ile mam być dokładny, nie było wcale; oddawało się resztki po niebywałych cenach, była to wyprzedaż wszelkich zapasów. Doktor Jespersen u nas musiał się ograniczać do czegoś w rodzaju osoby prywatnej; tym natomiast właśnie nigdy nie był. Jak daleko myślą mógł sięgnąć wstecz, zawsze zaangażowany był w fachu duchowym. Dusza

była dlań publiczną instytucją, którą reprezentował, a potrafił nigdy nie być poza służbą, nawet w stosunku do własnej żony, „swojej skromnej, wiernej Rebeki, przez rodzenie dzieci dostępującej zbawienia” — jak wyraził się w innym wypadku Lavater.

(A zresztą co się tyczy ojca mego, to postawa jego wobec Boga była najzupełniej poprawna, uprzejma bez zarzutu. W kościele nieraz mi się zdawało, jakby łowczym był u Pana Boga, kiedy stał i czekał, i skłaniał się. *Maman* natomiast uważała to za obrazę niemal, że ktoś mógł być uprzejmym w stosunku do Boga. Gdyby była natrafiła na religię o wyraźnych i szczegółowych ceremoniach, odczuwałyby błogość nie lada w długotrwałym klęczaniu i padaniu na twarz, i żegnaniu się wielkim znakiem krzyża na piersiach i wkoło ramion. Modlitwy właściwie mnie nie nauczyła, ale czuła się spokojna, ponieważ klęczałem chętnie i ręce składałem, raz zgięte, to znów wyprostowane, zależnie od tego, co mi się wydawało w danej chwili bardziej wyraziste. Zo-

stawiony w spokoju jakim takim, wcześniej przeżyłem szereg etapów rozwoju, które dopiero znacznie później w czasie rozpaczki odniosłem do Boga — i to z taką gwałtownością, że Bóg utworzył się i znikł w tej samej prawie chwili. Oczywiście potem zaczynać musiałem zupełnie od nowa. Przy tym zaczynaniu nieraz mniemałem, że potrzebna mi jest *maman*, aczkolwiek naturalnie słuszniej było przechodzić to samemu. A wówczas ona też już dawno nie żyła.<sup>65)</sup>

Wobec doktora Jaspersena *maman* umiała być prawie swawolna. Wdawała się z nim w rozmowy, które on brał poważnie, a kiedy potem zabierał głos, uważała, że to wystarcza, i nagle zapominała o nim, jak gdyby go już nie było.

— Jak można — mówiła nieraz o nim — tak objeżdżać po świecie i zachodzić do ludzi, właśnie gdy umierają.

Zaszedł także do niej przy tejże sposobności, ale ona z pewnością już go nie widzia-

---

<sup>65</sup>A zresztą... dawno nie żyła. — w rękopisie jest to dopisek na marginesie. [przypis edytorski]

ła. Zmysły jej obumierały, jeden po drugim, na samym początku wzrok. Było to w jesieni, mieliśmy już wyprowadzać się do miasta, kiedy ona rozchorowała się właśnie, a raczej zaraz poczęła umierać, wolno i beznadziejnie obumierać na całej powierzchni. Przyszli lekarze i pewnego dnia wszyscy byli w komplecie i opanowali cały dom. Przez kilka godzin zdawało się, że dom należy do pana radcy i jego asystentów i że my tu wcale już nie mamy głosu. Lecz po niedługim czasie stracili oni wszelkie zainteresowanie, zjawiali się tylko pojedynczo, niby zgoła ceremonialnie, aby wypalić cygaro i wypić lampkę wina. A *maman* umarła tymczasem.

Czekano jeszcze tylko na jedyne go brata *maman*, hrabiego Krystiana Brahe, który czas pewien spędził, o czym pono pamięć nie zginęła jeszcze, w służbie tureckiej, gdzie odznaczył się, jak mawiano, wybitnie. Przyjechał dnia pewnego w towarzystwie cudacznego sługi — i zauważyłem z zadziwieniem, iż wyższy był od ojca, a ponoć i starszy. Obaj panowie natych-

miast zamienili parę słów, odnoszących się, jak przypuszczałem, do *maman*. Powstała pauza. Potem powiedział mój ojciec:

— Jest bardzo zeszpecona.

Nie zrozumiałem tego wyrażenia, ale na jego dźwięk mróz mnie przeszedł. Miałem wrażenie, że i ojciec musiał się przewyciężyć, zanim te słowa wymówił. Przede wszystkim jednak cierpiała chyba jego duma, kiedy to przyznawał.

W kilka lat później dopiero słyszałem ponowne rozmowy o hrabi Krystianie. Było to w Urne, gdzie Matylda Brahe z upodobaniem rozmawiała o nim. Jestem jednak pewien, że poszczególne epizody kształtowała dowolnie, albowiem życie mego wuja, o którym zawsze tylko pogłoski docierały do ogółu a nawet do rodziny, pogłoski, którym nie zaprzeczał nigdy, albowiem życie to dawało pole bezgranicznym komentarzom. Urne jest teraz w jego posiadaniu. Ale nikt nie wie, czy on tam mieszka. Może ciągle jeszcze podróżuje, jak to by-



ło w jego zwyczaju, może wieść o jego zgonie jest w drodze z jakiejś tam najdalszej części świata, ręką obcego sługi skreślona w złej angielszczyźnie albo w jakimkolwiek nieznanym języku. A może i ten człowiek znaku nie da o sobie, skoro dnia pewnego zostanie sam. Może obaj dawno zniknęli i już tylko istnieją na liście okrętowej zaginionego statku pod nazwiskami, co nie były ich nazwiskami.

Bez wątpienia skoro podówczas do Urne zajeżdżał powóz, ja oczekiwałem zawsze, że w drzwiach ukaze się on, a serce moje biło w osobliwy sposób. Matylda Brahe twierdziła, że tak się on zjawia, że to jego sposób tak nagle się ukazać, kiedy nikomu się nie śniło. Nie zjawiał się nigdy, lecz imaginacja moja całymi tygodniami zajmowała się jego osobą. Miałem uczucie, że my dwaj winniśmy sobie jakiś stosunek, i chciałem bardzo wiedzieć o nim coś rzeczywistego.

Kiedy wszelako wkrótce potem zmienił się kierunek moich zainteresowań i na skutek pewnych wydarzeń skupił się zupełnie na Krysty-

nie Brahe, nie wiadomo dlaczego wcale się nie starałem o zbadanie jej stosunków życiowych. Natomiast niepokoiła mnie myśl, czy też w galerii znajduje się jej portret. I chęć przekonania się rosła we mnie tak jednostronnie i dokuczliwie, że przez kilka nocy nie spałem, aż wreszcie najniespodziewaniej nastąpiła ta noc, w której, mój Boże, wstałem i poszedłem na górę ze świecą, która zdawała się lękać.

Co do mnie, nie myślałem o strachu. Nie myślałem w ogóle; szedłem. Wysokie drzwi tak lekko ustępowały przede mną i nade mną, komnaty, które mijałem, trwały w ciszy.

I wreszcie poznałem po głębi, jaka wionęła ku mnie, iż wstąpiłem do galerii. Po prawej stronie poczułem okna z nocą, a po lewej musiały być portrety. Uniosłem świecę jak najwyżej. Tak: tu były portrety.

Postanowiłem zrazu patrzeć tylko na kobiece, lecz po chwili rozeznałem jeden portret i drugi, co podobnie wisiał w Ulsgaardzie, a kiedy tak oświetlałem je z dołu, one się ruszały i dążyły do światła — a mnie by się to wyda-

wało bezlitosne, gdybym tego przynajmniej nie był przeczekał. Był oto znowu Krystian Czwar-ty z pięknie splecionym harcapem<sup>66</sup> *cadenet-  
te* tuż przy szerokim, powolnie zaokrąglonym policzku. Tam były przypuszczalnie żony jego, z których znałem tylko Krystynę Munk. I na-  
gle spojrzała na mnie pani Ellen Marsvin, po-  
dejrзлиwa w swoim wdowim stroju i z tym sa-  
mym sznurem pereł na rondzie wysokiego ka-  
pelusza. Oto dzieci króla Krystiana: coraz to  
inne z nowych żon, „nieporównana” Eleonora  
na białym stępaku<sup>67</sup> w najświetniejszym swo-  
im okresie, przed nawiedzeniem. Gyldenlöve-  
sovic: Hans Ulryk, o którym twierdziły ko-  
biety w Hiszpanii, że maluje sobie lica, tyle  
miał krwi w sobie, i Ulryk Krystian, którego  
nie można było zapomnieć. I nieomal wszyscy  
Ulfeldowie.

A ten oto z okiem przemalowanym na czar-  
no, to mógł być może Henryk Holck, w trzy-

---

<sup>66</sup>*harcap* — warkocz przy peruce. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>*stępak* — koń idący stępa, tj. najwolniejszym końskim chodem, bądź przy-  
stosowany do takiego tempa. [przypis edytorski]

dziestym roku życia *comte de l'empire*<sup>68</sup> i marszałek polny, a było to tak: śniło mu się w drodze do panny Hilleborg Krafse, iż miast oblubienicy dano mu miecz nagi: i do serca sobie wziął ów sen i zawrócił, i rozpoczął swój krótki, zuchwały żywot, zakończony dzumą.

Tych oto znałem wszystkich. Mieliśmy także w Ulsgaard posłów na kongres w Nimwegen, nieco do siebie podobnych, bo razem wszyscy byli malowani, każdy z wąską, przyciętą brwią wąsa nad zmysłowymi, prawie patrzącymi ustami. Że poznałem księcia Ulryka, to się rozumie, i Ottona Brahe, i Clausa Daa, i Stena Rosensparre, ostatniego z rodu; tych bowiem wszystkich portrety widywałem w sali w Ulsgaard albo znajdowałem w starych tekach miedzioryty z ich konterfektami.

Ale potem było wielu, których nie widziałem nigdy; mało niewiast, ale za to były dzieci. Ramię dawno mi się zmęczyło i drżało, lecz bez przerwy podnosiłem świecę, aby zobaczyć

---

<sup>68</sup>*comte de l'empire* (fr.) — tytuł szlachecki nadawany przez cesarza. [przypis edytorski]

dzieci. Rozumiałem je, te małe dziewczynki, co na dłoni nosiły ptaszka i zapomniały o nim. Czasem u dołu siedział przy nich pies, leżała piłka, a na stole obok były owoce i kwiaty. A w głębi wisiał na kolumnie mały i tymczasowy herb familijny Grubbe'ów albo herb Bille'ów, albo herb Rosenkrantzów. Tyle wkoło nich naznoszono, jak gdyby wiele trzeba było powetować<sup>69</sup>. One wszakże stały prosto w swoich sukienkach i czekały. I tu znowu pomyśleć musiałem o niewiastach i o Krystynie Brahe, i o tym, czy ją poznam.

Chciałem szybko pobiec aż na sam koniec i stamtąd wracając szukać, gdy nagle natknąłem się na coś. Odwróciłem się tak raptownie, że mały Eryk odskoczył i szepnął:

— Uważaj na twoją świecę.

— Ty tutaj? — rzekłem bez tchu i nie zdałem sobie sprawy, czy to było dobrze, czy też najzupełniej źle. On tylko śmiał się, a ja nie wiedziałem, co dalej. Świeca moja migota-

---

<sup>69</sup>powetować (daw.) — wynagrodzić sobie straty a. krzywdy. [przypis edytorski]

ła i nie mogłem dobrze rozpoznać wyrazu jego twarzy. Pewnie to jednak było źle, że on tu był. Ale oto on rzekł, podchodząc bliżej:

— *Jej* portretu nie ma, my go wciąż jeszcze szukamy na górze.

Stłumionym głosem i jedynym ruchomym okiem wskazał jakoś ku górze. I pojąłem, że myśli o poddaszu. Lecz nagle przyszła mi dziwna myśl.

— My? — spytałem. — Czyż ona jest na górze?

— Tak — skinął i stał tuż przy mnie.

— I ona sama szuka też?

— Tak, szukamy.

— A więc odstawiono ten portret?

— Tak, wyobraź sobie — rzekł z oburzeniem.

Ale ja nie bardzo rozumiałem, dlaczego ona to robi.

— Ona chce siebie widzieć — szeptał tuż przy mnie.

— Ach tak — kiwnąłem jak gdyby rozumiejąc.

Wtem on zdmuchnął mi świecę. Ujrzałem, jak pochylił się naprzód, w jasność, z brwiami wysoko podniesionymi. Potem było ciemno. Cofnąłem się odruchowo.

— Co ty robisz? — zawołałem stłumionym głosem, a gardło wyschło mi zupełnie. Skoczył za mną i uwiesił się u ręki, i chichotał.

— Co to? — obruszyłem się, chcąc go strzepnąć, lecz on trzymał się mocno. Nie mogłem przeszkodzić, kiedy mi szyję otoczył ramieniem.

— Czy mam powiedzieć? — syknął i nieco śliny trysnęło mi na ucho.

— Tak, tak, prędko.

Nie wiedziałem, co gadam. Objął mnie teraz zupełnie i wyprężył się przy tym.

— Zaniósłem jej lustro — rzekł i chichotał znowu.

— Lustro?

— Tak, bo tego portretu przecież nie ma.

— Nie, nie — potwierdziłem.

Nagle pociągnął mnie nieco dalej ku oknu i uszczypnął tak silnie w ramię, że krzyknąłem.

— Jej nie ma tam wewnątrz — dmuchnął mi w ucho.

Odepchnąłem go mimowolnie od siebie, coś w nim chrupnęło, zdawało mi się, że go złamałem.

— Idź sobie, idź — i w tej chwili musiałem sam się roześmiać. — Nie ma wewnątrz, dlaczego nie ma wewnątrz?

— Głupiś! — odrzucił zły i już nie szeptał. Głos mu się zmienił, jak gdyby oto rozpoczynał nowy, nie grany dotąd kawałek.

— Albo się jest wewnątrz — prawil prze-mądrzale i surowo — a wtenczas nie jest się tu, albo, jeżeli jest się tu, nie można być tam wewnątrz.

— Naturalnie — odpowiedziałem szybko, bez namysłu. Bałem się, że odejdzie i mnie zostawi samego. Schwyciłem go nawet.

— Czy będziemy przyjaciółmi? — zaproponowałem. Kazał się prosić.

— Wszystko mi jedno — rzekł zuchowato. Usiłowałem rozpocząć naszą przyjaźń, ale nie odważyłem się na uściśnięcie go.



— Kochany Eryku — wymknęło mi się tylko i dotknąłem go lekko. Nagle byłem bardzo zmęczony. Obejrzałem się; nie rozumiałem już, jak tu przyszedłem i że się nie bałem. Nie bardzo wiedziałem, gdzie były okna, a gdzie portrety. A kiedy poszliśmy, on mnie musiał prowadzić.

— Nic ci nie zrobią — zapewniał wspaniałomyślnie i chichotał znowu.

Drogi, drogi Eryku! Może jednak ty byłeś jedynym moim przyjacielem. Nigdy bowiem nie miałem żadnego. Szkoda, że dla ciebie przyjaźń nic nie znaczyła. Ja bym ci niejedno był opowiedział. Może bylibyśmy w zgodzie żyli. Któż to wie?

Pamiętam, że wówczas malowano twój portret. Dziadek sprowadził kogoś, kto ciebie portretował. Co rano godzinę. Nie mogę sobie przypomnieć, jak wyglądał malarz, nazwisko jego wywietrzało mi, choć Matylda Brahe powtarzała je co chwila.

Czy on cię tak widział, jak ja cię widziałem? Nosileś ubranko aksamitne o barwie heliotropu<sup>70</sup>. Matylda Brahe przepadała za tym ubrankiem. Ale to jest teraz obojętne. Tylko czy on cię widział, to chciałbym wiedzieć. Przypuśćmy, że był prawdziwym malarzem. Przypuśćmy, że nie myślał o tym, że ty mógłbyś umrzeć, zanim on skończy; że on na sprawę wcale nie patrzył sentymentalnie; że po prostu pracował. Że zachwycony był nierównością obu twoich ciemnych oczu; że ani na chwilę nie wstydział się za to nieruchome oko, że posiadał tyle taktu, iż nic nie położył na stole przy twojej ręce, która się może nieco wspierała... Przypuśćmy jeszcze wszystko, co potrzeba, i zgódźmy się na wszystko; wtenczas gotów jest portret, twój portret, w galerii urneńskiej ostatni.

(A gdy się chodziło i widziało się wszystkie, to jeszcze tam jest chłopię. Zaraz, zaraz: kto to? Jakowyś Brahe. Czy widzisz srebrny pał w czarnym polu i pióra pawie? Jest i nazwisko: Eryk

---

<sup>70</sup>*heliotrop* — roślina mająca drobne a silnie pachnące kwiaty. [przypis edytorski]

Brahe. Czy to nie był ten Eryk Brahe, którego stracono? Naturalnie, sprawa dobrze znana. Ale to nie może być ten. To chłopię zmarło chłopięciem, wszystko jedno kiedy. Czy ty tego nie widzisz?)

Gdy goście byli i wołano Eryka, panna Matylda zapewniała zawsze, że wprost wierzyć się nie chce, do jakiego stopnia jest on podobny do starej hrabiny Brahe, mojej babki. Była ona, jak mówiono, bardzo wielką damą. Nie znałem jej nigdy. Natomiast znakomicie pamiętam matkę mego ojca, właściwą panią na Ulsgaardzie. Panią tą też zawsze pono pozostała, aczkolwiek wielce miała za złe mojej mamie, iż weszła w dom jako żona łowczego. Od tego czasu stale udawała, że się usunęła zupełnie — i służbę z każdą drobnostką odsyłała do *maman*, chociaż w ważnych sprawach rozstrzygała spokojnie rozkazując, a nikomu nie zdając sprawy. *Maman*, jak sędzę, wcale nie chciała inaczej. Tak wcale stworzona nie była do kierowania wielkim domem, brak jej było najzu-

pełniej podziału rzeczy na podrzędne i ważne. Wszystko, o czym do niej mówiono, zawsze wydawało się jej całością i zapominała przy tym o reszcie, która przecież także jeszcze istniała. Nigdy nie skarżyła się na teściową. Bo też komu miałaby się skarżyć? Ojciec był synem pełnym niezwykłego respektu, a dziadek nie miał głosu.

Pani Małgorzata Brigge zawsze, jak daleko sięgam pamięcią, była wysoką, nieprzystępną staruszką. Nie mogę sobie w żaden sposób wyobrazić, aby nie miała być znacznie starsza od szambelana. Pośrodku nas żyła swoim życiem, nie oglądając się na nikogo. Nie była zdaną na nikogo z nas i stale miała przy sobie, niby *dame de compagnie*<sup>71</sup>, podstarzałą hrabiankę Oxe, którą przywiązała do siebie bezgranicznie jako wymś dobrodziejstwem. Musiał to być jedyny wyjątek, gdyż dobrodziejstwa zresztą nie leżały w jej charakterze. Nie lubiła dzieci, a zwierzęta trzeba było trzymać od niej daleko. Nie wiem, czy poza tym kochała cośkolwiek. Opo-

---

<sup>71</sup>*dame de compagnie* (fr.) — dama do towarzystwa. [przypis edytorski]

wiadano, że w bardzo młodym wieku zaręczona była z pięknym Feliksem Lichnowskim, który później we Frankfurcie zginął tak okrutnie. I w istocie po jej śmierci znalazł się portret księcia, który zwrócono, jeśli się nie mylę, rodzinie.

Może (tak myślę sobie teraz) w tej samotni wiejskiej, w tym coraz większym z roku na rok odosobnieniu na zamku Ulsgaard, może zaniedbała tam inne, świetne życie: swoje własne. Nie można powiedzieć, czy żałowała tego życia. Może pogardzała nim, dlatego, że nie przyszło, że ominięło sposobność, że nie zostało przeżyte zręcznie i z talentem. Wszystko to wzięła w siebie tak głęboko i nakryła łuskami licznymi, kruchymi, trochę metalicznie świecącymi łuskami, a zawsze najwyższa łuska miała pozór nowości i chłodu. Niekiedy wprawdzie zdradzała się jednak pewną naiwną niecierpliwością, że się na nią nie dość zwraca uwagi: za moich czasów bywało, że zachłysnęła się nagle przy stole w jakiś wyraźny a skomplikowany sposób, który zapewnił jej współczucie

wszystkich i na jedną przynajmniej chwilę czynił z niej zjawisko tak sensacyjne i ciekawe, jakim chciała być naprawdę. Przypuszczam jednak, iż ojciec mój był jedyną osobą na serio biorącą te nazbyt częste przypadki. Przyglądał się jej, uprzejmie pochylony naprzód, i widać było, jak w myślach ofiarowywał jej niejako swoją własną, zdrową tchawicę i do jej dyspozycji składał bez zastrzeżeń. Szambelan oczywiście także przestawał jeść; połknąwszy niewielki łyk wina, powstrzymywał się od wszelkiej opinii.

U stołu raz jeden zdanie swoje podtrzymał wobec swojej małżonki. Było to dawno; lecz anegdotę wciąż jeszcze kolportowano złośliwie, a potajemnie: wszędzie prawie był ktoś, kto jeszcze jej nie słyszał. Mówiono, że szambelanowa w pewnym okresie czasu zdolna była unosić się bardzo z powodu plam od wina, powstałych przez niezręczność na białym stołowej, że plama taka, która by się zdarzyła przy jakiegokolwiek okazji, bywała jej okiem dostrze-

żona i z najostrzejszą naganą niejako zdema-  
skowana.

To zdarzyło się też podobno kiedyś, gdy było kilkoro i to znamienitych gości. Kilka niewinnych plamek, przez nią wyolbrzymionych, stało się przedmiotem jej drwiących oskarżeń, a choć się dziadek wysiłał, by ją upomnieć znakami i dowcipnymi uwagami, ona, opowiadano, uparcie obstawała przy swoich wyrzutach, które zresztą potem urwać musiała w połowie zdania. Stało się bowiem coś zgoła niebywałego i najzupełniej niepojętego. Szambelan kazał sobie podać czerwone wino, które przed chwilą nalewano — i oto zabrał się sam z całą uwagą do napełniania swego kieliszka. Tylko że dziwnym sposobem nie przestawał lać, mimo że kielich dawno był pełen, lecz wśród wzrastającej ciszy dalej lał wolno i ostrożnie — aż *maman*, która nigdy wytrzymać nie mogła, roześmiała się i tym sposobem całą sprawę skierowała na właściwe tory. Teraz bowiem wszyscy śmia-  
li się także, a szambelan podniósł oczy i podał butelkę służącemu.

Później inne dziwactwo zawładnęło moją babką. Nie mogła znieść, kiedy ktoś w domu chorował. Pewnego razu, gdy kucharka skaleczyła się, a babka ujrzała ją z owiniętą ręką, jęła<sup>72</sup> twierdzić, że jodoform<sup>73</sup> czuje w całym domu i nie sposób było jej wytłumaczyć, że kobiety tej nie można dlatego wydalać. Nie chciała, aby jej przypominano chorowanie. Skoro ktoś na tyle był niebaczny, że przed nią wyjawiał jakieś drobne niedomaganie, było to dla niej po prostu osobistą urazą, której długo zapomnieć mu nie mogła.

Onej jesieni, kiedy zmarła *maman*, szambelanowa zamknęła się szczelnie z hrabianką Zofią w swoich pokojach i zupełnie przestała z nami obcować. Nie przyjmowała nawet swego syna. Co prawda umieranie to przyszło bardzo nie w porę. Pokoje były zimne, piece kopciły, a myszy wtargnęły do domu; nigdzie nie było się pewnym przed nimi. Ale nie to tylko; pani Małgorzata Brigge była oburzona, że *ma-*

---

<sup>72</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>jodoform — żółta, krystaliczna substancja, jeden z pierwszych środków antyseptycznych. [przypis edytorski]



*man* umarła; że tam coś było na porządku obrad, o czym mówić się wzbraniało; że ta młoda kobieta rościła sobie prawo pierwszeństwa przed nią samą, która myślała umrzeć kiedyś, w terminie wcale jeszcze nie ustalonym. Bo że musiała umrzeć, o tym rozmyślała często. Ale nie chciała, by ją naglono. Umrze bez wątpienia, skoro jej się spodoba, a potem niechże oni sobie wszyscy umierają spokojnie, po wszystkim, skoro im tak śpieszno.

Śmierci *maman* nigdy nam całkowicie nie przebaczyła. A zresztą szybko poczęła się starzeć podczas następnej zimy. Chodząc, wciąż jeszcze była wysoka, lecz w fotelu kurczyła się, a słuch jej stępsiał. Można było siedzieć i wielkimi oczami na nią patrzeć godzinami, a ona tego nie czuła. Była gdzieś wewnątrz rzadko już i tylko na krótkie chwile wchodziła w swoje zmysły, które były puste, w których ona już nie mieszkała.

Wówczas mówiła coś do hrabianki, która poprawiała na niej mantylę<sup>74</sup> — wielkimi,

---

<sup>74</sup>*mantyla* (daw.) — rodzaj krótkiej peleryny damskiej. [przypis edytorski]

świeżo umyтыми rękami pociągala ku sobie suknie, jak gdyby woda byla rozlana albo jakby sie balala, ze jesteśmy niezupełnie czyści.

Umarła na przedwiośniu, w mieście, pewnej nocy. Hrabianka Zofia, śpiąca obok przy otwartych drzwiach, nie słyszała nic. A gdy ją znaleziono rano, była zimna jak szkło.

Zaraz potem zaczęła się wielka i straszna choroba szambelana. Zupełnie jakby na szambelanowej koniec czekał, aby móc umrzeć tak bezwzględnie, jak musiał.

Było to w roku śmierci *maman*, kiedy po raz pierwszy zauważyłem Abelone. Abelone była zawsze. Co uwłaczało jej wysoce. A przy tym Abelone była niesympatyczna, to stwierdziłem kiedyś przy jakiejś sposobności — a do poważnej rewizji tego mniemania nie doszło nigdy. Aby zapytać, jak w ogóle stały sprawy Abelone, to byłoby mi się wówczas wydało niemal śmieszne. Abelone była i zużywano ją, jak tylko było można. Ale nagle zapytałem siebie: dlaczego Abelone jest? Każdy miał u nas określo-

ny sens bycia, choć ten sens bynajmniej nie był zawsze tak oczywisty, jak na przykład zastosowanie hrabianki Zofii. Ale czemu była Abelone? Przez jakiś czas mówiło się, że przyjechała dla rozrywki. Ale to poszło w zapomnienie. Nikt nie przyczyniał się do zabawiania Abelone. Wcale to nie wyglądało na rozrywkę.

Zresztą miała Abelone jedną dobrą stronę: śpiewała. To znaczy były czasy, kiedy śpiewała. Była w niej mocna, niezmożona muzyka. Jeżeli to prawda, że anioły są męskiego rodzaju, to śmiało rzec można, że coś męskiego było w jej głosie; promienna, niebiańska męskość. Ja, którym już jako dziecko tak nieufny był wobec muzyki (nie dlatego, że mnie silniej niż wszystko inne wydzwigała ze mnie, lecz ponieważ spostrzegłem, że składała mnie na powrót nie tam, kędy mnie znalazła, jeno głębiej, gdzieś w sam środek rzeczy nie gotowych), ja *znosiłem* tę muzykę, po której można było pionowo kroczyć w górę, wyżej i wyżej, aż się myślało, że to już mniej więcej niebo być musi od

kilku chwil... Nie przeczuwałem, że Abelone miała mi otworzyć inne jeszcze nieba.

Zrazu stosunki nasze polegały na tym, że ona opowiadała mi o latach dziewczęcych *maman*. Chodziło jej o przekonanie mnie, jak śmiała i młoda była *maman*. Nie było wówczas nikogo, według jej zapewnień, kto się z nią mógł mierzyć w tańcu czy w konnej jeździe.

— Ona była najodważniejsza i niezmordowana, a potem nagle wyszła za mąż — mówiła Abelone, wciąż jeszcze zdumiona po tylu latach. — Tak to niespodzianie przyszło, nikt właściwie tego pojąć nie mógł.

Zaciekawilo mnie pytanie, dlaczego Abelone za mąż nie wyszła. Wydawała mi się starą stosunkowo, a że jeszcze wyjść mogła, o tym nie myślałem.

— Nie było nikogo — odrzekła po prostu i zrobiła się naprawdę piękna w tej chwili.

— Czy Abelone jest piękna? — spytałem sam siebie zaskoczony.

Potem opuściłem dom, poszedłem na Akademię Szlachecką — i zaczęły się czasy wstręt-

ne i podłe. Ale kiedy tam w Sorö, na uboczu, samotny stałem w oknie, a oni dawali mi nieco spokoju, wtenczas spozierałem w dal na drzewa — i w takie chwile i nocą rosła we mnie pewność, że Abelone jest piękna. I zacząłem pisywać do niej wszystkie owe listy, długie i krótkie, wiele tajemnych listów, w których zdawało mi się, że o Ulsgaardzie mówię i o tym, że jestem nieszczęśliwy. Ale to pewnie jednak były, jak to dzisiaj widzę, listy miłosne. Bo wreszcie nadeszły wakacje, które z początku wcale nie chciały się zbliżyć — i wtedy rozumiało się, niaby na skutek zmowy, że zobaczymy się nie przy wszystkich.

Wcale to nie było umówione między nami, lecz kiedy powóz skręcił do parku, nie mogłem się powstrzymać i wysiadłem może dlatego tylko, że nie chciałem zajeżdżać jak byle jaki gość.

Było już pełne lato. Wbiegłem w którąś z uliczek, prosto na krzew złotodeszczu.

I tam stała Abelone. Piękna, piękna Abelone.

Nigdy nie zapomnę, jak to było, kiedy ty na mnie patrzyłaś. Jak ty swoje patrzenie niosłaś, gdyby<sup>75</sup> coś nie umocnionego, zatrzymując je na twarzy wstecz pochylonej.

Ach, czy wcale nie zmienił się klimat? Czyli nie złagodniał wokoło Ulsgardu od tego ciepła naszego? Czy niektóre róże nie kwitną teraz dłużej w parku, aż po sam grudzień?

Opowiadać nie chcę nic o tobie, Abelone. Nie dlatego, że łudziliśmy się wzajemnie, ile żeś miłowała jednego, także wówczas, któregoś nigdy nie zapomniała, miłująca — a ja wszystkie kobiety; jeno że od mówienia tylko się krzywdą dzieje.

Kobierce tu są, Abelone, gobeliny. Wyobrażam sobie, że ty tu jesteś, sześć jest gobelinów, pójdź, przejdziemy je razem powoli. Lecz wprzód cofnij się i spójrz na wszystkie razem. Jakie spokojne, prawda? Mało w nich rozmaitości. Jest tam zawsze ta owalna błękitna wyspa, wisząca w powściągliwym tle czerwonym,

---

<sup>75</sup>*gdyby* — tu: *jakby*. [przypis edytorski]

a tło jest kwieciste i zamieszkałe przez małe, sobą zajęte zwierzątka. Tam tylko, w ostatnim kobiercu, wyspa nieco się wznosi, jak gdyby lżejszą się stała. Na każdej wyspie jest jedna postać, niewiasta w strojach różnych, ale zawsze ta sama. Niekiedy druga postać jest przy niej, służebna, i stale są zwierzęta, dźwigające herb, wielkie, razem na wyspie, włączone w akcję. Po prawej lew, a po lewej, na jasno, jedno-rożec; trzymają jednakie sztandary, ukazujące wysoko nad nimi trzy srebrne księżycy, rosnące w błękitnej wstędze na czerwonym polu. — Widziałaś? Czy zaczniemy od pierwszego?

Karmi sokoła. Jakże wspaniała jest jej strój! Ptak siedzi na ręce odzianej w rękawiczkę i rusza się. Ona przygląda się jemu, sięgając przy tym do czary, przyniesionej przez służebnicę, by mu podać żer. Po prawej u dołu przysiadł na trenie sukni jedwabisty piesek, patrzący ku górze w nadziei, że i jego sobie przypomną. I — czy zauważyłaś? — krata z róż zamyka w głębi wyspę. Zwierzęta herbowe wznoszą się heraldycznie wyniośle. Herb raz jeszcze zarzucono

im jako płaszcz. Spina go piękna agra. Herb powiewa.

Czy nie podchodzi się mimowolnie ciszej do gobelinu następnego, skoro się dostrzegło, jak ona jest zatopiona: wije wianek, małą, krągłą koronę z kwiecica. W zamyśleniu wybiera barwę następnego goździka w płaskiej misie, którą podtrzymuje służebna, podczas kiedy wplata poprzedni. W głębi na ławce stoi nie tknięty kosz pełen róż, który odkryła małpka. Tym razem miały to być goździki. Lew już nie bierze udziału; ale jednorożec po lewej stronie rozumie.

Czy nie musiała muzyka zjawić się w tej ciszy, czy nie istniała tu już przyczajona? Ciężko i cicho przystrojona niewiasta podeszła (jak wolno, prawda?) ku przenośnym organom i gra stojąc, rzędem piszczałek odgradzona od służebnej, z drugiej strony poruszającej miechy. Tak piękna nigdy jeszcze nie była. Włosy ku przodowi ujęte są przedziwnie w dwa warkoczki i złączone w górze ponad fryzurą, końcami ze splotu wyrastając niby krótki pióropusz.



Lew znosi tony z przykrością, niechętnie tłumiąc wycie. Jednorożec natomiast jest piękny, jakby falami poruszany.

Wyspa rozszerza się. Rozpięty jest namiot. Z błękitnego adamaszku i złotem płomienny. Zwierzęta podkasały namiot — i skromnie prawie w książęcej swej szacie występuje ona. Czymże bowiem są jej perły wobec niej samej? Służebna otworzyła małą szkatułkę i z niej oto wyjmuje łańcuch, ciężki, przepyszny klejnot, który zawsze był zamknięty. Piesek przy niej siedzi, wywyższony na przygotowanym miejscu, i przygląda się. I czy odkryłaś ona sentencję w górze, na krawędzi namiotu? — patrz: „*Á mon seul désir*<sup>76</sup>”.

Co się stało, czemu skacze ten króliczek tam w dole, dlaczego widać od razu, że on skacze? Wszystko jest tak onieśmielone. Lew nie ma nic do roboty. Ona sama trzyma sztandar. Albo może trzyma się sztandaru? Drugą ręką — pochwyciła róg jednorożca. Czy to żałoba, czy żałoba może stać tak prosto, a suknia żałob-

---

<sup>76</sup>*Á mon seul désir* (fr.) — dla mojego jedyne go pragnienia. [przypis edytorski]

na czy może być tak milcząca, jak ów aksamit czarnozielony o powiędłych miejscach?

Ale jeszcze jedno będzie święto, nikt na nie proszony nie jest. Oczekiwanie przy tym nic nie znaczy. Wszystko tu jest. Wszystko na zawsze. Lew ogląda się prawie z groźbą: nikomu zjawiać się nie wolno. Nie widzieliśmy jej nigdy jeszcze zmęczonej; czy jest zmęczona? Albo czy dlatego tylko przysiadła, że trzyma coś ciężkiego? Można by mniemać, że monstrancję. Ona jednakże drugie ramię skłania ku jednorożcowi, a zwierzę, mile połechtane, staje dęba i na łonie jej się wspiera. Ach, ona zwierciadło trzyma! Widzisz: jednorożcowi pokazuje obraz jego...

Abelone, ja wyobrażam sobie, że ty jesteś tu. Czy ty pojmujesz, Abelone? Ja myślę, że ty musisz pojmować.

Teraz już i gobelinów owej damy *à la*<sup>77</sup> Licorne nie ma w starym zamku Boussac. Jest

---

<sup>77</sup>*à la* (fr.) — wykonany w sposób przypominający coś innego. [przypis edytorski]

czas, kiedy wszystko znika z domów, a one nic już zatrzymać nie mogą. Niebezpieczeństwo bardziej bezpieczne się stało niżli bezpieczeństwo. Nikt z pokolenia Dele Viste nie towarzyszy człowiekowi, nikt tego we krwi nie ma. Przemięli wszyscy. Nikt nie wymawia imienia twego, Piotrze d'Aubusson, dostojny Wielki Mistrz z prastarego rodu, za którego pono wolą tkane były te obrazy, co sławią wszystko, a nie porzucają nic.

(Ach, czemuż poeci o kobietach inaczej pisali, bardziej, jak mniemali, dosłownie. Pewne jest to, że nic ponadto wiedzieć nam nie było wolno).

Nagle, przypadkowo, wśród rzeczy przypadkowych natyka się człowiek na to i prawie się przestrasza, bo nie był proszony. Ale tam są inni i przechodzą mimo<sup>78</sup>, choć nigdy ich nie ma wielu. Młodzieńcy prawie się nie zatrzymują, chyba że to jakoś należy do ich fachu, aby te rzeczy raz widzieć ze względu na tę lub inną właściwość.

---

<sup>78</sup>*mimo* (daw.) — obok. [przypis edytorski]

Dziewczyny młode natomiast można niekiedy tam zastać. Mnóstwo jest bowiem dziewczyn w muzeach, dziewczyn, które kędyś odeszły z domów nie zatrzymujących nic. Znalazły się przed tymi gobelinami i zapamiętują się nieco. Zawsze czuły, że to istniało, takie ciche życie powolnych, nigdy do cna nie wyjaśnionych gestów — i przypominają sobie jak przez mgłę, iż nawet czas jakiś sądziły, że to *ich* życie będzie. Lecz potem z nagłą wyciągają zeszyt i zaczynają rysować, wszystko jedno co, jeden z kwiatów albo małe ucieszne zwierzątko. O to wcale nie chodzi — podpowiedziano im — jaki się bierze przedmiot. I o to naprawdę nie chodzi. Tylko żeby rysować, to jest najważniejsze; po to bowiem odeszły dnia pewnego, dosyć gwałtownie. Z dobrej są rodziny. Ale gdy oto w czasie rysowania podnoszą ręce, okazuje się, że sukienka z tyłu jest nie zapięta albo niezupełnie dopięta. Jest tam kilka guziczków, do których sięgnąć nie można. Bo kiedy tę sukienkę robiono, nie było jeszcze mowy o tym, że nagle same odejdą. W ro-

dzinie zawsze jest ktoś od takich guziczków. Ale tu, mój Boże, kto miałby się w to wdawać w tak wielkim mieście! Chyba gdyby się miało przyjaciółkę; lecz przyjaciółki są w tym samym położeniu — i wtedy jednak na tym się kończy, że się sobie nawzajem zapina suknie. To jest śmieszne i przypomina rodzinę, której się wspominać nie chce.

Nie można co prawda uniknąć zastanawiania się od czasu do czasu w trakcie rysunków, czy to jednak nie można było zostać. Gdyby się umiało być pobożną, serdecznie pobożną w równym tempie z innymi. Ale to tak głupio wyglądało próbować wspólnie. Droga stała się jakoś węższa; rodziny już nie umieją iść do Boga. Pozostały więc już tylko różne inne rzeczy, które można było dzielić od biedy. Ale wówczas, jeśli się dzieliło uczciwie, tak mało przypadało każdemu, że aż wstyd. A gdy się oszukiwało przy dzieleniu, powstawały sprzeczki. Nie, naprawdę lepiej rysować, wszystko jedno co. Z czasem podobieństwo zjawi się samo. A sztu-

ka, skoro się ją tak stopniowo posiędzie, to jednak coś mocno do pozazdroszczenia.

I przy tym usilnym zajmowaniu się rzeczami, które przedsięwzięły te dziewczyny, nie mają już czasu podnosić oczu. Nie spostrzegają, jak przy całym tym rysowaniu jednak nic nie robią poza zgnębieniem w sobie życia niezmiennego, co w tych tkanych obrazach promieniście rozwarte jest przed nimi, w całej swej niewypowiedzianej bezgraniczności. One w to wierzyć nie chcą. Teraz, kiedy tak wiele rzeczy zmienia się, one chcą się przemienić. Już prawie gotowe są stracić zaufanie do siebie i tak o sobie myśleć, jak na przykład mogliby o nich, kiedy są nieobecne, mówić mężczyźni. To wydaje im się postępek własnym. Już niemal są przekonane, że się szuka przeżycia za przeżyciem, coraz to mocniejszego: że na tym polega życie, jeśli się go nie chce utracić w niedorzeczny sposób. Zaczynały się już rozglądać, szukać, one, których siła zawsze na tym polegała, że miano *je znajdować*.

To dlatego, jak sędzę, że są zmęczone. Przez wieki dokonywały one *całej* miłości, zawsze grały pełny dialog, obie części. Mężczyzna bowiem powtarzał tylko i to źle. I nauczanie się utrudniał im swoim roztargnieniem, swoją niedbałością, zazdrością swoją, która także była rodzajem niedbałości. A one jednak wytrwały dniem i nocą i porastały w miłość i w nędzę. Z nich wszakże, pod nieskończonych nędz naciskiem, wyszły potężne Miłujące, co przetrwały męską, podczas gdy go wołały; które ponad niego wyrastały, skoro nie powracał, jak Gaspara Stampa albo owa Portugalka, które nie ustawały, aż męka ich przemieniła się w drętwą, lodowatą, już nie pohamowaną wspaniałość.

Wiemy o tej i innej, ponieważ są listy cudem jakby ocalałe albo książki z oskarżającymi lub skarżącymi się wierszami, albo portrety, co na nas patrzą w galerii poprzez płacz jakowyś, który udał się malarzowi, bo malarz nie wiedział, co to było. Ale było ich bezmiernie więcej. Takich, które listy swoje spaliły, i innych,

co już sił nie miały, aby listy pisać. Staruszki zahartowane z jądrem cudowności w głębi duszy, które ukrywały. Bezkształtne, przytyłe kobiety, co zgrubiały z wyczerpania i upodobniły się swoim mężom, a jednak wewnątrz zupełnie inne były, tam, gdzie ich miłość pracowała, w ciemni. Rodzące, co nie chciały rodzić, a kiedy nareszcie skonały w ósmym położeniu, to miały gest i lekkość dziewcząt, co się na miłość cieszą. I te, które *pozostały* przy opojach i furriatach, jako że sposób znalazły, by w sobie tak być od nich daleko jak nigdzie indziej; a kiedy wychodziły do ludzi, to już stłumić tego nie mogły i połyskiwały, niby od ustawicznego pośród świętych przebywania.

Któż może powiedzieć, ile ich było i jakie. Wydaje się, jak gdyby one zawczasu zniszczyły te słowa, w których można by je ująć.

Ale teraz, kiedy zmienia się tak wiele, nie naszą li rzeczą, abyśmy się przemienili? Czy nie mogliśmy spróbować rozwijać się coś niecoś i cząstkę naszą tej *pracy w Miłości* powoli, stop-



niowo wziąć na siebie? Oszczędzano nam wszystkich jej trudów i tak się nam ona ześliznęła do rozrywek, jak do dziecięcej szuflady z zabawkami wpada czasem kawałek prawdziwej koronki i bawi, i już nie bawi, i wreszcie leży pośród rzeczy złamanych i rozkręconych, gorszy od wszystkiego.

Zepsuci jesteśmy łatwym używaniem, jak wszelacy dyletanci, i stoimy w odorze maestrii.

A gdyby nam tak pogardzić sukcesami, gdyby tak zacząć, od początku zupełnie, uczyć się pracy Miłości, która zawsze za nas była czyniona? Gdyby tak pójść nam i stać się nowicjuszami — teraz — kiedy się wiele przemienia?

Teraz już też wiem, jak to było, kiedy *ma-man* rozwijała małe pasma koronek. Jedną jedyną bowiem z szuflad w sekretarzyku Ingeborgi zajęła dla siebie.

— Zobaczmy je, Malte — rzekła i cieszyła się, jakby dopiero miała za chwilę otrzymać w prezencie wszystko, co było w małej, żółtej, lakierowanej szufladzie. A potem, nie mo-

gąc doczekać, już ledwo umiała rozwinąć bibułki. Ja to musiałem zawsze czynić. Ale i ja byłem bardzo podniecony, kiedy pojawiały się koronki. Nawinięte były na drewniany wałek, zgoła niewidoczny pod masą koronek. I teraz rozwijaliśmy je powoli, przyglądając się przeciągającym wzorom — i przerażaliśmy się nieco za każdym razem, gdy koronka się kończyła. Kończyły się tak nagle.

Więc były najpierw wstawki włoskiej roboty, twarde płatki z powyciąganymi nitkami, w których się wszystko ustawicznie powtarzało, wyraźnie jak w chłopskim ogródku. Potem nagle cały szereg naszych spojrzeń zakratowany był wenecką ręczną koronką, jakbyśmy klasztorami byli albo więzieniami. Lecz widok znów się uczynił wolny i patrzyło się daleko w ogrody coraz to sztuczniejsze<sup>79</sup>, że aż było gęsto i ciepło przed oczami, gdyby w cieplarni: przepyszne rośliny, których nie znaleźliśmy, rozwierały liście potężne, pnące<sup>80</sup> chwytaly się

---

<sup>79</sup>*sztuczny* — tu: wyrafinowany. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*pnące* — dziś popr. forma M.lm: pnąca. [przypis edytorski]

wzajemnie niby w zawrocie głowy, a wielkie otwarte kwiaty koronek points d'Alençon mąciły wszystko swymi oczkami. Nagle, w znużeniu kompletnym i oszołomieniu, wychodziło się na świat, na długi gościniec walansjenek, i była zima, i wczesny ranek, i szron. I trzeba się było przedzierać przez zaśnieżone krzewiny binche<sup>81</sup> i docierało się do miejsc, kędy nie szedł jeszcze nikt; gałązki zwisały tak dziwnie ku dołowi, mogła być pod tym mogiła jaka, lecz my to ukrywaliśmy przed sobą. Mróz coraz bliżej, natrętniej przybliżał się ku nam i wreszcie mówiła *maman*, gdy nadchodziły maleńkie, najdelikatniejsze koronki, na klockach dziergane:

— Ooo, teraz nam szron kwiaty białe na oczach maluje...

I tak też było, bo wewnątrz w nas było bardzo ciepło.

Przy nawijaniu wzdychaliśmy oboje, była to długa robota, ale nie chcieliśmy jej powierzać nikomu.

---

<sup>81</sup>*binche* — rodzaj koronki. [przypis edytorski]

— Pomyśl tylko: gdybyśmy musieli je robić — mówiła *maman* i miała w oczach wyraźny przestrah.

Tego wcale wyobrazić sobie nie mogłem. Przyłapałem się na tym, że pomyślałem o małych zwierzątkach, które to przędą nieustannie i które się za to zostawia w spokoju. Nie, to były oczywiście kobiety.

— Te z pewnością poszły do nieba, te, które to robiły — zauważyłem z podziwem.

Pomnę, jak uderzyła mnie ta okoliczność, że dawno nie pytałem o niebo. *Maman* odechnęła, koronki były złożone jak trzeba.

Po chwili, kiedy ja już o tym zapomniałem, powiedziała bardzo wolno:

— Do nieba? Ja myślę, że one tam już są. Starczy popatrzeć na to: to już chyba spory szmat wiecznej szczęśliwości. Wszak tak mało się o tym wie.

Nieraz, gdy byli goście, mówiło się, że Szulinowie liczą się z groszem. Wielki, stary pałac spłonął przed paru laty i teraz mieszkali w obu

ciasnych skrzydłach, i liczyli się z groszem. Ale przyjmowanie gości z dawna mieli we krwi. Te- go wyrzec się nie umieli. Kiedy ktoś niespo- dzianie zajeżdżał do nas, to z pewnością jechał od Szulinów; a skoro ktoś nagle spoglądał na zegarek i przestraszony musiał na gwałt wyjeź- dzać, to na pewno spodziewano się go w Ly- stager.

*Maman* właściwie wcale już nie opuszcza- ła domu, ale o podobnych rzeczach Szulino- wie słyszeć nie chcieli. Rada nierada musiała kiedyś pojechać z nami. Było to w grudniu po kilku wczesnych opadach śnieżnych. Sanie za- mówione były na trzecią, ja miałem też jechać. U nas jednakże nigdy nie wyjeżdżało się punk- tualnie. *Maman*, która nie lubiła anonsowania, że powóz zajechał, zazwyczaj schodziła o wie- le za wcześnie, a gdy nie znajdowała nikogo, zawsze przypominała sobie coś, co już dawno powinno być odrobione, i gdzieś na górze poczyniała szukać albo porządkować i potem le- dwo z trudem można ją było odnaleźć. Osta- tecznie stali wszyscy i czekali. A gdy siedziała

wreszcie zakutana, okazywało się, że czegoś zapomniała, i trzeba było wołać panią Sieversen; bo tylko pani Sieversen wiedziała, gdzie to było. A potem konie ruszały nagle, zanim pani Sieversen wracała.

Owego dnia w ogóle nie rozjaśniło się należycie. Drzewa sterczały, jakby we mgle, nie wiedząc, gdzie się podziać — i był w tym pewien gest przekory, tak wjeżdżać tam prosto przed siebie. Wtem śnieg cicho począł prószyć dalej — i teraz jakoby ostatni już zarys był wymazany, i jechało się niby wprost w białą kartę. Nie było nic poza dzwonkami i nie sposób było rzec, gdzie właściwie dzwoni. Przyszła chwila, że przestało, jak gdyby oto dzwonek ostatni był wydany; ale potem zebrało się znów i było razem, i sypało się znowu z całej pełni.

Ta wieża kościelna po lewej stronie to mogło być przywidzenie. Ale zarys parku pojawił się nagle, wysoki, prawie nad głową — i było się w długiej alei. Dźwięk dzwonek już nie urywał się zupełnie; jakby się gronami czepiał drzew po lewej i prawej stronie. Potem skrę-

ciło się i objechało dokoła czegoś, i minęło po prawej coś, i stanęło się pośrodku.

Stangret Grzegorz zapomniał zupełnie, że dworu nie ma, a dla nas wszystkich ten dwór w tej chwili był. Weszliśmy po schodach otwartych, wiodących na stary taras, zdziwieni, że dom jest ciemny. Nagle otwarły się jakieś drzwi, w dole na lewo za nami, i ktoś zawołał:

— Tutaj!

I uniósł kopnącą latarkę, i machał nią.

Ojciec mój zaśmiał się:

— Chodzimy tu omackiem jak upiory — i pomagał nam zejść z powrotem po schodach.

— Ale tu przecież co dopiero był dom — rzekła *maman* i jakoś nie mogła od razu przywyknąć do Wiery Szulinówny, która wybiegła ciepła i roześmiana. Teraz naturalnie trzeba było prędko wchodzić do środka, a o tym dworze już nie było mowy. W ciasnym przedpokoju zdjęto wszystkim okrycia i potem zaraz było się w samym środku między lampami i naprzeciw ciepła.

Ci Szulinowie był to potężny ród samodzielnych kobiet. Nie wiem, czy istnieli synowie. Pamiętam tylko trzy siostry. Najstarszą, zamężną za pewnym *marchese*<sup>82</sup> w Neapolu, z którym się teraz powolnie, wśród licznych procesów, rozwodziła. Druga była Zoë, o której mówiono, że nie było rzeczy, której by nie wiedziała. A przede wszystkim była Wiera, ta ciepła Wiera; Bóg raczy wiedzieć, co się z nią stało. Hrabina, z domu Nariszkinówna, właściwie była czwartą siostrą i to pod pewnym względem najmłodszą. Nie wiedziała o niczym i dzieci musiały ją uczyć bezustannie. A dobry hrabia Szulin czuł się jakby ożeniony z wszystkimi tymi kobietami i obchodził je, i całował na oślep.

Na razie śmiał się głośno i witał nas grzecznie. Mnie podawano sobie między kobietami i obmacywano, i pytano. Ale ja postanowiłem na pewno, jak to wszystko minie, wymknąć się w jakikolwiek sposób i rozejrzeć się za tym dworem. Byłem przekonany, że on dzisiaj stoi. Wydostanie się nie było tak trudne;

---

<sup>82</sup>*marchese* (wł.) — markiz. [przypis edytorski]



między tą ciżbą sukien można się było przemknąć jak pies, a drzwi do przedpokoju były jeszcze przymknięte. Ale te drugie, od dworu, nie chciały ustąpić. Był tam szereg przyrządów, zasuw i łańcuchów, z którymi w pośpiechu nie dałem sobie rady. Wreszcie drzwi jednak się otwarły, lecz z głośnym hałasem — i zanim znalazłem się na dworze, przyłapano mnie i pociągnięto wstecz.

— Hola! Tu czmychać nie wolno! — rzekła Wiera Szulinówna rozweselona.

Nachyliła się ku mnie, a ja byłem zdecydowany nic nie zdradzać tej ciepłej osobie. Lecz ona, kiedy nie rzekłem nic, przypuściła z punktu, że zwykła potrzeba naturalna popchnęła mnie do drzwi; pochwyciła mnie za rękę i już zaczęła iść, i chciała mnie trochę poufale, a na pół wyniośle, zaprowadzić gdzieś. Miłe to nieporozumienie drasnęło mnie do żywego. Wyrwawszy się spojrzałem na nią zły.

— Dwór chcę zobaczyć — rzekłem dumnie.

Nie zrozumiała.

— Ten duży dwór, tam przy schodach.

— Głuptasku! — rzuciła machnąwszy ręką  
— tam przecież nie ma już żadnego dworu...

Upierałem się.

— Pójdziemy kiedy za dnia — zaproponowała pojednawczo — teraz tam się wałęsać nie można. Są tam doły, a zaraz za tym tatusiowe rybne sadzawki, którym się zamarzać nie pozwala. Wpadniesz tam i będziesz rybą.

Z tymi słowami popchnęła mnie przed sobą na powrót do jasnych komnat. Tu siedzieli wszyscy i rozmawiali, a ja przyjrzałem im się po kolei; ci naturalnie idą tam tylko wtedy, gdy go nie ma — pomyślałem z pogardą — gdybyśmy tu mieszkali, *maman* i ja, to byłby zawsze.

*Maman* miała wygląd roztargniony, podczas gdy wszyscy mówili równocześnie. Myślała z pewnością o tym dworze.

Zoë przysiadła się do mnie i zadawała pytania. Miała twarz pełną ładu, a w twarzy tej wznawiał się od czasu do czasu błysk rozumienia, jak gdyby ustawicznie rozumiała coś nowego. Ojciec mój siedział pochylony nieco na pra-

wo i słuchał markizy, która się śmiała. Hrabia Szulin stał między *maman* a swoją żoną i coś opowiadał. Ale hrabina przerywa mu, widzę, w połowie zdania.

— Nie, dziecko, to ci się przywidziało — rzekł hrabia dobrodusznie, lecz i on miał tę samą zaniepokojoną twarz i wyciągał ją nad obu damami. Hrabinę nie sposób było odwieść od tak zwanego przywidzenia. Widać było po niej wielkie natężenie, jak u kogoś, kto nie chce, by mu przeszkadzano. Miękkimi, pełnymi pierścionków rękami uczyniła kilka drobnych, odpierających ruchów, ktoś powiedział psst! — i nagle zrobiło się zupełnie cicho.

Za ludźmi tłoczyły się wielkie przedmioty ze starego dworu, o wiele za blisko. Ciężkie srebra rodzinne wydymały się i lśniły, niby widziane przez szkła powiększające. Ojciec mój obejrzał się zdziwiony.

— Mama czuje swąd — rzekła Wiera za nim — wtedy zawsze my wszyscy musimy być cicho, ona uszami węża — przy tym jednak

ona sama stała z podniesionymi brwiami, czujna i cała zamieniona w węch.

Szulinowie pod tym względem byli nieco dziwni od czasu pożaru. W ciasnych, przegrzanych pokojach co chwila pojawiał się zapach — i wówczas badano go i każdy wydawał opinię. Zoë krzątała się koło pieca, rzeczowo i sumiennie, hrabia obchodził pokój i przystawał trochę w każdym kącie, i czekał:

— To nie tu — mówił po chwili.

Hrabina wstała i nie miała pojęcia, gdzie szukać. Ojciec mój kręcił się wolno dokoła siebie, jakby miał zapach za plecami. Markiza, która od razu przypuściła, że to jest zapach brzydki, trzymała chusteczkę pod nosem i patrzyła kolejno na obecnych, czy już minęło.

— Tu, tu! — wołała Wiera od czasu do czasu, jak gdyby już go miała. I wkoło każdego słowa było dziwnie cicho. Co do mnie, pilnie wachałem razem z innymi. Lecz nagle (czy to od gorąca w pokoju, czy też od tego mnóstwa bliskiego światła) opadło mnie po raz pierwszy w życiu coś jak upiorny strach. Zrozumiałem,

że wszyscy ci wyraźni wielcy ludzie, którzy co dopiero śmiali się i gadali, teraz krążyli zgarbieni i zajmowali się czymś niewidzialnym, że przyznawali, iż tam istniało coś, czego nie widzieli. I ta okropność, że to coś mocniejsze było niż oni wszyscy.

Strach mój wzrastał. Wydało mi się, że to, czego oni szukają, nagle może wybuchnąć ze mnie jak zaraza; i potem oni zobaczą, i wskazywać będą na mnie. Zrozpaczony spojrzałem ku *maman*. Siedziała dziwnie prosto, miałem wrażenie, że na mnie czeka. Ledwie byłem przy niej i ucułem, że ona drży w sobie, a już wiedziałem, że ten dwór dopiero teraz przemija.

— Malte, tchórz! — śmiało się kędyś. Był to Wiery głos.

Ale my nie puściliśmy się i znieśliśmy to wspólnie. I tak pozostaliśmy, *maman* i ja, aż ten dwór przeminął zupełnie.

Najbogatsze wszakże w prawie niepojęte doświadczenia były jednak imieniny. Wiedziało się już, że życie lubowało się w nierobieniu róż-

nic; ale w ten dzień wstawało się z takim prawem do radości, że nie można było wątpić w to prawo. Prawdopodobnie uczucie prawa tego wyrobione zostało w dziecku bardzo wcześnie, w czasach kiedy się po wszystko sięga i wszystko dostaje, i kiedy się rzeczy, trzymane w ręku w danej chwili, nieomylną wyobraźnią potęguje do podstawowej intensywności panującego w tej chwili pragnienia.

Ale potem nagle zjawiają się te osobliwe imieniny, kiedy się w utwierdzeniu świadomości tego prawa widzi, jak inni tracą pewność. Chciałoby się pono jeszcze, jak dawniej, być ubranym przez kogoś i potem przyjmować wszystko. Ale zaraz po przebudzeniu słyszy się, jak ktoś za drzwiami woła, że tortu jeszcze nie ma; albo słysząc, jak coś się tłucze, podczas gdy w sąsiednim pokoju przygotowuje się stół z podarkami; albo ktoś wchodzi i zostawia drzwi otwarte — i widzi się wszystko, zanim widzieć wolno. To jest chwila, kiedy odczuwa się coś w rodzaju operacji. Krótki, wściekle bolesny

chwyt. Lecz ręka, która go czyni, wprawna jest i mocna. Już przeszło.

A ledwo się to przetrwało, już się nie myśli o sobie. Chodzi o ratowanie imienin, o śledzenie drugich, o uprzedzanie ich błędów, o utwierdzenie ich w złudzeniu, że wszystko świetnie pokonali. Oni tego bynajmniej nie ułatwiają. Okazuje się, że są niezwykle niezręczni, prawie głupi. Potrafią wejść do pokoju z jakąkolwiek paczką, przeznaczoną dla innych ludzi; wybiega się ku nim i potem trzeba udawać, że się w ogóle biega po pokoju, tak dla ruchu, bez oznaczonego celu. Oni chcą dziecko zaskoczyć i pozornie udając oczekiwanie unoszą najniższą warstwę w pudełku od zabawek, gdzie nie ma nic oprócz wiórków; wówczas trzeba im ulżyć w zakłopotaniu. Albo jeśli to było coś mechanicznego, przekręca sprężynę darowanej zabawki przy pierwszym nakręcaniu. Dobrze jest zatem ćwiczyć się zawczasu, aby umieć przekręconą mysz lub coś w tym rodzaju popychać nieznacznie nogą: w ten sposób często można ich oszukać i wybawić z zawstydzenia.

Wszystko to można było zdziałać ostatecznie, tak jak trzeba, nawet bez szczególnych zdolności. Talent był właściwie potrzebny wówczas tylko, skoro ktoś wysilił się i przyniósł, ważne i dobrodusznie, radość pewną — i widziało się już z daleka, że to była radość dla kogoś zupełnie innego, kompletnie obca radość; nawet nie wiadomo, do kogo by się stosowała: tak była obca.

Że się opowiadało, naprawdę opowiadało, to musiało być przed moim czasem. Ja nigdy nikogo nie słyszałem opowiadającego. Wówczas, kiedy Abelone opowiadała mi o młodości *maman*, pokazało się, że nie umie opowiadać. Stary hrabia Brahe podobno jeszcze umiał. Spiszę tu, co ona o tym wiedziała.

Abelone jako młodziutka dziewczyna musiała mieć pewien okres, kiedy posiadała swoją, przestronną ruchliwość. Brahowie mieszkali wówczas w mieście, na Bredgade, żyjąc dość towarzysko. Kiedy późnym wieczorem Abelone wchodziła do swego pokoju na górze, zdało



jej się, że jest zmęczona jak inni. Potem jednak nagle poczuła okno i, jeśli dobrze rozumiałem, mogła wobec nocy stać godzinami i myśleć: to mnie obchodzi.

— Jak więzień stałam tak — mówiła — a gwiazdy to była wolność.

Mogła wówczas zasypiać, nie tracąc lekkości. Wyrażenie „zapadać w sen” wcale nie stosuje się do tego wieku dziewczęcego. Sen to było coś, co rosło z człowiekiem, a od czasu do czasu oczy miało się otwarte i leżało się na nowej jakiejś płaszczyźnie, której daleko jeszcze było do najwyższej. A potem budził się człowiek przede dniem; w zimie nawet, kiedy drudzy zaspani i spóźnieni przychodzili na późne śniadanie. Wieczorem, kiedy się ściemniało, były przecież tylko światła dla wszystkich, wspólne światła. Ale te dwie świece o wczesnym ranku w nowej tej ciemności, z którą wszystko zaczynało się od nowa — te miało się dla siebie. Stały w swoim niskim dwuramiennym świeczniku i spokojnie świeciły przez małe, owalne, różyczkami umalowane abażur-

ki, które co pewien czas trzeba było posuwać. To nic nie przeszkadzało; bo po pierwsze wcale nie trzeba się było śpieszyć, a po wtóre, zdarzało się jednak, że należało podnieść oczy i pomyśleć, gdy się list kreśliło albo pisało w pamiętniku, zaczętym kędyś dawno, innym zupełnie pismem, trwożliwie i ładnie.

Hrabia Brahe żył w zupełnym odosobnieniu od swoich córek. Uważał to za złudzenie, jeżeli ktoś twierdził, że życie z innymi dzieli. (Tak, *dzieli* — mówił.) Ale nie było mu to nie miłe, gdy ludzie opowiadali mu o jego córkach; słuchał uważnie, jak gdyby mieszkały w innym mieście.

Było to więc coś zgoła nieoczekiwanego, kiedy pewnego razu po śniadaniu skinął ku Abelone:

— Zdaje się, że mamy te same przyzwyczajenia, ja także pisuję bardzo wcześnie. Możesz mi pomóc.

Abelone wiedziała to jeszcze wczoraj.

Już następnego ranka zaprowadzono ją do ojcowskiego gabinetu, cieszącego się opinią nie-

dostępności. Nie miała czasu ogarnąć go wzrokiem, albowiem posadzono ją natychmiast naprzeciw hrabiego przy biurku, wydającym jej się jak równina z kępami książek i plikami papierów.

Hrabia dyktował. Ci, którzy twierdzili, że hrabia Brahe pisze pamiętniki, niezupełnie się mylili. Tylko że nie było mowy o politycznych ani wojskowych wspomnieniach, jak oczekiwano z zaciekawieniem.

— O tych zapominam — mawiał stary pan krótko, skoro go ktoś o te rzeczy zaczepiał. Ale dzieciństwa zapomnieć nie chciał. To rzecz ważna. I zupełnie to było w porządku według jego mniemania, że owe bardzo odległe czasy teraz zyskiwały w nim przewagę, że skoro ku wnętrzu kierował swój wzrok, one się słały tam, ni to w jasną letnią noc północnych krajów, spotęgowane a bezsenne.

Czasami zrywał się i gadał prosto w świecę, aż migotały. Albo całe zdania trzeba było skreślać i potem porywczo chodził po pokoju i powiewał zielonawym, jedwabnym szlafro-

kiem. Podczas tego wszystkiego jeszcze jedna osoba była obecna, Sten, stary, jutlandzki kamerdyner hrabiego, który miał za zadanie, skoro dziadek się zrywał na nogi, kłaść ręce szybko na pojedyncze luźne kartki, pokryte zapiskami i rozłożone po stole. Jaśnie pan imaginował<sup>83</sup> sobie, że dzisiejszy papier jest nic niewart, że zbyt lekki jest i ucieka przy najmniejszej sposobności. A Sten, którego długą górną tylko połowę widać było, podzielał to podejrzenie i siedział niejako na swoich rękach, oślepiony światłem i poważny jak nocny ptak.

Ów Sten niedzielne popołudnia spędzał na czytaniu Swedenborga, a nikt ze służby nie śmiałby wejść do jego pokoju, bo mówiono, że wywołuje duchy. Rodzina Stena z dawien dawna obcowała z duchami, a Sten predestynowany był szczególnie do tego obcowania. Matce jego coś ukazało się onej nocy, kiedy go rodziła. Wielkie miał, okrągłe oczy, a drugi koniec jego wzroku kładł się za każdym człowiekiem, na którego tym wzrokiem patrzył. Ojciec Abel-

---

<sup>83</sup>*imaginować* (daw.) — wyobrażać. [przypis edytorski]

ne często o duchy go pytał, jak się zwykle pyta ludzi o ich krewnych:

— Czy przyjdą, Sten? — mówił życzliwie.  
— To dobrze, jeżeli przyjdą.

Przez parę dni odbywało się to dyktowanie. Ale potem Abelone nie umiała napisać „Eckernförde”. Było to imię własne, a ona nigdy go nie słyszała. Hrabia, który po cichu dawno już szukał pretekstu do zaniechania pisaniny, zbyt wolnej dla jego wspomnień, udał niechęć.

— Ona tego napisać nie umie! — rzekł ostro — a inni nie będą umieli przeczytać. A czyż oni w ogóle będą *widzieli* to, co ja tam mówię? — dodał zły, z oka nie spuszcżając Abelone.

— Czy go zobaczę, tego Saint-Germain? — krzyknął na nią. — Czy mówiliśmy Saint-Germain? Przekreśl. Pisz: markiz Belmare.

Abelone przekreśliła i pisała. Lecz hrabia tak szybko mówił, że nie można było nadążyć.

— Dzieci nie cierpiał ten kapitalny Belmare, ale mnie, malca tyciego, na kolana brał, a mnie przyszedł pomysł gryzienia jego dia-

mentowych guzików. To go cieszyło. Śmiejąc się, podniósł moją głowę, aż spojrzeliśmy sobie w oczy.

— Znakomite masz zęby — rzekł — zęby pełne przedsiębiorczości...

Lecz ja zapamiętałem oczy jego. Później zjeździłem kawał świata. Sporo widziałem oczu, wierzaj mi: takich nigdy. Dla tych oczu nic nie potrzebowało istnieć, one to w sobie miały. O Wenecji słyszałaś? Dobrze. Powiadam ci, że one Wenecję *wpatrzyć* mogły tu w ten pokój — i byłaby tu, tak jak ten stół. Siedziałem w kącie kiedyś i słyszałem, jak ojcu mojemu o Persji opowiadał, czasami myślę jeszcze, że mi tym pachną ręce. Ojciec mój cenił go, a jego wysokość pan landgraf<sup>84</sup> był czymś niby uczniem jego. Nie brakło jednak i takich, co mu za złe mieli, że w przeszłość wierzył tylko wtenczas, jeżeli była w nim. Tego pojąć nie mogli, że te graty mają tylko sens, jeśli się człowiek narodził z nimi.

---

<sup>84</sup>*landgraf* — niemiecki tytuł feudalny. [przypis edytorski]

— „Te księgi są puste! — krzyczał hrabia z wściekłym gestem ku ścianom — krew! o krew chodzi, w niej trzeba umieć czytać. Dziwne on tam miał historie i osobliwe obrazki, ten Belmare; gdziekolwiek otwierał, zawsze coś było zapisane; żadna stronica w jego krwi nie była pominięta. A kiedy zamykał się od czasu do czasu i sam w niej karty przewracał, wówczas dochodził do miejsc o robieniu złota i o kamieniach, i o farbach. Dlaczego tego tam nie miało być? To z pewnością gdzieś jest napisane”.

„Mógł dobrze żyć z jedną prawdą ten człowiek, gdyby był sam. Ale to nie bagatela sam na sam być z taką prawdą. A on nie był na tyle niesmaczny, by zapraszać ludzi na odwiedzenie go przy takiej prawdzie; ona nie miała dostać się na języki: na to był on zbyt człowiekiem wschodnim. «*Adieu, madame*<sup>85</sup> — mówił jej zgodnie z prawdą — innym razem. Może za tysiąc lat będzie się nieco silniejszym i bardziej spokojnym. Piękność pani przecież roz-

---

<sup>85</sup>*adieu, madame* (fr.) — do widzenia pani. [przypis edytorski]

kwita dopiero, *madame*» — mówił, a nie była to tylko uprzejmość. Tak odszedł i daleko założył dla ludzi swój zwierzyniec, coś w rodzaju *Jardin d'Acclimatation* dla większych gatunków kłamstw, jakich u nas nie widywano potąd, i palmiarnię przesadności, i małą, pielęgnowaną troskliwie *figuerie*<sup>86</sup> fałszywych tajemnic. I poschodziły się zewsząd, a on obchodził z diamentowymi spinkami u trzewików i był cały dla swoich gości”.

„Powierzchowna egzystencja: co? Właściwie była to jednak pewna rycerskość wobec jego damy, a nieźle zakonserwował się przy tym”.

Od pewnej już chwili starzec nie mówił ku Abelone, o której zapomniał. Jak wściekły latał po pokoju i ciskał wyzywające spojrzenia Stenowi, jak gdyby Sten w pewnej chwili miał się zamienić w tego, o kim on myślał. Lecz Sten jeszcze się nie zamieniał.

— Trzeba by go widzieć — ciągnął hrabia Brahe z zawziętością. — Był czas, kiedy widzialny był najzupełniej, aczkolwiek w niektó-

---

<sup>86</sup>*figuerie* (fr.) — plantacja fig. [przypis edytorski]



rych miastach listy przezeń otrzymywane nie były skierowane do nikogo: tylko miejscowość była na nich, nic więcej. Ale ja go widziałem.

— Nie był piękny.

Hrabia zaśmiał się dziwnie pośpiesznie.

— Ani tym, co ludzie zwą „wybitny” albo „wytworny”: zawsze byli wytworniejsi obok niego. Był bogaty: ale to u niego było tylko jak kaprys, na tym nie można było polegać. Rosły był, choć inni trzymali się lepiej. Oczywiście nie mogłem wówczas osądzić, czy był inteligentny i czy to i tamto miał, do czego się wagę przykładam: ale *był*.

Hrabia dygocząc stał i uczynił ruch, jak gdyby w przestrzeń wstawiał coś, co pozostało.

W tej chwili zauważył Abelone.

— Czy widzisz go? — ofuknął ją. I nagle pochwycił srebrny świecznik i oślepiająco w twarz jej błysnął.

Abelone pamiętała, że widziała go.

W następnych dniach Abelone wzywana była regularnie, a dyktowanie po tym zajściu odbywało się znacznie spokojniej. Hrabia we-

dług najróżniejszych papierów zestawił najwcześniejsze swoje wspomnienia z koła Bernstorffów, gdzie ojciec jego odegrał pewną rolę. Abelone tak dobrze była teraz wtajemniczona w osobliwości swojej pracy, że kto widział tych dwoje, mógł celową ich wspólnotę łatwo poczytać za istotną zażyłość.

Pewnego razu, kiedy Abelone już się chciała usunąć, stary pan podszedł ku niej i jak gdyby z niespodzianką jakowąś ręce trzymał za sobą:

— Jutro pisać będziemy o Julii Reventlow — rzekł i delektował się własnymi słowami:

— To była święta.

Prawdopodobnie Abelone patrzyła nań z niedowierzaniem.

— Tak, tak, to wszystko jeszcze istnieje — obstawał rozkazującym tonem — wszystko istnieje, hrabianko Abel.

Wziął ręce Abelone i roztworzył je niby książkę.

— Miała stygmaty<sup>87</sup> — rzekł — tu i tu.

I zimnym palcem twardo i krótko stuknął w obie jej dłonie.

Wyrażenia „stygmaty” Abelone nie znała. To się okaże, pomyślała, niecierpliwiła się wielce, by słyszeć o tej świętej, którą widział jeszcze jej ojciec. Ale już jej nie zawezwano, ani następnego ranka, ani później.

— O hrabinie Reventlow później często przecie mówiło się u was — kończyła Abelone krótko, gdy ją prosiłem, aby opowiadała więcej. Miała wygląd zmęczony; twierdziła też, że prawie wszystko zapomniała.

— Ale te miejsca czuję jeszcze czasami — uśmiechała się i nie mogła się powstrzymać, i niemal ciekawie patrzyła w puste swoje dłonie.

Jeszcze przed śmiercią ojca mego wszystko się zmieniło. Ulsgaard już do nas nie należał. Ojciec mój umarł w mieście, w mieszkaniu na

---

<sup>87</sup>*stygmaty* — rany a. zmiany skórne naśladujące rany Chrystusa. [przypis edytorski]

piętrze, które mnie się wydawało wrogie i obce. Ja byłem wówczas już za granicą i przyjechałem za późno.

Leżał na marach w pokoju od podwórza między dwoma rzędami wysokich świec. Zapach kwiatów niezrozumiały był jak wiele równoczesnych głosów. Piękna twarz, w której oczy zamknięto, miała wyraz uprzejmego przypominania. Ubrany był w mundur łowczego, lecz z niewiadomego powodu założono białą wstęgę zamiast błękitnej. Ręce nie były splecione, leżały skośnie jedna na drugiej i wyglądały bezmyślnie i jak podrobione. Opowiedziano mi szybko, że cierpiał wiele, wcale nie znać było tego. Rysy jego były pozostawiane, jak meble w pokoju gościnnym po czyimś wyjeździe. Miałem uczucie, jakbym go już częściej widywał umarłym; tak dobrze znałem to wszystko.

Nowe było tylko otoczenie, w przykry jakiś sposób. Nowy był ten duszący pokój, co naprzeciwno miał okna, prawdopodobnie okna innych ludzi. Nowe było to, że pani Sieversen wchodziła od czasu do czasu i nic nie robiła.

Pani Sieversen postarzała się. Potem miałem jeść śniadanie. Kilkakrotnie wzywano mnie do stołu. Absolutnie nic mi na tym nie zależało, aby tego dnia jeść śniadanie. Nie spostrzegłem, że chciano mnie stąd wyprosić; wreszcie, ponieważ nie odchodziłem, pani Sieversen jakoś dała mi do zrozumienia, że przyszli lekarze. Nie pojmowałem po co.

— Jeszcze tam jest coś do zrobienia — rzekła pani Sieversen i z natężeniem patrzyła na mnie czerwonymi oczami.

Potem ze zbytnim pośpiechem weszli dwaj panowie: byli to lekarze. Pierwszy pochylił raptownie głowę, jakby rogi miał i chciał ubóść, i spoglądał na nas ponad okularami: najpierw na panią Sieversen, potem na mnie.

Skłonił się z formalnością studencką.

— Pan łowczy jeszcze jedno miał życzenie — rzekł zupełnie tak samo, jak wszedł; miało się znowu wrażenie, że zbyt szybko się śpieszy. Skłoniłem go, nie wiem jak, do skierowania wzroku przez szkła. Kolega jego był to tęgi, cienkoskóry blondyn; przyszło mi na myśl, że

musi być łatwo doprowadzić go do zarumienienia. Przy tym zrobiła się pauza. Dziwne to było, że łowczy teraz jeszcze miał życzenia.

Mimo woli znów spojrzałem w piękną, równą twarz. I oto wiedziałem, że chciał pewności. Pewności właściwie pragnął zawsze. Teraz miał ją uzyskać.

— Panowie przyszli dla przekłucia serca: proszę.

Skłoniłem się i ustąpiłem wstecz. Obaj lekarze pochyłili się jednocześnie i natychmiast poczęli porozumiewać się co do swojej roboty. Ktoś już też odsuwał na bok świecę. Lecz starszy lekarz jeszcze raz postąpił ku mnie kilka kroków. Z pewnego oddalenia pochylił się naprzód, aby zaoszczędzić ostatni kawałek drogi, i spojrzał na mnie zły.

— Nie potrzeba — rzekł — to znaczy, uważam, że może lepiej będzie, jeżeli pan...

Wydał mi się zaniedbany i zużyty w oszczędnej swojej i pośpiesznej postawie. Skłoniłem się ponownie; tak jakoś wyszło, że już znowu się skłoniłem.

— Dziękuję — rzekłem zwięźle. — Nie będę przeszkadzał.

Wiedziałem, że to zniosę i że nie było powodu do usuwania się od tej sprawy. To musiało przyjść. To był może sens wszystkiego. Zresztą nie widziałem nigdy, jak się komuś przekłuwa pierś. Uważałem za naturalne nie odpychać tak osobliwego doświadczenia, skoro się zjawiało tak swobodnie i bezwarunkowo. W rozczarowania wówczas już właściwie nie wierzyłem; nie było więc żadnych obaw.

Nie, nie, wyobrazić sobie nic na świecie nie można, najzupełniej nic. Wszystko składa się z tak wielu jedynych szczegółów, nie dających się przewidzieć. W imaginacji pomija się je, nie spostrzegając w pośpiechu ich braku. Rzeczywistości wszakże powolne są i nieopisanie szczegółowe.

Któż byłby na przykład pomyślał o tym oporze. Zaledwie obnażona była szeroka, wyniosła pierś, a już pośpieszny człowieczek odnalazł miejsce, o które chodziło. Wszelako przyłożony szybko instrument nie wszedł. Miałem

uczucie, jak gdyby nagle wszelki czas zniknął z tego pokoju... Byliśmy jak w obrazie. Lecz potem czas nadążył małym, ślizgającym się szmerem — i było go więcej, niż można było zużyć. Wtem zastukało gdzieś. Nigdy nie słyszałem takiego stukania: ciepły, zamknięty, podwójny stuk. Słuch mój podał go dalej i zobaczyłem zarazem, iż lekarz natrafił na grunt. Ale minęła chwila, zanim skojarzyły się we mnie te dwa wrażenia. Aha, pomyślałem, a więc teraz przebili. To stukanie, jeżeli chodzi o tempo, było prawie złośliwie uradowane.

Przyjrzałem się temu człowiekowi, którego już znałem teraz tak dawno. Nie, on był najzupełniej opanowany; szybko i rzeczowo pracujący pan, który zaraz musiał jechać dalej. Nie było w tym ani cienia rozkoszy lub satysfakcji. Na lewej tylko skroni ustawiło się parę włosków z jakiegoś dawnego instynktu. Ostrożnie wyciągnął instrument i pozostało coś jak usta, z których dwa razy po sobie wystąpiła krew, jakby mówiły coś dwuzgłoskowego. Młody blondyn zebrał to prędkim, eleganckim ruchem w swo-



ją watę. I teraz rana pozostała spokojna jak zamknięte oko.

Należy przypuścić, że skłoniłem się jeszcze raz, tym razem nie bardzo przytomnie. Przy najmniej zdumiony byłem, że znalazłem się sam. Ktoś ułożył na powrót mundur i biała wstęga leżała na wszystkim jak przedtem. Ale teraz łowczy był nieżywy, a nie tylko on sam. Teraz serce było przebite, nasze serce, naszego pokolenia serce.

Teraz było po wszystkim. Więc to było ono kruszenie hełmu: „Brigge po dziś dzień i już przenigdy” — coś powiedziało we mnie.

O moim sercu nie pomyślałem. A kiedy później wpadło mi na myśl, po raz pierwszy wiedziałem z całą pewnością, że to serce tu nie wchodziło w grę. To było pojedyncze serce. Zabierało się już do zaczynania od początku.

Wiem, uwidziałem sobie, że nie zaraz będę mógł wyjechać. Wpierw musi wszystko być uporządkowane, powtarzałem sobie. Co miało się porządkować, nie zdawałem sobie spra-

wy. Właściwie nie było nic do roboty. Chodziłem po mieście, stwierdzając, że to miasto zmieniło się. Było mi przyjemnie wyjść z hotelu, w którym zamieszkałem, i widzieć, że to było teraz miasto dla dorosłych, które dla mnie przybierało pozę jak dla kogoś obcego niemal. Zmniejszyło się trochę wszystko — a ja promenowałem<sup>88</sup> przez ulicę Długą, aż do latarni morskiej i z powrotem. Kiedy zachodziłem w okolice Amaliengade, łatwo<sup>89</sup> mogło się przydarzyć, że skądś wychodziło coś, co człowiek uznawał przez lata całe, a co jeszcze raz próbowało swej mocy. Były tam narożne okna albo portale, albo latarnie, wiele o człowieku wiedzące i grożące tą wiedzą. Patrzyłem im w oczy i dawałem do odczucia, że mieszkam w hotelu „Feniks”, i że każdej chwili mogę wyjechać. Lecz sumienie moje nie było przy tym spokojne. Zrodziło się we mnie podejrzenie, że dotąd żaden z tych wpływów i związków nie był naprawdę przewyciężony. Opuszczono je pew-

---

<sup>88</sup>*promenować* (daw.) — przechadzać się. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*łatwo* (daw.) — łatwo. [przypis edytorski]

nego dnia potajemnie, wcale nie wykończone. Więc i dzieciństwo trzeba by jeszcze przeżyć, skoro się nie chce poniechać ich na zawsze. I w chwili, gdy pojmowałem, jak je tracę, odczułem zarazem, że nigdy nic innego posiadać nie będę, aby się na to powołać.

Po kilka godzin codziennie spędzałem na Dronningens Tvaergade, w ciasnych pokojach, co miały obrażoną minę jak wszystkie mieszkania najemne, w których ktoś umarł.

Chodziłem tam i sam między biurkiem a wielkim, białym piecem kaflowym, paląc papiery łowczego. Listy całymi wiązkami jałem<sup>90</sup> cisnąć w ogień, lecz były związane zbyt mocno i tliły się tylko po brzegach. Musiałem przewyciężyć się, aby je rozwiązać. Na ogół miały silny, przekonywający zapach, który szedł ku mnie, jakby chcąc i we mnie wywołać wspomnienia. Ja ich nie miałem. Zdarzało się przy tym, że wysuwały się fotografie, cięższe od reszty papierów; te fotografie spalały się zadziwiająco powolnie. Nie wiem, w jaki sposób nagle

---

<sup>90</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

uwidziałem sobie, że wśród nich mogła być fotografia Ingeborgi. Lecz ilekroć spoglądałem w ogień, widziałem dojrzałe, wyraźnie piękne, wspaniałe kobiety, nasuwające mi odmienne myśli. Okazało się bowiem, że jednak niezupełnie byłem pozbawiony wspomnień. W takich to właśnie oczach przeglądałem się czasem, kiedym, dorastający, chadzał z ojcem po ulicy. Wówczas z głębi powozu otaczały mnie one spojrzeniem, z którego trudno było się wydobyć. Wiedziałem teraz, iż w takich razach porównywałem siebie z nim i że porównanie wypadało nie na moją korzyść. Och, nie, łowczy mógł nie obawiać się porównań.

Może ja teraz wiem coś, czego on się obawiał. Wytlumaczę, skąd to przypuszczenie. W samej głębi jego portfela znalazł się papier, dawno złożony we czworo, kruchy, złamany w zgięciach, Przeczytałem go przed spaleniem. Pisany był najpiękniejszym jego pismem, pewno<sup>91</sup> i równo, ale zauważyłem, że to był odpis tylko.

---

<sup>91</sup>*pewno* — dziś popr.: pewnie. [przypis edytorski]

„Trzy godziny przed śmiercią” — tak się zaczynało, a mowa była o Krystianie Czwartym. Nie mogę, rzecz oczywista, oddać treści dosłownie. Trzy godziny przed śmiercią zapragnął wstać. Lekarz i kamerdyner Wormius pomogli mu się podnieść. Stał trochę niepewnie, ale stał, a oni ubrali go w pikowany szlafrok. Potem on nagle przysiadł na brzegu łoża i powiedział coś. Nie można było zrozumieć. Lekarz bez przerwy trzymał króla lewą ręką, aby nie upadł wstecz na posłanie.

Siedzieli tak, a król od czasu do czasu z trudem i mętnie powtarzał to niezrozumiałe słowo. Wreszcie lekarz jął mówić doń; przypuszczał, że stopniowo zgadnie, co król ma na myśli. Po chwili król przerwał mu i rzekł nagle zupełnie wyraźnie:

— O, doktorze, jak doktor się nazywa?

Lekarz z wysiłkiem przypomniał sobie.

— Sperling, Najjaśniejszy Panie.

Ale o to przecie tu naprawdę nie chodziło. Skoro król posłyszał, że go rozumiano, otworzył szeroko pozostałe prawe oko i rzekł całą

twarzą to jedno słowo, które język tworzył od wielu godzin, to jedyne, jakie istniało jeszcze:

— *Döden*<sup>92</sup> — rzekł — *Döden*.

Na kartce nic więcej nie było. Przeczytałem kilkakrotnie, zanim ją spaliłem. I przyszło mi na myśl, że ojciec mój cierpiał w końcu bardzo. Tak mi opowiadano.

Od tego czasu wiele przemyślałem o lęku przedśmiertnym, uwzględniając przy tym w pewnej mierze własne doświadczenia. Zdaje mi się, iż mogę powiedzieć, że ja go czułem. Opadał mnie ten lęk w centrum miasta, pośrodku ludzi, nieraz bez żadnego powodu. Wprawdzie częstokroć piętrzyły się przyczyny, kiedy na przykład ktoś konał na ławce i wszyscy stali dookoła, i przyglądali mu się, a on już był poza lękiem; wtenczas ja miałem jego lęk.

Albo wówczas w Neapolu: siedziała ta młoda osóbka naprzeciw mnie i umarła. Wyglądało to zrazu na omdlenie, jechaliśmy nawet jeszcze kawałek. Lecz potem ustała wątpliwość i trze-

---

<sup>92</sup>*Döden* (duń.) — śmierć. [przypis edytorski]

ba było stanąć. A za nami stały tramwaje i zamowiane rosły w długi rząd, jak gdyby odtąd nie było żadnej drogi w tę stronę. Ta blada grubą dziewczyna mogła być w ten sposób, oparta o sąsiadkę, umrzeć spokojnie. Ale jej matka nie pozwoliła na to. Zaczęła stwarzać jej najróżniejsze trudności. Suknie ją szarpać i lała jej coś do ust, które nic już nie zatrzymywały. Na czole jej rozcierała jakiś płyn, przyniesiony przez kogoś, a skoro w takiej chwili oczy przewracały się nieco w tył, wtenczas potrząsała nią, aby wzrok powrócił ku przodowi. Krzyczała w te oczy niesłyszące, szarpała i ciągnęła tu i tam jak lalkę — i wreszcie zamierzyła się i z całych sił trzasnęła w tłustą twarz, aby nie umierała. Wtedy bałem się.

Ale i bałem się też dawniej. Na przykład, kiedy konał mój pies. Ten sam, który mnie oskarżał raz na zawsze. Był bardzo chory. Klęczałem przy nim już cały dzień, gdy nagle szcekał, urywanie i krótko, tak jak szcekał zawsze, kiedy ktoś obcy schodził do pokoju. Szczekanie takie w podobnych wypadkach było między

nami niejako umówione, więc spojrzałem mimo woli ku drzwiom. Ale to już było w nim. Zaniepokojony szukałem jego wzroku, a i on szukał mego spojrzenia; lecz nie dlatego, aby chciał się zegnać. Patrzył na mnie twardo i dziwnie. Wyrzuty mi czynił, że ja to wpuściłem. Był przekonany, że mogłem zapobiec. Okazało się teraz, że on mnie zawsze przeceniał. I nie było już czasu na uświadamianie. Patrzył na mnie dziwnie i samotnie — aż do końca.

Albo bałem się, kiedy jesienią po pierwszych nocnych przymrozkach muchy przychodziły do pokoju i raz jeszcze odżywały w ciepłe. Dziwnie były zeschnięte i straszyl je własny brzęk; widziało się, że już nie bardzo wiedziały, co robią. Siedziały godzinami folgując sobie najzupełniej, póki nie przypominało się im, że jeszcze żyją; wówczas na oślep rzucały się gdziekolwiek, nie rozumiejąc, co tam po nich — i słychać było, jak dalej padały i ówdzie, i gdzie indziej. I wreszcie pełzały wszędzie i obumierały w całym pokoju.



Ale nawet gdy byłem samotny, potrafiłem się bać. Dlaczego mam udawać, jakby nie było tych nocy, kiedym siedział prosto z śmiertelnego strachu i kurczowo czepiałem się tej jednej myśli, że siedzieć to jeszcze coś jest żywego: że umarli nie siedzą. Było to zawsze w jednym z onych przypadkowych pokojów, które opuszczały mnie natychmiast, skoro mi się źle wiodło, jakby w obawie, że popadną w śledztwo i wplątane zostaną w moje przykre sprawy. No i siedziałem, a prawdopodobnie wyglądałem tak okropnie, że nic nie miało odwagi przyznać się do mnie. Nawet świeca, której przecie co dopiero tę przysługę wyświadczyłem, żem ją zapalił, nawet ona nie chciała mnie znać. Palila się tak oto prosto przed siebie, jak w pustym pokoju. Ostatnią moją nadzieją było potem tylko zawsze okno. Imaginowałem sobie, że na dworze może być jeszcze coś, co jest moje, nawet teraz, nawet w tym nagłym ubóstwie umierania. Ale zaledwim spojrział w tę stronę, a już pragnąłem, aby to okno było zatarasowane, zabite jak ściana. Bo wiedziałem,

że tam w świat ciągnęło się dalej wciąż równie bezlitośnie, że i tam na dworze nie było nic, jedno samotność moja. Ta samotność, którą ściągnąłem na siebie, a która tak wielka była, że do jej wielkości serce moje nie odnosiło się już w żadnym stosunku. Ludzie przychodzili mi na myśl, od których kiedyś odszedłem — i nie rozumiałem, jak można opuszczać ludzi.

Mój Boże, mój Boże, jeżeli czekają mnie jeszcze takie noce, zostawże mi choć jedną z tych myśli, które niekiedy myśleć mogłem. Nie jest to tak bardzo nierozumne, czego tu żądam; bo wiem, że one wyszły właśnie z lęku, ponieważ mój lęk był tak wielki.

Kiedym był chłopcem, bito mnie w twarz i mówiono, że m tchórz. A to dlatego, ponieważ jeszcze źle się bałem. Ale od tych czasów nauczyłem się lękać prawdziwym lękiem, co rośnie tylko wtedy, gdy rośnie siła, która go wytwarza. Żadnego wyobrażenia nie mamy o tej sile, wiemy o niej tylko z naszego lęku. Jest ona bowiem tak niepojęta, tak najzupełniej nam przeciwna, że mózg nasz rozkłada się w tym

miejscu, gdzie silimy się ją pomyśleć. A jednak od pewnej chwili sędzę, że to *nasza* siła, cała nasza siła, jeszcze zbyt dla nas mocna. Prawda, nie znamy jej, ale czyż to nie jest właśnie najistotniejsza nasza własność, o której najmniej wiemy?

Niekiedy myślę sobie, jak powstało niebo i śmierć: powstały w ten sposób, że odepchnęliśmy od siebie to, co jest najcenniejsze, ponieważ przedtem tyle jeszcze trzeba było zdziałać innych rzeczy i ponieważ u nas zapracowanych nie było ono bezpieczne. Potem czasy przemięły nad tym, a myśmy przywykli do rzeczy marniejszych. Nie poznajemy już swojej własności i ostateczna jej wielkość nas przeraża. Czy to niemożliwe?

Rozumiem zresztą teraz dobrze, że można zupełnie głęboko w portfelu nosić przy sobie opis godziny śmierci przez wszystkie te lata. Nawet ta godzina śmierci niekoniecznie musi być szczególnie wyszukana; każda z nich ma coś nieomal rzadkiego. Czyż na przykład nie

można wyobrazić sobie kogoś, kto przepisuje sobie, jak umarł Feliks Arvers?

Był w szpitalu. Umierał w słodki i spokojny sposób, a zakonnica mniemała może, iż dalej się posunął, niż było w istocie. Zupełnie głośno przez drzwi wydała jakieś polecenie, gdzie to a to można było znaleźć. Była to zakonnica mało wykształcona; słowa korytarz, którego w danej chwili nie można było ominiąć, nigdy nie widziała na piśmie; więc mogło się zdarzyć, że powiedziała „kulytarz” w przekonaniu, że tak się mówi. Na to Arvers odłożył umieranie. Wydało mu się rzeczą konieczną wyjaśnić to wprzód. Zrobił się do cna trzeźwy i wytłumaczył jej, że się mówi „korytarz”. Potem umarł. Był poetą i nienawidził przypadkowości; albo może chodziło mu tylko o prawdę, albo korciła go myśl zabrania ostatniego wrażenia, że świat się dalej wlecze tak niedbale. Tego już zbadać nie można. Tylko niechaj nikt nie myśli, że to była pedanteria. Ten sam bowiem zarzut mógłby spotkać świętego Jean de Dieu, co podczas umierania zerwał się i w samą porę

zdążył jeszcze odciąć w ogrodzie wieszającego się człowieka, o którym w przedziwny sposób wieść dotarła w zamknięte nateżenie jego agonii. I jemu chodziło także o prawdę tylko.

Jest istota najzupełniej nieszkodliwa, skoro widzisz ją na oczy; prawie jej nie spostrzegasz i zapominasz o niej natychmiast. Skoro jednak niewidzialnie w jaki bądź sposób dostanie się do twego słuchu, wówczas tam się rozwija — wypełza niejako — i były wypadki, kiedy dotarła aż do mózgu i w tym narządzie rozwijała się zabójczo, podobnie jak pneumokoki u psa, wchodzące przez nos.

Istotą ową jest sąsiad.

Otóż ja, od czasu jak tłukę się tak samotnie, miałem niezliczoną ilość sąsiadów; górnych i dolnych, prawych i lewych, czasami wszystkie cztery rodzaje równocześnie. Mógłbym po prostu napisać historię moich sąsiadów; byłaby to praca na całe życie. Byłaby to właściwie raczej historia chorobliwych objawów, jakie oni wywołali we mnie. Ale tę mają oni wspólną cechę z wszystkimi podobnymi istotami, że ba-

dać ich można tylko na podstawie zaburzeń, które powodują w pewnych tkankach.

Miewałem nieobliczalnych sąsiadów i bardzo regularnych. Przesiadywałem, próbując odnaleźć prawa pierwszego gatunku; nie ulegało bowiem wątpliwości, że i oni mieli prawa. A skoro ci punktualni nagle pewnego wieczora nie zjawiali się, odmalowywałem sobie całe obrazy, co im się mogło wydarzyć, i lampę zostawiałem zapaloną, i trwożyłem się jak młoda kobieta.

Miewałem sąsiadów, którzy właśnie w tym czasie nienawidzili, i sąsiadów zaplątanych w gwałtowną miłość albo byłem świadkiem, jak jedno u nich nagle zamieniało się w drugie w połowie nocy — no i wówczas o spaniu nie było mowy. I w ogóle obserwować można było, że sen to wcale nie jest tak częsta rzecz, jak się wydaje. Moi obaj petersburscy sąsiedzi na przykład niewiele dbali o sen. Jeden z nich stał i wygrywał na skrzypcach, i jestem pewien, że przy tym spoglądał daleko na roztrzęzione domy, co nie przestawały jaśnieć w nieprawdopodob-

nych nocach sierpniowych. O drugim, po prawej stronie, wiem wprawdzie, że leżał; za moich czasów w ogóle już nie wstawał. Miał nawet oczy zamknięte; ale nie można było powiedzieć, że śpi. Leżał i deklamował długie wiersze, wiersze Puszkina i Niekrasowa, w takim tonie, jak dzieci przepowiadają wiersze, kiedy im kazano. A mimo muzyki lewego sąsiada właśnie ów z wierszami zasklepił się w mojej głowie i Bóg raczy wiedzieć, co by się tam było wylęgło, gdyby student, który go czasem odwiedzał, nie był pewnego dnia pomylił się co do drzwi. Opowiedział mi historię swego znajomego i okazało się, że historia ta była do pewnego stopnia uspokajająca. W każdym razie była to historia dosłowna, jednoznaczna, na której szczęło liczne robactwo moich domysłów.

Ten urzędniczyna obok wpadł pewnej niedzieli na pomysł osobliwego zadania, które chciał rozwiązać. Przypuścił, że będzie żył bardzo długo, dajmy na to jeszcze pięćdziesiąt lat. Wielkoduszność w ten sposób sobie samemu oka-

zana wprowadziła go w przepyszny nastrój. Ale oto chciał sam siebie przewyższyć. Zastanowił się, że te lata można wymienić na dni, na godziny, na minuty, ba, jeśli się wytrzyma, na sekundy — i liczył, i liczył, i wyszła taka suma, jakiej w życiu nie widział. Poczł zawrót w głowie. Trzeba było trochę przyjść do siebie. Czas jest cenny, tak mawiano zawsze, a on dziwił się, że człowieka, co posiada taką moc czasu, nie strzeże się po prostu. Jak łatwo można go okraść! Potem jednakże wrócił mu dobry, prawie dziki humor; ubrał się w kozuch, aby wyglądać nieco szerzej i wspanialej, i sam siebie obdarował całym tym niesłychanym kapitałem, przemawiając do siebie trochę protekcyjnie:

— Mikołaju Kuźmiczu — mówił dobrodusznie i wyobrażał sobie, że poza tym jeszcze siedzi sam, bez kozucha, cienki i nikły, na włosiennej kanapie — spodziewam się, Mikołaju Kuźmiczu — mówił — że nie będziecie się zbyt pisać ze swojego bogactwa. Pamiętajcie zawsze, że to nie jest najważniejsze,



są ludzie ubodzy, zupełnie szacunku godni; są nawet zubożali magnaci i generalskie córki, co po ulicach chodzą i coś sprzedają.

I dobroczyńca przytaczał jeszcze rozmaite, w całym mieście znane, przykłady.

Ten drugi Mikołaj Kuźmicz, ten co siedział na włosiennej kanapie, ten obdarowany, wcale jeszcze nie wyglądał na pyszałka — można było przypuszczać, iż będzie roztropny. I naprawdę wcale nie zmienił skromnego, regularnego trybu życia, a niedziele spędzał teraz na doprowadzaniu swego rachunku do porządku. Ale już po paru tygodniach uderzył go fakt, że wydaje nieprawdopodobnie wiele. Będę się ograniczał, myślał sobie. Wstawał wcześniej, mył się mniej szczegółowo, herbatę pił stojąc, biegł do biura i przychodził o wiele za wcześnie. Wszędzie ciułał czas po trosze. Ale w niedzielę nie zostało nic z tego ciułania. Wówczas pojął, że go oszukano. Nie trzeba było wymieniać, powiedział sobie. Jak to się długo żyje z takiego jednego roku. Ale ot, te przekłete drobne rozłazą się, nie wiadomo jak.

I zrobił się brzydki wieczór, kiedy siedział w rogu kanapy i czekał na pana w futrze, od którego chciał zażądać zwrotu swego czasu. Postanowił zamknąć drzwi na klucz i nie wypuścić go, zanim nie potrząśnie kiesą.

— W banknotach — miał mu rzec — niech już będą po dziesięć lat.

Cztery papierki po dziesięć i jeden na pięć lat, a resztę to niech już sobie zatrzyma u diabła. Tak, resztę gotów był mu podarować, aby tylko nie powstały trudności. Podrażniony siedział na włosiennej kanapie i czekał, ale ten pan nie przychodził. A on, Mikołaj Kuźmicz, co przed paru tygodniami z taką łatwością widział siebie tu siedzącego, on nie mógł teraz, kiedy naprawdę siedział, wyobrazić sobie tego drugiego Mikołaja Kuźmicza, tego w futrze, wielkodusznego. Bóg raczy wiedzieć, co się z nim stało, prawdopodobnie wytropiono jego oszustwa i teraz już gdzieś siedział pod kluczem. Z pewnością nie jego samego wtrącił w nieszczęście. Tacy szalbierze zawsze pracują na wielką skalę.

Przyszło mu na myśl, że powinna istnieć państwowa instytucja, coś w rodzaju „Banku Czasu”, gdzie by mógł wymienić chociaż część swoich głupich sekund. Przecież ostatecznie sfałszowane nie były. Nigdy o takiej instytucji nie słyszał, ale w księdze adresowej powinno się znaleźć coś podobnego pod literą B, albo może nazywało się to „Dom Czasu”; łatwo było poszukać pod D. Ewentualnie trzeba było także uwzględnić literę K, gdyż przypuszczalnie był to urząd królewski; odpowiadałoby to jego znaczeniu.

Później zapewniał Mikołaj Kuźmicz stale, że w ów sobotni wieczór, chociaż oczywiście był w nastroju nader przygnębionym, nie pił wcale. Był zatem najzupełniej trzeźwy, kiedy zdarzyła się rzecz następująca, o ile w ogóle rzecz można, co się tam zdarzyło.

Może zdrzemnął się nieco w swoim kąciku, można by to sobie wyobrazić. Drzemka ta zrazu przyniosła mu prawdziwą ulgę.

— Zacząłem zadawać się z liczbami — dogadywał sobie. — No, nie znam się wcale na

liczbach. Ale rzecz oczywista, że nie wolno przypisywać im nazbyt wielkiego znaczenia; są one przecież tylko, że tak powiem, urządzeniem państwowym, gwoli porządku. Nikt przecież liczby nie widział nigdzie, jak tylko na papierze. Było to niemożliwe, aby ktoś na przykład w towarzystwie spotkał siódemkę albo dwudziestkę. Tam ich po prostu nie było. A przy tym zdarzyła się tam ta mała pomyłka, po prostu z roztargnienia: czas i pieniądz, jak gdyby tego nie można było odróżniać.

Mikołaj Kuźmicz śmiał się prawie. Dobrze to było tak przejrzeć własne krętactwa i to zawczasu, to najważniejsze, zawczasu. Teraz będzie inaczej. Czas, tak, to jest drażliwa sprawa. Ale czyż to jego samego dotyczyło, czy i drugim nie mijał czas tak, jak on sam odkrył, w sekundach, nawet kiedy nie wiedzieli o tym?

Mikołaj Kuźmicz niezupełnie zdołał odpędzić uczucie złośliwej radości z cudzego nieszczęścia.

A choćby nawet... — chciał właśnie pomyśleć, gdy wtem stało się coś dziwnego.

Nagle powiało po jego twarzy, przeciągnęło obok uszu, czuł wiew na rękach. Rozwarł oczy szeroko. Okno było szczelnie zamknięte. I kiedy tak siedział z wytrzeszczonymi oczami w ciemnym pokoju, poczynął rozumieć, że to, co w tej chwili odczuwał, było rzeczywistym *czasem*, który przeciągał. Poznał najwyraźniej wszystkie te sekundeczki, równie letnie, jedną do drugiej podobną, ale prędkie, ale prędkie. Bóg raczy wiedzieć, jakie one jeszcze miały zamiary. Że też właśnie jego to musiało spotkać, jego, który każdy rodzaj wiatru odczuwał jak obrazę. Teraz będę tu siedział, a to będzie wciąż tak przeciągało, przez całe życie. Przewidywał wszystkie te newralgie<sup>93</sup>, jakich się przy tym nabawić można, i nie posiadał się z wściekłości.

Zerwał się, ale nie koniec był niespodziankom. Pod nogami także było coś jak ruch, nie jeden tylko, lecz kilka dziwnie kłótliwie wahających się ruchów. Zdrętwiał w przerażeniu: czy to mogła być ziemia? Naturalnie: to była

---

<sup>93</sup>*newralgia* — ból powodowany przez nerwy. [przypis edytorski]

ziemia. Ruszała się przecie. W szkole była mowa o tym, przeszło się nad tym dość pośpiesznie, a później chętnie zatajano; nie wypadało mówić o tym. Ale teraz, gdy stał się wrażliwy, począł odczuwać i to. Czy inni odczuwali? Może, ale nie okazywali tego. Prawdopodobnie nie robili sobie z tego nic ci marynarze. Mikołaj Kuźmicz natomiast właśnie na tym punkcie był nieco delikatny, unikał nawet tramwajów. Zataczał się w pokoju, niby na pokładzie, i musiał trzymać się ze wszystkich stron. Na domiar nieszczęścia przypomniało się mu jeszcze coś o pochyłym położeniu osi ziemskiej. Nie, nie mógł znieść tych wszystkich poruszeń. Czuł się okropnie.

Leżeć i cicho być — tak gdzieś czytał. I od-tąd leżał Mikołaj Kuźmicz.

Leżał i oczy miał zamknięte. I były czasy niejako mniej ruchliwe, dni, kiedy sytuacja była wcale znośna. A potem wymyślił sobie to z tymi wierszami. Nie uwierzy nikt, jak to pomagało. Kiedy się deklamowało taki wiersz, powoli, z regularnym akcentowaniem rymów, wów-

czas istniało poniekąd coś stałego, na co można było patrzeć, wewnątrz, rozumie się. Całe szczęście, że umiał wszystkie te wiersze. Ale interesował się zawsze szczególnie literaturą. Nie skarżył się na swój stan, tak mnie zapewnił student, który go znał dawno, tylko wytworzył się w nim z biegiem czasu przesadny podziw dla tych ludzi, którzy, jak ów student, chodzili i znosili ruch ziemi.

Pamiętam tę historię tak dokładnie, ponieważ uspokoiła mnie niewymownie. Mogę zapewnić, że nigdy już nie miałem tak miłego sąsiada, jak ów Mikołaj Kuźmich, który i mnie z pewnością byłby podziwiał.

Postanowiłem po zdobyciu tego doświadczenia w podobnych wypadkach wprost ruszać na fakty. Przekonałem się, o ile one są proste bardziej i wyzwalające niż domysły. Tak jak gdybym nie był wiedział, że wszystkie nasze zrozumienia są późniejsze, że są to zamknięcia, nic więcej. Zaraz za tym zaczyna się nowa stronica, zaczyna się od czegoś zupełnie nowe-

go, bez przeniesienia. Na co mi się zdało teraz, w obecnym przypadku, tych parę faktów, które można stwierdzić bez żadnego trudu! Wyliczę je zaraz, skoro tylko powiem, co mnie w tej chwili zajmuje: to, że raczej przyczyniły się do tego, iż moja sytuacja bardzo (jak teraz przynajmniej) ciężka, dała mi się jeszcze bardziej we znaki.

Na swoje dobro mogę powiedzieć, że wiele pisałem w tych dniach; pisałem kurczowo. Co prawda, kiedym wychodził, niechętnie myślałem o wracaniu do domu. Chadzałem nawet określonymi drogami i w ten sposób traciłem po pół godziny, podczas gdy w tym czasie mogłem pisać. Przyznaję, że to była słabość. Ale skoro byłem w pokoju, nie miałem sobie nic do zarzucenia. Pisałem, miałem *swoje* życie, a to tam obok mnie, to było życie zgoła inne, z którym nie dzieliłem nic: życie studenta medycyny, co uczy się do egzaminu. Ja żadnych podobnych planów nie miałem, już to samo było różnicą zasadniczą. A i zresztą warunki nasze były jak najbardziej odmienne. To wszystko poj-



mowałem. Aż do chwili, kiedy wiedziałem, że to przyjdzie; wówczas zapomniałem, że między nami nie ma wspólnoty. Nasłuchiwałem tak, że serce moje zrobiło się zupełnie głośnie. Zostawiłem wszystko i nasłuchiwałem. I potem przyszło: nie omyliłem się.

Prawie każdy zna ów łoskot, jaki sprawia pierwsza lepsza blaszana rzecz, dajmy na to wieko od puszki blaszanej, kiedy wysunie się z rąk. Zazwyczaj nawet nie bardzo głośnie upada na ziemię, pada krótko, i toczy się po brzegu dalej, a niemiłe staje się właściwie dopiero w chwili, kiedy rozpęd kończy się, a wieko, na wszystkie strony zataczając się, uderza, zanim spocznie.

Otóż więc: to jest wszystko. Taki przedmiot blaszany upadł tuż obok, kulał się, legł, a w tym czasie, w pewnych odstępach, słyhać było tupanie. Jak wszystkie szmery rozwijające się częściej, tak i ten łoskot zorganizował się wewnątrz; odmieniał się, nigdy nie był równy. Ale to właśnie przemawiało za jego prawidłowością. Mógł być gwałtowny albo łagodny, albo melancholijny; mógł niejako przyspieszo-

ny mijać albo nieskończenie długo ślizgać się, nim się ułożył spokojnie. A to ostatnie kołysanie zawsze było nieoczekiwane. Natomiast ów tupot, który się w to mieszał, miał coś niemal mechanicznego. On to dzielił zawsze łoskot na inne części, to zdaje się było jego zadanie.

Szczegóły te mogę teraz ogarnąć znacznie lepiej; ten pokój obok mnie jest pusty. Lokator wyjechał do domu na prowincję. Na odpoczynek. Mieszkam na najwyższym piętrze. Po prawej stronie jest inny dom, pode mną nikt się jeszcze nie wprowadził; jestem bez sąsiadów.

W takim usposobieniu dziwię się nawet, że tej sprawy nie potraktowałem obojętniej. Choć za każdym razem uczucie mnie ostrzegało. To trzeba było wyzyskać. Nie przestrasz się! — powinienem był sobie powiedzieć — teraz się zbliża! Wiedziałem przecie, że nie myłę się nigdy. Ale to może zależało właśnie od tych faktów, które kazałem opowiedzieć sobie. Od czasu, jak je znałem, stałem się jeszcze bardziej strachliwy.

Odczuwałem to prawie jak coś upiornego, że tym, co wywoływało ten łoskot, był ów mały, powolny, bezszmerny ruch, jakim powieka jego samowolnie opadała i zamykała się nad prawym okiem, gdy czytał. To było istotne w jego historii, ta drobnostka. Kilka już razy musiał omijać egzaminy, ambicja stała się wrażliwa, a z domu naglono go prawdopodobnie w każdym liście. No więc trudno, trzeba się było wziąć do roboty. A tu na kilka tygodni przed rozstrzygnięciem zjawiała się ta słabość; to małe, niemożliwe znużenie, tak śmieszne, jak na przykład to, że roleta okienna nie chce się trzymać u góry. Jestem pewien, iż całymi tygodniami miał przekonanie, że trzeba to umieć opanować. Bo inaczej nie byłbym wpadł na pomysł zaofiarowania mu mojej woli. Pewnego dnia spostrzegłem bowiem, że jego wola się skończyła. I odtąd, skoro czułem, że to już się zbliża, stałem po mojej stronie ściany i prosiłem go, aby brał. I z czasem zrozumiałem, że brał. Może nie powinien był tego czynić, szczególnie jeżeli się zważy, że to właściwie wcale nie

pomagało. Przypuśćmy nawet, że przewlekaliśmy trochę całą sprawę, ale mimo to pozostaje pytanie, czy on naprawdę był zdolny wyzyskiwać te momenty, które w ten sposób zdobywaliśmy. A co do moich wydatków: zaczynałem je odczuwać. Wiem, że pytałem siebie, czy to tak może być dalej — tego właśnie dnia, kiedy ktoś przybył na nasze piętro. A takie rzeczy na ciasnych schodach były zawsze połączone z wielkim niepokojem w małym hotelu. Po chwili zdało mi się, że ktoś wchodzi do mego sąsiada. Nasze drzwi były ostatnie w korytarzu, jego drzwi były ukośne i tuż przy moich. Wiedziałem jednakże, iż niekiedy przyjmował u siebie przyjaciół i, jak mówiłem, absolutnie nie interesowały mnie jego stosunki. Być może, iż jego drzwi otwierały się jeszcze kilkakrotnie, że tam ktoś wchodził i wychodził. Za to ja doprawdy nie mogłem odpowiadać.

Otóż tego właśnie wieczora gorzej było niż kiedykolwiek. Nie było jeszcze późno, ale z przemęczenia już się położyłem; uważałem za coś prawdopodobnego to, że będę spał. Wtem ze-

rwałem się, jakby mnie ktoś dotknął. Zaraz potem wybuchło. Coś skakało, toczyło się, rozbi-  
jało o coś i zataczało się, i klekotało. Tupot był  
straszliwy. A w tym wszystkim stukano z do-  
łu, o piętro niżej, stukano wyraźnie i gniew-  
nie w sufit. Nowy lokator naturalnie też był  
wyprowadzony z równowagi. Teraz: to musiały  
być jego drzwi. Byłem tak trzeźwy, że mniema-  
łem słyszeć szmer jego drzwi, chociaż obcho-  
dził się z nimi zdumiewająco ostrożnie.

Miałem wrażenie, że on się zbliża. Z pew-  
nością chciał zobaczyć, w jakim to się dzie-  
je pokoju. Ale zastanawiała mnie ta naprawdę  
przesadna jego delikatność. Wszak mógł do-  
piero co zauważyć, że o spokój nie chodziło  
w tym domu. Dlaczego na miłość boską tłu-  
mił kroki? Przez chwilę miałem wrażenie, że  
jest pod moimi drzwiami; a potem usłyszałem,  
bez najmniejszej wątpliwości, że wszedł obok.  
Bez ceremonii wszedł obok.

I teraz (hm, jakże to opisać), teraz zrobiło  
się cicho. Cicho, jak kiedy ustaje ból. Osobli-  
wie namacalna, świerzbiąca cisza, jakby się ra-

na goiła. Mogłem usnąć natychmiast, mogłem odetchnąć i usnąć. Tylko zdumienie kazało mi czuwać. Ktoś mówił obok, ale i to należało do ciszy. To trzeba było przeżyć, jaka to była cisza, oddać tego nie sposób. Na dworze też wszystko było jak wyrównane. Usiadłem, nasłuchiwałem — zupełnie jak na wsi. Mój Boże, pomyślałem, jego matka przyjechała. Siedziała przy świecy, dogadywała mu, może on głowę trochę złożył na jej ramieniu. Ona go zaraz spać położy.

Teraz pojąłem te ciche kroki na korytarzu. Ach, że też istnieje coś podobnego! Taka istota, przed którą drzwi zupełnie inaczej ustępują niż przed nami.

Tak, teraz można sobie spać.

Sąsiada mego prawie już zapomniałem. Widzę jasno, że to, co ja do niego czułem, nie było prawdziwym współczuciem. Na dole wprawdzie niekiedy zapytuję przechodząc, czy są od niego wieści i jakie. I cieszę się, jeśli są dobre. Ale ja przesadzam. Właściwie wcale nie potrze-

buję tego wiedzieć. To wcale nie ma już nic wspólnego z nim, że czasami odczuwam nagłą chętkę wejścia tam obok. Jeden jest tylko krok od moich drzwi do tamtych, a pokój jest nie zamknięty. Ciekawe by to było, jak się właściwie ma rzecz z tym pokojem. Można bardzo łatwo wyobrazić sobie dowolny pokój — i często zgadza się to mniej więcej. Ten tylko pokój, który się ma obok siebie, jest zawsze zupełnie inny, niezgodny z wyobraźnią.

Mówię sobie, że to ta okoliczność mnie korci. Ale wiem doskonale, że czeka na mnie pewien blaszany przedmiot. Przypuściłem, że idzie tu naprawdę o wieko od puszki, chociaż oczywiście mogę się mylić. To nie niepokoi mnie. To tylko odpowiada mojej skłonności do zwałania wszystkiego na wieko od puszki. Można sądzić, że nie zabrał go z sobą. Przypuszczalnie w czasie sprząwania położono wieko na puszcze jak należy. I oto tworzą oboje pojęcie puszki, okrągłej puszki, wyrażonej dokładnie, pojęcie proste, bardzo znane. Mam uczucie, jakbym przypomniał sobie, że na kominku sto-

ją ci oboje tworzący puszkę. Ba, stoją nawet przed lustrem tak, iż trochę dalej powstaje nowa puszka, ludzaco podobna, imaginacyjna. Puszka, do której nie przywiązujemy żadnej wagi, po którą jednakże małpa na przykład sięgnęłaby. Racja! Nawet dwie małpy sięgałyby po nią, bo małpa też byłaby podwójna, z chwilą zjawienia się na krawędzi kominka. A więc to właśnie wieczko tej puszki uwzięło się na mnie.

Zgódźmy się na jedno: wieko od puszki, zdrowej puszki, której brzeg nie inaczej wycięty jest jak jego brzeg, takie wieko nie powinno znać innego pragnienia, jak leżenie na swojej własnej puszcze. To powinno być ostatecznością tego, co ono zdolne jest sobie wyobrazić; niezrównanym zadowoleniem, spełnieniem wszystkich marzeń. Jest to przecież po prostu ideał, tak cierpliwie i z lekkim wtłoczeniem, równomiernie spoczywać na równoległej wypukłości i czuć w sobie zazębiający się kant, elastyczny i akurat równie ostry, jak się samemu jest na krawędzi, kiedy się leży osobno.



Ach, ale jak to mało wiek istnieje, które to jeszcze doceniają po dziś dzień. Tutaj wyraźnie widać, jak bałamutnie na rzeczy podziałało obcowanie z ludźmi. Ludzie bowiem (jeżeli uchodzi takie zupełnie przelotne porównanie ich z puszkami) nader niechętnie i źle siedzą na swoich zajęciach. Po części dlatego, że nie trafili na właściwe w pośpiechu, po części stąd, że nasadzono ich krzywo i w gniewie, a po części dlatego, że brzegi odpowiadające sobie są powyginane, każdy na inny sposób. No powiedzmy zupełnie śmiało: oni w istocie rzeczy myślą tylko o tym, jakby tu w jaki bądź sposób zeskończyć możliwie najprędzej, potoczyć się i brzęczeć blaszano. Bo skądżeby się brały wszystkie te tak zwane rozrywki i ta wrzawa przez nie sprawiana?

Na to patrzą rzeczy już od wieków. Nic dziwnego, że się popsuły, że straciły gust do swego naturalnego, cichego celu, a chciałyby swój byt tak wyzyskać, jak widzą, że się go wszędzie wokoło wyzyskuje. Próbują usuwać się swoim zastosowaniem, robią się niechętne

i opieszale — a ludzie wcale się nie dziwią, kiedy je przydybią na wybryku. Oni sami z siebie tak świetnie to znają! Irytują się, bo są mocniejsi, bo mniemają, iż mają większe prawa do urozmaiceń, bo czują, że się ich małpuje; ale folgują im, jak i sobie folgują.

Ale gdzie Jeden jest taki, który się zawarł w sobie, jakiś samotnik, powiedzmy, który tak najokrągłej na sobie chciałby polegać dzień i noc — taki wprost wyzywa protest, szyderstwo i nienawiść zwyrodniałych sprzętów, które w sumieniu swoim podłym ścierpieć już nie mogą, że coś w sobie się zwierza i według swego mniemania dąży.

I łączą się, aby przeszkadzać, straszyć, mącić — i wiedzą, że to potrafią. I już, mrugając ku sobie, rozpoczynają kuszenie, które potem wyrasta dalej w nieskończoność i porywa za sobą wszystkie istoty i Boga samego przeciw temu Jednemu, który może przetrwać: przeciw świętemu.

Jak ja rozumiem teraz te dziwaczne obrazy, w których rzeczy o ścieśnionym i regularnym używaniu porozluźniały się i lubieżnie a ciekawie wzajem siebie próbują, drgając w niewyraźnej sprośności zabawy. Te kotły, co wrzące chodzą dookoła, te tłoki, którym przychodzą myśli, i te bezcynne leje, co w jakąś dziurę cisną się ku własnej przyjemności. I też są już, zazdrosną nicością ku górze wyrzucone, kończyny i członki pod nimi, i twarze, co ciepło w nie womitują<sup>94</sup>, i dmące siedzenia, które im dogadzają.

A święty wije się i skręca w sobie. Ale w oczach jego było jeszcze spojrzenie, które tę rzecz uważało za możliwą; spojrział w tę stronę. I już w jasnej toni duszy zmysły osadzają się na dnie. Już modlitwa jego liście traci i z ust mu wystaje jak uschnięty krzew. Serce jego przewróciło się i wylało w mętnię. Własny bicz trafia go słabo, jak buńczuk<sup>95</sup> odpędzający muchy. Płęć jego znów jest na jednym tylko miejscu, a kie-

---

<sup>94</sup>womitować — wymiotować. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>buńczuk — drzewce zakończone pękiem końskiego włosia, kozacki a. tatarski symbol władzy wojskowej. [przypis edytorski]

dy kobieta wyprostowana idzie poprzez tę wyuzdaną niedbałość, z otwartym łonem pełnym piersi, płec jego wskazuje na nią jak palec.

Były czasy, kiedym te obrazy uważał za przestarzałe. Nie dlatego, że o nich wątpilem. Mogłem wyobrazić sobie, że przytrafiało się to świętym wówczas, tym nierozważnym zapaleńcom, co zaraz z Bogiem zaczynać chcieli za każdą cenę. My już się tego nie spodziewamy po sobie. My przeczuwamy, że On jest za ciężki na nas, że Go odkładać musimy, aby powoli dokonać tej długiej pracy, jaka nas od Niego dzieli. Ale teraz wiem, że pracę tę tak samo się zwalcza jak świętość; że ta walka powstaje dokoła każdego człowieka, który w imię tej pracy jest samotny, tak jak się tworzyła koło samotników Bożych w jaskiniach i pustych gospodach, ongi.

Kiedy się mówi o samotnikach, zawsze przypuszcza się z góry zbyt wiele. Myśli się, że ludzie wiedzą, o co chodzi. Nie, oni nie wiedzą. Oni nie widzieli nigdy samotnika, oni go tylko nienawidzili nie znając. Byli jego sąsiadami,

którzy go zużywali, i głosami w sąsiednim pokoju, które go kusiły. Oni przedmioty szczuli na niego tak, iż czyniły wrzawę i zagłuszały go. Dzieci łączyły się przeciw niemu, gdy był wątły i dzieckiem był, a każdym rośnięciem wzrastał przeciw dorosłym. Tropili go w kryjówce niby zwierzyne, a długa jego młodość była bez czasu ochronnego. A gdy nie dał się zgonić i uszedł, krzyczeli o tym, co wychodziło od niego, i nazywali to brzydkim, i obsypywali podejrzeniami. A skoro nie słuchał, stawali się wyraźniejsi i wyjadali mu jedzenie, i wydechali jego powietrze, i pluli w jego nędzę, iżby mu obrzydła. Niesławę nań sprowadzali jak na zarazanego i kamienie ciskali za nim, aby się prędzej oddalał. I mieli rację w starym swoim instynkcie; albowiem on był naprawdę ich wrogiem.

Ale potem, kiedy nie podnosił oczu, zastanawiali się. Przeczuwali, że tym wszystkim działali po jego myśli; że umacniali go w samotnym jego bycie i pomagali mu odosobnić się od nich na zawsze.

I oto zmienili sposób i zastosowali to ostatnie, to najskrajniejsze, ów inny opór: *stawę*. I od tej wrzawy każdy prawie podnosił oczy i mącił się.

Tej nocy przypomniała mi się ta zielona książeczka, którą w dzieciństwie musiałem kiedyś posiadać, i nie wiem, dlaczego imaginuję sobie, że pochodziła ta książeczka od Matyldy Brahe. Nie interesowało mnie to, że ją dostałem, a przeczytałem ją dopiero po kilku latach, zdaje się w Ulsgaard podczas wakacji. Ale znaczenie miała dla mnie od pierwszej chwili. Była na wkroś pełna związków i ustosunkowań, nawet pod względem zewnętrznym. Zieloność okładki oznaczała coś — i widziało się od razu, że ta książka wewnątrz musiała być taką, jaką była, jakby na skutek umowy; była nasamprzód gładka przed tekstem karta, białe w białym nawodniona, a po tym strona tytułowa, w której widziało się pełno tajemnic. Mogły być chyba w tej książce obrazki, tak to wyglądało; ale nie było żadnych i trzeba było przyznać prawie nie-

chętnie, że i to było w porządku. Niejaką po-  
ciechę stanowiło napotkanie w pewnym miej-  
scu wąskiej zakładki, co krucha i nieco skośna,  
wzruszająca w swej ufności, że jeszcze jest ró-  
żowa, od Bóg wie jak dawna zawsze leżała mię-  
dzy tymi samymi stronicami. Może nie używa-  
no jej nigdy, a introligator tu ją umieścił po-  
śpiesznie i pilnie, prawie nie patrząc. A może  
to i nie był traf. Może tam ktoś przestał czytać  
i nigdy więcej nie czytał; może w tej chwili do  
jego drzwi zastukał los, aby go zająć, może po-  
niosło go daleko od wszystkich książek, które  
przecież ostatecznie życiem nie są. Nie moż-  
na było poznać, czy tę książkę ktoś czytał dalej.  
Można też było pomyśleć, że po prostu chodzi-  
ło o to, aby otwierać książkę wiele razy w tym  
miejscu i że to się zdarzało niekiedy nawet póź-  
no w noc. W każdym razie czułem lęk wobec  
dwu tych stronic jak wobec zwierciadła, przed  
którym ktoś stoi. Nie czytałem ich nigdy. Nie  
wiem w ogóle, czy przeczytałem całą książkę.  
Nie bardzo była gruba, ale wiele tam było opo-  
wieści, szczególnie po południu; wówczas za-

wsze zjawiała się nowa, której się jeszcze nie znało. Pamiętam już tylko dwie. Powiem jakie: Koniec Griszy Otrepjowa<sup>96</sup> i Karola Śmiałego<sup>97</sup> upadek.

Bóg raczy wiedzieć, czy byłem wówczas pod wrażeniem. Lecz teraz, po tylu latach, wspominam opis, jak trup fałszywego cara rzucony został w tłum i leżał przez trzy dni rozszarpany i skłuty, i z maską na twarzy. Nie ma naturalnie nadziei, aby ta mała książeczka kiedykolwiek wpadła mi w ręce. Ale to miejsce musiało być dziwne. Miałbym też ochotę odczytać, jak odbyło się to spotkanie z matką. Widocznie czuł się bardzo pewny, skoro ją sprowadzał do Moskwy; jestem przekonany nawet, że on w tym czasie tak silnie wierzył w siebie, iż miał uczucie, jakoby powoływał swoją naprawdę matkę. A ta Maria Nagoj, która w pośpiesznej podróży nadjechała ze swego

---

<sup>96</sup>*Otrepjow, Grisza* (1581–1606) — pierwszy z Dymitrów Samozwańców, podających się za zmarłego cara i z pomocą Polski usiłujących przejąć władzę w Rosji. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>*Karol Śmiały* (1432–1477) — książę Burgundii, pretendent do korony francuskiej, zginął w bitwie pod Nancy. [przypis edytorski]



biednego klasztoru, zyskałaby wszystko, gdyby potwierdziła. Czy wszakże jego niepewność nie zaczęła się właśnie od tego, że ona go poznała? Skłonny jestem uwierzyć że siła jego przemiany polegała na tym, że nie był już synem niczym.

(To jest ostatecznie siłą wszystkich młodzieńców, którzy odeszli.<sup>98</sup>)

Lud, który go sobie wypragnał, nie wyobrażając sobie nikogo, nadał mu tym większe swobody i poszerzył granice jego możliwości. Natomiast oświadczenie matki, nawet jako fałsz świadomy, miało jeszcze moc pomniejszenia go; ograniczyło go do zmęczonego naśladownictwa; poniżyło do jednostki, a on nią nie był; zrobiło z niego oszusta. A oto przyszła, łagodząc jego pewność, przyszła jeszcze ta Maryna Mniszech<sup>99</sup>, która zaparła się jego na swój sposób, jako że nie w niego wierzyła, jak się okazało później, ale w każdego. Nie mo-

---

<sup>98</sup>*To jest ostatecznie siłą wszystkich młodzieńców, którzy odeszli.* — w rękopisie jest to dopisek na marginesie. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>*Mniszech, Maryna (1588–1615)* — żona i współregentka Dymitra Samozwańca I, współpracowała też z jego następcą. [przypis edytorski]

gę oczywiście zaręczyć, do jakiego stopnia to wszystko uwzględnione było w tej opowieści. To, mam wrażenie, należałoby opowiedzieć.

Ale nawet pomijając to wszystko, wydarzenie niniejsze bynajmniej nie jest przestarzałe. Można by teraz pomyśleć sobie kogoś, kto wiele starania wkłada w ostatnie chwile; nie myliłby się. Bardzo wiele dzieje się w tych chwilach.

Jak z najgłębszego snu skacze ku oknu i poza okno w podwórze między warty. Nie może się sam podnieść; muszą mu pomóc. Prawdopodobnie noga jest złamana. Oparty o dwu żołnierzy, czuł, że wierzą w niego. Ogląda się, inni też w niego wierzą. Prawie mu ich żal, tych olbrzymich strzelców, źle chyba musi już być: Iwana Groźnego znali w całej jego rzeczywistości — i wierzą w *niego*. Miałby ochotę ich objaśnić, ale otworzyć usta, to znaczyłoby po prostu krzyknąć. Ból w nodze piekielny, a on tak mało mniema o sobie w tej chwili, że nic nie wie prócz bólu. A potem nie ma czasu. Następują. Widzi Szujskiego, a za nim wszyst-

kich. Zaraz będzie koniec. Ale nagle jego warty zwały się. Nie dają go. I staje się cud. Wiara tych starych żołnierzy szerzy się — już nikt nie chce iść. Szujski, tuż przed nim, rozpaczliwie woła ku oknu w górze. Nie ogląda się. Wie, kto tam stoi, pojmuje, że robi się cicho, bez żadnego przejścia, cicho. Teraz pojawi się głos, który on zna z tamtych czasów, ten wysoki, fałszywy głos, co się zbytnio natęża. I oto słyszy carową-matkę, która się go zapiera.

Dotąd rzecz toczy się sama, ale teraz — proszę — barda, złotoustego barda! Albowiem od tych paru zdań, co jeszcze pozostały, musi potęga iść ponad wszelkie przeczenie. Czy to się powie, czy nie, przysiąc trza jednak, że między głosem a strzałem pistoletu, w niesłychanym streszczeniu, jeszcze raz była w nim moc i wola: być wszystkim. Bo nie zrozumie się, jakie to wspaniale konsekwentne, że strój nocny mu podziurawili i kłuli go zewsząd, czyli<sup>100</sup> natrafią na twardość osoby w nim. I że w śmierci

---

<sup>100</sup>czyli — czy z partykułą pytajną -li. [przypis edytorski]

jeszcze nawet maskę miał, przez trzy dni, maskę, której się już był wyrzekł prawie.

Gdy się teraz zastanawiam, wydaje mi się to dziwne, że w tejże samej książce opowieść była o zgonie tego, który przez całe swoje życie jeden był, równy, twardy i nieprzemienny jak granit i coraz to cięższy dla wszystkich, którzy go znosili. Jest obraz jego w Dijon. Ale wiadomo i bez tego, że był krótki, poprzeczny, hardy i rozpaczliwy. O rękach tylko nie pomyślałoby się może. Ręce te są wściekle ciepłe, co wечно chciałyby się chłodzić i mimowolnie kładą się na rzeczy zimne, kładą się rozcapierzone, z powietrzem między wszystkimi palcami. W te ręce mogła z impetem strzelać krew, tak jak innym do głowy uderza — a zaciśnięte były w istocie jak głowy wariatów, huczące od szaleńczych pomysłów.

Niesłychanej potrzeba było ostrożności, aby żyć z tą krwią. Książę zamknięty z nią był w samym sobie, a niekiedy bał się jej — gdy chodziła dokoła niego, skurczona i ciemna. Jemu

samemu mogła niesamowicie obcą wydawać się ta żwawa, półportugalska krew, której prawie nie znał. Często lęk go opadał, że ona we śnie napadnie go i rozszarpie. Udawał, że ją ujarzmi, lecz zawsze trwał w jej strachu. Nie śmiał nigdy kochać kobiety, aby krew nie wpadła w zazdrość, a tak gwałtowna była, iż nigdy wina nie tknęła ustami; miast piciem, uśmierzał ją potrawą z rozgotowanych róż. A jednak raz pił, w obozie pod Lozanną, kiedy Granson było stracone; chory był wtedy i odosobniony, i pił wiele czystego wina. Ale wówczas spała jego krew. W ostatnich jego głupich latach zapadała niekiedy w ten ciężki, zwierzęcy sen. Wtedy okazywało się, w jakim stopniu był w jej mocy, bo kiedy krew spała, on był niczym. Wtedy nikt z otoczenia nie miał prawa wchodzić; wtedy nie rozumiał, co mówili. Obcym posłom nie mógł się pokazywać, tak był opustoszały. Wówczas siedział i czekał, aż ona się zbudzi. I zazwyczaj zrywała się jednym skokiem i buchnąwszy z serca, ryczała.

Dla tej krwi włączył z sobą wszystkie te rzeczy, z których nic sobie nie robił. Trzy wielkie diamenty i wszystkie te kamienie; koronki flandryjskie<sup>101</sup> i kobierce z Arras, całe stosy. Jedwabny namiot ze sznurami kręconymi ze złota i czterysta namiotów dla orszaku. I malowidła na drzewie, i dwunastu ze szczerego srebra apostołów. I księcia tarenckiego, i księcia Clève, i Filipa badeńskiego, i pana Château-Guyon. Chciał bowiem wmówić swojej krwi, że jest cesarzem, a nic ponad nim; iżby się go bała. Ale krew nie wierzyła, wbrew tylu dowodom, była to krew podejrzliwa. Może przez jakąś chwilę trzymał ją w niepewności. Ale rogi z Uri zdradziły go. Odtąd krew jego widziała, że była w zatrąceńcu: i chciała się wyrwać.

Tak rzecz widzę teraz, ale wówczas miałem wrażenie przede wszystkim, iż czytam o dniu Trzech Króli, kiedy go szukano.

Młody Lotaryńczyk, który dnia poprzedniego, natychmiast po tej dziwnie pośpiesznej

---

<sup>101</sup>*flandryjski* — pochodzący z krainy historycznej położonej na terenie dzisiejszej Belgii, Francji i Holandii. [przypis edytorski]

bitwie wjechał był do swego mizernego Nancy, o bardzo wczesnej porze zbudził otoczenie, pytając o księcia. Gońca za gońcem słano, a on sam od czasu do czasu zjawiał się w oknie, niespokojny i zatroskany. Nie zawsze poznawał, kogo tam przynosili i wozili na tych noszach i wozach, widział tylko, że nie księcia. I wśród rannych nie było go, a z jeńców, których wciąż jeszcze przyprowadzano, żaden go nie widział. Uchodźcy natomiast na wsze strony roznosili przeróżne wieści i byli zbałamuceni i strachliwi, jakby w obawie, że natkną się na niego.

Zmierzchało już, a o nim nie było słyhu. Wieść, że zaginął, miała dość czasu, aby się rozejść w ów długi wieczór zimowy. A gdziekolwiek docierała, i budziła we wszystkich nagłą, przesadną pewność, że on żyje. Nigdy chyba książę nie był tak rzeczywisty w każdej wyobraźni, jak onej nocy. Nie było domu, gdzie by nie czuwano czekając nań i gdzie by nie wyobrażano sobie jego stukania. A skoro nie przychodził, to dlatego, że już poszedł dalej.

Mróz był tej nocy, a zarazem jak gdyby marzła idea, że on jest; tak twardą się stała. I minęło sporo lat, zanim się rozplynęła. Wszyscy ci ludzie, nie bardzo sobie zdając sprawę, obstawali przy nim. Los, jaki on na nich ściągnął, znośny był tylko dzięki jego postaci. Tak trudno im było nauczyć się, że był; teraz wszakże, kiedy go znali, uważali, że łatwo było go spamiętać i nie sposób zapomnieć.

Ale następnego dnia, siódmego stycznia, we wtorek, poszukiwania jednak zaczęły się od nowa. I tym razem z przewodnikiem. Był to paż księcia, a podobno widział z daleka, jak pan jego runął; teraz miał wskazać miejsce. Paż sam nic nie opowiadał, hrabia Campobasso przyprowadził go i mówił za niego.

Szedł teraz na przedzie, a inni trzymali się tuż za nim. Kto go tak widział zakapturzonego i osobliwie niepewnego, z trudem uwierzyłby, że to był naprawdę Gian-Battista Colonna, piękny jak dziewczyna i delikatny w przegubach. Drżał z zimna. Powietrze było sztywne od nocnego mrozu, pod krokami dźwięczało



jak zgrzytanie zębów. Zresztą marzli wszyscy. Jeden tylko książęcy błazen, przezwany Louis-Onze, dbał o ruch. Udawał psa, wybiegał naprzód, wracał i przez chwilę na czworakach drałował przy chłopcu. A skoro z daleka widział trupa, przyskakiwał do niego i pochylał się, i dogadywał mu, aby się postarał i był tym, którego szukają. Dawał trupowi trochę czasu do namysłu, lecz potem wracał kwaśny i groził, i klął, i skarżył się na upór i gnuśność umarłych.

I szli bezustannie i nie było końca. Miasto już ledwo było widać; pogoda bowiem zamknęła się tymczasem, mimo zimna, i stała się szara i nieprzezroczysta. Kraj leżał płaski i obojętny, a mała i gęsta grupa ludzi wyglądała coraz bardziej zbłąkanie, im dalej się posuwała. Nikt nie mówił nic, jedna tylko starowina, która się przyplątała, ziała coś i kiwała przy tym głową; może modliła się.

Nagle stanął przewodnik i rozejrzał się. Potem zwrócił się raptownie do Lupiego, portugalskiego lekarza książęcego, i wskazał przed siebie. O kilka kroków dalej była powierzchnia

lodu, coś jakby kałuża lub staw — i tam leżało, na poły załamanych, dziesięć czy dwanaście trupów. Obnażone były prawie zupełnie i obrabowane. Lupi zgięty i uważny obchodził je kolejno. I oto poznano pana Olivier de la Marche i księdza, gdy tak każdy obchodził osobno. A starowina już klęczała w śniegu i skomlała schylona nad wielką ręką, której palce rozczapierzone jeżyły się ku niej.

Zbiegli się wszyscy. Lupi próbował z kilku sługami obrócić trupa, ponieważ leżał na twarzy. Ale twarz przymarzła, a kiedy odrywano ją od lodu, jedna warga oddarła się cienko i kruch — i pokazało się, że drugą wyszarpały psy lub wilki, a rozplątana całość była wielką raną, co poczyniała się od ucha tak, iż o twarzy nie mogło być mowy.

Jeden po drugim oglądał się poza siebie; każdy mniemał, że ujrzy poza sobą Rzymianina, pazia. Ale zobaczyli tylko błazna, który nadbiegł zły i okrwawiony. Trzymał płaszcz jakiś w wyciągniętych rękach i trząsał nim, jakby coś miało wypaść. Ale płaszcz był pusty. Więc

zaczęto szukać znamion i znalazły się niektóre. Rozpalono ogień i umyto ciało ciepłą wodą i winem. Blizna na szyi ukazała się i ślady po obu wrzodach. Lekarz już nie wątpił. Ale porównywano jeszcze inne znaki. Louis-Onze kilka kroków dalej znalazł wielkie cielsko karego konia Moreau, którego dosiadał książę onego dnia pod Nancy. Siedział na nim zwieszając krótkie nogi. Krew wciąż jeszcze sączyła mu się z nosa do ust i widać było po nim, że czuje jej smak. Któryś ze sług przypomniał, że książę miał u lewej nogi wrośnięty paznokieć i wszyscy szukali paznokcia.

A błazen trzepotał, jakby go łaskotano i wrzeszczał:

— Ach, *Monseigneur*<sup>102</sup>! Daruj im, że odkrywają twoje ciężkie błędy, durnie te, a nie poznają cię po wydłużeniu mojej twarzy, gdzie stoją twoje cnoty.

(Błazen książęcy wszedł także pierwszy, kiedy zwłoki umieszczono na marach. Było to w domu niejakiego Jerzego Marquis, nikt nie umiał

---

<sup>102</sup>*monseigneur* (fr.) — mój panie. [przypis edytorski]

powiedzieć, dlaczego. Całun jeszcze nie był nałożony, więc błazen miał wrażenie pełne. Biel kamizeli i karmazyn płaszcz szorstko i nieuprzejmie odgraniczały się od siebie pomiędzy dwiema czerniami baldachimu i łoża. Na przodzie szkarłatne buty z cholewami sterczały ku niemu złoceniami wielkich ostróg. A że to tam w górze było głową, co do tego nie mogło być sporu, skoro się ujrzało koronę. Była to duża korona książęca z jakimiś kamieniami.

Louis-Onze obchodził i oglądał wszystko szczegółowo. Pomacał nawet atlas, choć mało się na tym znał. Dobry chyba atlas, może nieco tani jak na dom burgundzki. Cofnął się raz jeszcze dla objęcia całości. Barwy w śnieżnym świetle dziwnie były nie powiązane. Zapamiętywał sobie każdą z osobna.

— Dobrze ubrany — rzekł wreszcie z uznaniem — może odrobinę za wyraźnie.

Śmierć wydała mu się jak kuglarz z lalkami, któremu na gwałt potrzeba księcia.<sup>103)</sup>

---

<sup>103</sup>*Błazen książęcy wszedł także pierwszy itd.* — w rękopisie cały fragment znajduje się na marginesie. [przypis edytorski]

Dobrze jest pewne rzeczy, które już się nie zmieniają, stwierdzać po prostu, nie żałując faktów ani ich nie sądząc. Tak i ja doszedłem do wniosku, że nigdy nie umiałem naprawdę czytać. W dzieciństwie czytanie wydawało mi się fachem, który miało się wziąć na siebie kiedyś później, gdy będą przychodziły te wszystkie fache, jeden po drugim. Szczerze mówiąc, nie miałem wyraźnego pojęcia, kiedy by to być mogło. Polegałem na tym, że człowiek to poczuje, skoro życie niejako przewróci się i tylko już od zewnątrz iść będzie, tak jak przedtem od wnętrza. Wyimaginowałem sobie, że będzie ono wówczas wyraźne i jednoznaczne i że nie będzie go można rozumieć fałszywie. Wcale nie proste, przeciwnie, mocno wymagające, splątane i, jeżeli o to chodzi, ciężkie, ale bądź co bądź widzialne. Ta dziwna nieokreśloność dzieciństwa, ta nieproporcjonalność, ta niemożność przewidzenia nigdy — wszystko to byłoby wówczas przewycięzone. Trudno było wprawdzie pojąć, dlaczego. Właściwie przybierało to wciąż jeszcze i zamykało się zewsząd, a im bardziej

wyzierał człowiek na zewnątrz, tym więcej wnętrza poruszał w sobie: Bóg wie, skąd to szło. Lecz prawdopodobnie urastało do miary ostatecznej i urywało się potem za jednym zamachem. Łatwo było obserwować, że dorośli bardzo mało się tym niepokoiли; chodzili po świecie i sądzili, i działali, a jeśli kiedykolwiek mieli trudności, to dla przyczyn zewnętrznych.

W początkach takich przemian umieściłem czytanie. Wtedy z książkami obcowałoby się jak ze znajomymi, istniałby czas na to, określony, równo i mile mijający czas, tyle właśnie, ile się człowiekowi spodoba. Oczywiście niektóre byłyby bliższe, a trudno powiedzieć, że byłby człowiek ubezpieczony przed straceniem nad nimi od czasu do czasu jakiejś pół godziny: spaceru, terminu umówionego, początku przedstawienia lub pilnego listu. Ale żeby się człowiekowi włos skręcił i powichrzył, jak gdyby się na nim leżało, żeby się miało uszy mieć rozpalone i ręce zimne jak metal, żeby świeca spaliła się przy człowieku cała i aż w sam lich-

tarz — to wówczas, dzięki Bogu, byłoby najzupełniej wykluczone.

Przytaczam te objawy, ponieważ doświadczyłem ich na sobie dość uderzająco, wówczas podczas onych wakacji w Ulsgaard, kiedy tak nagle wpadł w czytanie. Wtedy pokazało się od razu, że nie potrafiłem. Zacząłem wprawdzie przed czasem, jaki sobie na to upatrzyłem. Ale ten rok w Sorö pośród samych innych rówieśników, zrobił mnie podejrzliwym wobec podobnych obliczeń. Tam podeszły ku mnie szybkie, niespodziane doświadczenia — i widać było najwyraźniej, że traktowały mnie jak dorosłego. Były do doświadczenia naturalnej wielkości, a robiły się tak ciężkie, jak były. W tym samym jednak stopniu, w jakim pojmowałem ich rzeczywistość, otwierały mi się także oczy na nieskończoną realność mego dziecięcego bytu. Wiedziałem, że nie skończy się ten byt, tak samo, jak tamto zaczynało się dopiero. Mówiłem sobie, że oczywiście każdemu wolno stwarzać okresy, ale te były zmyślane. I okazało się, że byłem zbyt niezdarny,

aby sobie wymyślać okresy. Ilekroć próbowałem, życie dawało mi do zrozumienia, że nic o nich nie wie. A skoro się upierałem, że moje dzieciństwo minęło, to w tej samej chwili znikało wszystko przyszłe, a mnie pozostawało tylko w sam raz tyle, ile ma pod sobą żołnierz ołowiany, aby móc stać.

Odkrycie to naturalnie odosobniło mnie jeszcze bardziej. Zajmowało mnie w moim wnętrzu i przepelniało czymś w rodzaju ostatecznego rozradowania, które brałem za stroskanie, ponieważ wychodziło daleko poza mój wiek. Niepokoiło mnie także i to, pamiętam, że teraz, kiedy nic nie było przewidziane na określony termin, można było w ogóle zaniedbać niejedno.

I kiedy tak powróciłem do Ulsgaard i zobaczyłem wszystkie te książki, rzuciłem się na nie; z całym pośpiechem, ze złym prawie sumieniem. To, co później odczuwałem tak często, przeczułem jakoś wówczas: że nie ma się prawa otworzyć książki, nie zobowiązawszy się do przeczytania wszystkich. Z każdym wier-



szem napoczyznało się świat. Przed książkami świat był nietknięty, a może i po nich był cały. Ale jakżeż mogłem mierzyć się z wszystkim, ja, który czytać nie umiałem? Stały tam, w tej nawet skromnej bibliotece, w tak beznadziejnie przemożnej ilości i były solidarne. Rzucałem się zawzięcie i rozpaczliwie od książki do książki i przedzierałem się przez stronicę jak ktoś, co ma zdziałać coś niesłychanego. Czytałem w owe czasy Schillera i Baggesena, Oehlenschlaegera i Schack-Staffeldta, wszystko co było z Walter Scotta i Calderona. Niejedno wpadało mi w ręce, co niejako już powinno było być przeczytane, na inne rzeczy było o wiele za wcześnie; nic prawie nie było stosowne na moją ówczesność. A jednak czytałem.

W późniejszych latach nieraz zdarzało mi się w nocy, że się budziłem — a gwiazdy stały tak rzeczywiście i działały się tak ważnie — i nie mogłem pojąć, jak ludzie mogą zaniedbywać tyle świata. Tak podobnie było mi, jak sądzę, na duszy, ilekroć podnosiłem oczy z książki na

świat, gdzie było lato, gdzie wołała Abelone. Przychodziło to bardzo niespodzianie, że ona musiała wołać, a ja nawet nie odpowiadałem. Przypadło to w sam raz na najszcześniejsze nasze czasy. Ale ponieważ to czytanie tak mnie porwało, trzymałem się go kurczowo i kryłem się, ważny i przekorny, przed naszymi codziennymi świętami. Z całą swoją niezdarnością wyzyskania tych wielu, często niepozornych, okazji naturalnego szczęścia, nie bez ochoty obiecywałem sobie po wzrastających nieporozumieniach przyszłe pojednania, które robiły się tym rozkoszniejsze, im więcej się je odwlekało.

Zresztą moje rozmarzenie czytelnicze pewnego dnia skończyło się tak nagle, jak powstało. I wtedy pogniewaliśmy się najzupełniej. Abelone bowiem nie szczędziła mi teraz drwin i swojej przewagi, a kiedym znajdował ją w altanie, twierdziła, że czyta. Pewnego poranka niedzielnej książka leżała wprawdzie zamknięta obok niej, ale ona wydawała się aż nadto zajęta porzeczkami, które ostrożnie widelcem obierała z małych gronek.

Musiała to być jedna z onych wczesnych pór, jakie bywają w lipcu: nowe, wypoczęte godziny, kiedy to wszędy dzieje się coś wesołego — niewymyślnego. Z milionów małych, nie dających się powściągnąć ruchów składa się mozaika najbardziej przekonanego bytu; rzeczy oscylują jedna w drugą i poza siebie, w powietrze — a chłód ich czyni cień przejrzystym, a słońcu każe świecić lekkim, duchowym blaskiem. Nie ma wtedy w ogrodzie rzeczy głównej; wszystko jest wszędzie i trzeba by we wszystkim być, aby nic nie pominąć.

W drobnej czynności Abelone wszakże powtarzało się to wszystko raz jeszcze. Tak szczęśliwie wynalezione było właśnie to, co robiła, i właśnie tak, jak robiła. Jej jasne w ocieńniu ręce współpracowały wzajemnie, tak lekko i zgodnie, a przed widelcem krągłe jagódki skakały swawolnie w czarę wyłożoną liściem winnym, który był mokry od rosy, kędy już inne piętrzyły się czerwone i płowe, rozblyszczane, o zdrowych pestkach w cierpkim wnętrzu. Nie pragnąłem w takich warunkach nic,

tylko przyglądać się, ale ponieważ można było przypuścić, że nie będzie mi wolno, pochwyciłem książkę (także w celu podkreślenia swego tupetu), usiadłem po drugiej stronie stołu, i, niewiele wertując, w pierwszym lepszym miejscu zapuściłem się w lekturę.

— Gdybyś tak przynajmniej głośno czytał, czytają — powiedziała po chwili Abelone.

O, to już wcale nie brzmiało tak zaczepnie, a ponieważ, moim zdaniem, wielki był czas się pogodzić, jałem natychmiast czytać głośno, bez przerwy, aż do rozdziału i dalej, następny tytuł: *Do Bettiny*<sup>104</sup>.

— Nie, nie odpowiedzi — przerwała mi Abelone i naraz jakby wyczerpana opuściła widelczyk. Zaraz potem rozśmieszyła ją mina, z jaką na nią spojrzałem.

— Mój Boże, jak ty podle czytałeś, Malte.

No i musiałem przyznać, że ani przez chwilę nie skupiłem uwagi.

---

<sup>104</sup>*von Arnim, Bettina* (1785–1859) — pisarka niemiecka, autorka m.in. fikcyjnej korespondencji z J. W. Goethem. [przypis edytorski]

— Czytałem tylko po to, abyś mi przerwała — przyznałem się i spiekłem raka<sup>105</sup>, i przewertowałem książkę powrotnie aż do tyłu. Teraz dopiero wiedziałem, co to było.

— A dlaczego nie czytać odpowiedzi? — spytałem zaciekawiony.

Abelone jakby mnie wcale nie była słyszała. Siedziała w swojej jasnej sukni, jak gdyby wszędzie wewnątrz zrobiła się zupełnie ciemna, tak jak jej oczy.

— Dawaj — rzekła nagle jakby w gniewie i wzięła mi książkę z ręki, i otworzyła ją dokładnie tam, gdzie chciała. A potem przeczytała jeden z listów Bettiny.

Nie wiem, co z tego zrozumiałem, ale czułem, jakby mi ktoś przyrzekał uroczyście, że to wszystko pojmem kiedyś. I podczas gdy jej głos wzbierał i wreszcie upodobnił się do tego głosu, jaki znałem ze śpiewu, wstyd mi było, że pojednanie wyobrażałem sobie tak marnie. Dobrze bowiem rozumiałem, że ona to była. Ale

---

<sup>105</sup>*spiec raka* (daw.) — zaczerwienić się. [przypis edytorski]

ona dokonywała się oto gdzieś do cna w ogromie, wysoko nade mną, dokąd ja nie sięgałem.

A przyrzeczenie to spełnia się wciąż jeszcze. W jakimś momencie ta sama książka zamieszła się wśród moich książek, wśród tych paru książek, z którymi się nie rozstaję. Teraz i mnie otwiera się ona w tych miejscach, które właśnie mam na myśli — a kiedy je czytam, to nie rozstrzygnięte pozostaje pytanie, czy myślę o Bettinie, czy o Abelone. Nie, Bettina stała się we mnie bardziej rzeczywistą; Abelone, którą ja znałem, była jakby przygotowaniem do niej — i oto teraz zajaśniała mi w Bettinie niby we własnej, naturalnej istocie. Bo dziwna ta Bettina wszystkimi swymi listami stworzyła przestrzeń, najprzestrzenniejszą formę. Od samego początku tak się we wszystkim panoszyła, jak gdyby po swojej śmierci. Wszędy bardzo daleko zapuszczała się w byt, jemu przynależna, a co jej się działo, to było wiecznie w naturze; tam poznawała siebie i prawie z bólem wyzwalała się stamtąd; z trudem odgadywała się powrot-

nie, jak gdyby z odwiecznych podań, zaklinała siebie jak ducha i siebie przetrzymywała.

Co dopiero byłaś jeszcze, Bettino; ja cię pojmuję. Czy ziemia nie jest ciepła jeszcze od ciebie, a ptaszki nie zostawiają miejsca twemu głosowi? Rosa jest inna, lecz gwiazdy są jeszcze twoich nocy gwiazdami. Albo czy świat w ogóle nie jest z ciebie? Bo ileż to razy podpalałaś go swoją miłością i widziałaś, jak płonął, jak się spalał — i potajemnie zastępowałaś go innym, gdy wszyscy spali! Ty czułaś się tak zupełnie w harmonii z Bogiem, kiedy co rano żądałaś nowej ziemi od Niego, aby doczekali się kolei wszyscy, których On zrobił. Ochronianie i łatanie świata wydało ci się czymś mizernym, ty go zużywałaś i trzymałaś ręce wyciągnięte po wciąż jeszcze więcej świata. Bo twoja miłość podolać mogła wszystkiemu.

Jak to być może, iż wszyscy po dziś dzień jeszcze o twej miłości nie opowiadają? Cóż to się odtąd takiego zdarzyło, co by bardziej było godne pamięci? Co ich zaprzęta? Ty sama znałaś wartość swej miłości, tyś ją głośno podpo-

wiadała największemu swojemu poecie, iżby ją uczłowieczył, albowiem była jeszcze żywiołem. On ją wszakże ludziom wyperswadował, kiedy pisywał do ciebie. Wszyscy czytali te odpowiedzi i bardziej im wierzą, ponieważ poeta jest dla nich wyraźniejszy niż natura. Ale może kiedyś okaże się, że tu był kres jego wielkości. Jemu tę miłość przeznaczono, a on jej nie sprostał. Cóż to znaczy, że nie mógł się odwzajemnić? Taka miłość nie wymaga wzajemności, taka miłość ma wołanie i odpowiedź w sobie; wysłuchuje sama siebie. Ale ukorzyć był się winien przed nią w całej swej świętej paradzie i pisać, co ona dyktuje obojgiem rąk, jak Jan święty na Patmos, na klęczkach! Nie było wyboru w obliczu tego głosu, co „spełniał aniołów urząd”, który przyszedł owinąć go zasłoną i pociągnąć w wieczność. Tu był rydwan jego płomienistej jazdy w niebo. Tu dla jego śmierci zgotowany był ciemny mit — a on go pozostawił pustym.



Przeznaczenie lubi wynajdywać wzory i figury. Ciężar przeznaczenia polega na skomplikowaniu. Życie samo jednakże ciężkie jest dla<sup>106</sup> swej prostoty. Ona ma tylko parę rzeczy, o wielkości nie przystosowanej do nas. Święty, odtrącając przeznaczenie, wybiera te rzeczy, które są naprzeciw Boga. Że jednak kobieta, wedle swej natury, ten sam wybór czynić musi w stosunku do mężczyzny, to ściągą fata wszelkich ustosunkowań miłosnych: zdecydowana i bez przeznaczeń, jak wieczna stoi obok niego, który się przemienia. Miłująca zawsze przeraża ukochanego, bo życie większe jest niż przeznaczenie. Jej oddanie chce być niezmiernie: to jest jej szczęściem. Bezimiennym cierpieniem jej miłości wszakże zawsze było to, że się żąda od niej ograniczeń tego oddania.

Nigdy żadną inną skargą nie skarżyły się kobiety; pierwsze dwa listy Heloizy zawierają tę skargę, a w pięćset lat później ta sama skarga podnosi się z listów Portugalki Marianny Alcoforado; rozpoznać ją można jak głos ptaka.

---

<sup>106</sup>dla (daw.) — z powodu. [przypis edytorski]

I nagle poprzez jasną przestrzeń tego poznania idzie najbardziej odległa postać Safo, której wieki nie znalazły, ponieważ szukały jej w przeznaczeniu.

Nie śmiałem nigdy kupić od niego gazety. Nie jestem pewien, czy naprawdę zawsze ma przy sobie kilka egzemplarzy, kiedy na zewnątrz Ogrodu Luksemburskiego powoli sunie tam i na powrót przez cały wieczór.

Plecami zwraca się do karty, a ręką muska krawędź kamienną, na której wspierają się sztaby. Robi się tak płaski, że codziennie przechodzi wielu, którzy go nigdy nie widzieli. Wprawdzie ma w sobie jeszcze jakąś resztkę głosu i upomina. Ale to nie inaczej jest, jak szmer jakiś w lampie albo w piecu, albo kiedy w dziwnych odstępach krople kapią w grocie.

A świat tak jest urządzony, że istnieją ludzie, którzy przez całe życie przechodzą tędy w tej przerwie, kiedy on — bardziej bezszmer-ny od wszystkiego, co się porusza — dalej sunie jak wskazówka, jak wskazówki cień, jak czas.

Potem słyszałem, jak coś w nim mówiło: „La Presse”, i zaraz znowu, i trzeci raz w prędkich odstępach. A ludzie obok mnie rozglądali się i szukali głosu. Tylko ja jeden udawałem większy pośpiech, jak gdyby nic mnie nie uderzyło, jak gdybym wewnątrz był niezwykle zajęty.

Bo też byłem naprawdę. Byłem zajęty wyobrażeniem go sobie, podjąłem pracę wyimaginowania go, a z wysiłku pot wystąpił mi na czoło. Musiałem go bowiem zrobić tak, jak się robi umarłego, na którego nie ma już żadnych dowodów, żadnych składników; którego najzupełniej wewnątrz dziać trzeba. Wiem teraz, że pomogło mi to nieco, gdy pomyślałem o tych licznych zdjętych Chrystusach z żyłkowej kości słoniowej, leżących u wszystkich antykwariuszy. Jakaś Pieta pojawiła się w myśli i znikła — wszystko to prawdopodobnie po to tylko, aby wywołać pewne nachylenie, w jakim trzymała się jego długa twarz, i beznadziejną szczecinę brody w cieniu policzków, i oną najostateczniej bolesną ślepotę zamkniętego wy-

razu, trzymanego skośnie wzwyż. Lecz było tam prócz tego tyle rzeczy należących do niego. Bo to pojąłem już wówczas, że nic na nim nie było pobocznego: ani sposób, w jaki surdut<sup>107</sup> jego czy płaszcz, odstając w tyle, ukazywał wszędzie kołnierzyk, w wielkim łuku stojący naokoło wyciągniętej, wklęsłej szyi, nie dotykając jej; ani ten zielonawo-czarny krawat, obwiązany szeroko dokoła tej całości; ani tym mniej kapelusz stary, wysoko sklepiony, sztywny kapelusz filcowy, który on nosił tak, jak wszyscy ślepi noszą kapelusze: bez związku z liniami twarzy, bez możliwości stworzenia z tego, co przybywa, i z siebie — nowej zewnętrznej jedności; nie inaczej go noszą, jak jakikolwiek umówiony obcy przedmiot.

W tchórzostwie niepatrzenia nań zaszedłem tak daleko, że obraz tego człowieka ostatecznie, często nawet bez powodu, ściągał się we mnie silnie i boleśnie w tak twardą nędzę, że w tym ucisku zdecydowałem się wzrastającą

---

<sup>107</sup>*surdut* — rodzaj ciemnej, dwurzędowej marynarki, popularnej na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

biegłość własnej imaginacji zahukać i zniweczyć za pomocą tego zewnętrznego faktu. Było to pod wieczór. Postanowiłem natychmiast przejść uważnie obok niego.

Otóż trzeba wiedzieć: miało się ku wiosnie. Wietrzyk dzienny ułożył się, uliczki były długie i zaspokojone; u ich wylotów lśniły domy, nowe, jakby świeże przełamania białego metalu. Lecz był to metal, który zadziwiał swą lekkością. W szerokich, rozciągnionych ulicach liczni ludzie szli poprzez siebie, prawie nie bojąc się powozów, które były rzadkie. Musiała to być niedziela. Nasady wież na kościele Saint-Sulpice ukazały się pogodnie i niespodzianie wysoko w bezwietrznej przestrzeni, a poprzez wąskie, prawie rzymskie uliczki mimowiednie patrzyło się w świat, w porę roku. W ogrodzie i przed ogrodem taka była ruchliwość cizby, że nie zaraz go ujrzałem. Albo czy zrazu nie poznałem go na wskroś tłumem?

Wiedziałem natychmiast, że wyobrażenie moje było bez wartości. To oddanie jego nędzy, nie ograniczone żadną ostrożnością ani uda-

waniem, przerastało moje środki. Nie pojąłem nic: ani kąta nachylenia w jego postawie, ani grozy, jaką nieustannie zdawała się go wypełniać wewnętrzna strona jego powiek. Nigdy o jego ustach nie myślałem, wciągniętych jak otwór zlewu. Może i miał wspomnienia. Ale teraz nigdy już nic do jego duszy nie docierało, poza bezpostaciowym poczuciem kamiennej za nim krawędzi, na której zużywała się jego ręka.

Przystanąłem — i podczas kiedym to wszystko widział prawie równocześnie, czułem, że miał kapelusz inny i krawat bez wątpienia niedzielny; krawat o skośnym deseniu z żółtych i liliowych kwadracików, a co do kapelusza: był to nowy, tani kapelusz słomkowy z zieloną wstążką. Nie chodzi naturalnie wcale o te barwy i jest to drobiazgowość, że je zapamiętałem. Chcę tylko powiedzieć, że one były na nim jak najmniejszy puszek na gardziołku ptaka. On sam nie miał nic z tego, a komu pośród wszystkich (rozejrzałem się) wolno było mniemać, iż dla *niego* był ten strój paradny?

Mój Boże — napadło mnie gwałtownie — a więc taki Ty *jesteś!* Są dowody Twego istnienia! Jam je zapomniał wszystkie i nigdy nie żądałem, bo jakież niezmiernie zobowiązanie tkwiłoby w pewności Ciebie! — A jednak, teraz się objawia przede mną... To jest Twój smak, tu sobie upodobałeś. Obyśmy nauczyli się: wobec wszystkiego wytrzymać, a nie sądzić. Które są rzeczy ciężkie? Które łaskawe? Ty jeden wiesz.

Gdy znowu zima przyjdzie i będę musiał mieć nowy płaszcz — daj mi, abym go tak nosił, póki nowy będzie.

To nie znaczy, że się od nich chcę odróżniać, kiedy chodzę w lepszych, od samego początku *moich* ubraniach i dbam o to, aby mieszkać gdziekolwiek. Ja nie zaszedłem tak daleko. Ja nie mam serca do ich życia. Gdyby mi ramię uszło, myślę, że ukryłbym je. A ona (nie wiem, czym zresztą i była), ona zjawiała się dzień w dzień przed tarasami kawiarnianymi, a chociaż bardzo jej było trudno zdjąć płaszcz

i wygrzebać się z niewyraźnych szmat i łachmanów — nie żałowała trudu i zdejmowała, i ściągała tak długo, że ledwo można się było doczekać. A potem stała przed nami, skromna, z uschniętym swoim, okaleczonym kawałkiem — i widziało się, że to była osobliwość.

Nie, to nie znaczy, że się od nich chcę odróżniać; ale wynosiłbym się nad nich, gdybym chciał im być równy. Równy nie jestem. Nie miałbym ani siły ich, ani ich miary. Pozywiam się — i tak jestem od posiłku do posiłku, najzupełniej beztajemniczy, oni wszakże utrzymują się prawie jak wieczni. Stoją na swoich powszednich narożnikach, także w listopadzie, i nie krzyczą od zimy. Mgła przychodzi i czyni ich niewyraźnymi i niepewnymi: oni jednak są. Byłem w podróży, byłem chory, wiele mi przemięło: oni jednak nie umarli.

(Ja przecież nie wiem nawet, jak to być może, iż dzieci szkolne wstają w komórkach pełnych szaro cuchnącego zimna; kto je umacnia, te zziajane szkieleciki, że wybiegają na dwór, w dorosłe miasto, w mętny schyłek nocy, w wiecz-



ny dzień szkolny, wciąż jeszcze małe, ciągle pełne przecucia, ciągle zapóźnione. Nie mam wyobrażenia o tym mnóstwie pomocy, jaką się ustawicznie zużywa.<sup>108</sup>)

To miasto pełne jest ludzi, którzy powoli osuwają się ku tamtym. Każdy prawie broni się zrazu; ale są potem te wyblakłe, starzejące dziewczyny, co ustawicznie rezygnują bez oporu i już nie bronią się wcale przed należeniem do tych poniechanych, silne, w najgłębszym wnętrzu nie zużyte, które nigdy nie były kochane.

Może Ty mniemasz, mój Boże, iż mam wszystko zostawić i je kochać. Bo czemu tak mi trudno nie iść za nimi, skoro mnie wyminęły? Dlaczego wynajduję nagle najśłodsze, najbardziej mocne słowa, a mój głos łagodnie stoi we mnie między krtanią a sercem? Dlaczego wyobrażam sobie, jak niezmiernie ostrożnie przyłożyłbym je do mego oddechu, te kukły, którymi życie igrało, każdej wiosny ramiona im roztwiera-

---

<sup>108</sup>*Ja przecież nie wiem nawet, jak to być może itd.* — w rękopisie fragment został zapisany na marginesie. [przypis edytorski]

jąc do niczego i wciąż niczego — aż te ramiona rozluźniły się w barkach. Nigdy nie spadały z bardzo wysokich nadziei, więc nie zbiły się, ale otłuczone są i dla życia już za liche. Tylko zbłąkane koty przychodzą do izdebki nad wieczorem i pazurami drapią je chyłkiem, i śpią na nich. Czasem za którąś z nich idę przez dwie uliczki. One suną wzdłuż domów, co chwila zjawiają się ludzie i zasłaniają je, a one za nimi suną dalej jak nic.

A jednak wiem, gdyby ktoś teraz spróbował je pokochać, stałyby mu się ciężkie, jak ludzie, którzy za daleko zaszli i przestają iść. Myślę, że tylko Jezus zniósłby je, mający jeszcze w całym ciele zmartwychwstanie; lecz Jemu wcale na nich nie zależy. Tylko miłujące uwodzą Go, nie te, co czekają z maleńkim talentem kochanki, niby z zimną lampą.

Wiem: jeżeli jestem przeznaczony do rzeczy ostatecznych, na nic mi się nie zda, że się maskuję w mym lepszym ubiorze. Czyż on pośrodku królowania nie zsunął się do ostatnich?

On, który zamiast wzbić się w górę, zniżył się aż na dno. Prawda, wierzyłem w swoim czasie w tych innych królów, chociaż ich parki niczego już nie dowodziły. Ale noc jest, zima, marzną, wierzę w niego. Albowiem wspaniałość jest tylko chwilą, a nigdy nie widzieliśmy nic dłuższego nad nędzę. Król wszelako ma trwać.

Czyż ten król nie jest jedynym, który się utrzymał pod swym obłudem, jak woskowe kwiaty pod kloszem szklanym? Dla innych modlono się po kościołach o długie życie, od niego natomiast żądał kanclerz Jean Charlier Gerson, aby wieczny był, a to było wówczas, kiedy był już najmizerniejszy, nędzny i nieledwie ubogi mimo swej korony.

Było to wówczas, kiedy od czasu do czasu tajemnie, z poczernionymi twarzami, napadali go ludzie w jego łożu, aby mu zedrzeć wgniłą we wrzody koszulę, którą już dawno miał za siebie samego. Ściemniano komnatę, a oni spod sztywnych ramion wydzierali mu zbutwiałe strzępy, drąc jak mogli. Potem jeden po-

świecił — i wtedy dopiero odkryli na jego pier-  
si rozropiałą ranę, w której ugrzązł żelazny amu-  
let, ponieważ go co noc przyciskał całą siłą swo-  
jej żarliwości. Stał teraz amulet głęboko w nim,  
straszliwie kosztowny, w perlistej oprawie z ro-  
py, niby cudotwórczy szczątek w niecce reli-  
kwiarza. Twardych wybrano pomocników, ale  
nie byli dość odporni na wstręt, kiedy robac-  
two, spłoszone, ku nim wystawało z flandryj-  
skiego barchanu<sup>109</sup>, a opadając z fałd, wpełzy-  
wało im kędyś w rękawy.

Gorzej z nim było bez wątpienia od czasów  
tej dziewczyny, zwanej *parva regina*<sup>110</sup>; wszak  
ona była jeszcze gotowa leżeć przy nim z całą  
swoją jaśnią i młodością. Potem umarła. I od-  
tąd nikt już nie ważył się przydać nałożnicy te-  
mu ścierwu. Ona nie przekazała nikomu owych  
słów i pieśczot, jakimi króla można było ugła-  
skać. Tak nikt już nie przedarł się przez te-  
go ducha rozdriczenie; nikt nie pomagał mu  
wyjść z szczelin jego duszy; nikt tego nie poj-

---

<sup>109</sup>*barchan* — rodzaj grubej tkaniny bawełnianej. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>*parva regina* (łac.) — mała królowa. [przypis edytorski]

mował, kiedy on sam nagle wychodził z okrągłym spojrzeniem zwierzęcia idącego na pastwisko. Kiedy potem poznawał zaaferowaną twarz Juvenala, przypominał sobie państwo takie, jakie było na końcu. I chciał doganiać, czego zaniedbał.

Była to jednak wina wydarzeń w owych czasach, że nie można ich było wyłożyć w sposób oględny. Gdzie coś się działo, tam działo się całym ciężarem i było jak z jednej bryły, kiedy się je mówiło. Bo i cóż można było ująć z tego, że brat jego był zamordowany, że wczoraj Walentyna Visconti, przezeń zawsze lubą siostrą nazywana, klęczała przed nim, wszystką czerń wdowią odgarniając sprzed skarg i oskarżeń zniekształconej twarzy? A dzisiaj stał twarzą i wymowny obrońca i dowodził praw księżęcego mordercy póty, aż zbrodnia prześwietliła się i jakby jasno miała wstąpić w niebo. A sprawiedliwym być znaczyło naginać prawo dla wszystkich. Walentyna Orleańska bowiem z frasunku<sup>111</sup> zmarła, acz zemstę przyrzeczo-

---

<sup>111</sup>frasunek (daw.) — zmartwienie. [przypis edytorski]

no jej. A cóż to pomogło księciu burgundzkiemu przebaczać i przebaczać; na niego przyszedł czarny skwar rozpaczy tak, że już od tygodni głęboko mieszkał pod namiotem w puszczy pod Argilly, twierdząc, iż nocą musi słyszeć krzyk jeleni na ulżenie duszy.

Jeżeli się potem przemyśliwało to wszystko, wciąż od nowa, aż do końca, w całej tej krótkości, żądał lud ujżenia jednego — i widział jednego: bezradnego. Wszelako lud radował się tym widokiem; zrozumiał, że to był król: ten cichy, ten cierpliwy, który był po to jedno, aby dopuścić, iżby poprzez niego Bóg działał w swym późnym zniecierpliwieniu. W tych uświadomionych momentach na balkonie swego Hôtel Saint-Pol przeczuwał król może swój postęp skryty; ów dzień pod Roosbecke przyszedł mu na myśl, kiedy go stryj de Berry za rękę wziął, aby go zaprowadzić przed pierwsze gotowe zwycięstwo. Zmierzył wówczas okiem, w dziwnie długo jasny dzień listopadowy, nieprzejrzane masy Gandawian, zadławione własnym natłokiem, kiedy je zszarżowano ze wszech

stron. Spowici w siebie, wkręceni jak zwoje olbrzymiego mózgu, leżeli kupami, w które sami się powiązali, aby być blisko. Dech zapierało człowiekowi, gdy widział tu i tam ich uduszone twarze; trudno było ujść wyobrażeniu, że powietrze — wyparte zostało daleko ponad te od ścisku jeszcze stojące trupy, wyparte nagłym wyjściem tylu zrozpaczonych dusz.

To mu w głowę wbito, jako początek jego sławy. I on to zapamiętał. Ale jeżeli tamto wówczas było triumfem śmierci, to teraz to, że stał tu, na swoich słabych nogach, prosty na wszystkich tych oczach, to było misterium miłości. Na tamtych innych doświadczył, że to pole bitwy można było pojąć, mimo iż było tak niesłychane. To jednak tutaj pojęte być nie mogło; przedziwne było tak samo, jak ongi ów jeleni ze złotą obrozą w lesie pod Senlis. Tylko że teraz on sam był zjawą, a inni zatopieni byli w patrzeniu. I nie wątpił, że dech stracili i to samo mieli dalekie oczekiwanie, które jego kiedyś opadło w ów rozmłodzieńczony łowów dzień, kiedy ta cicha twarz, wielkooka, wystą-

piła z krzewiny. Tajemnica widzialności rozlała się po jego subtelnej postaci. Nie drgnął w lęku, że przeminie, cienki uśmiech na szerokiej prostej twarzy przeszedł w naturalne trwanie, jak z kamiennych świętych, i nie trudził go. Tak podawał się — i była to jedna z onych chwil, które są wiecznością widzianą w skrócie. Tłum ledwo to zdołał znieść. Umocniony, niewyczerpane wzmożonym pocieszeniem nakarmiony, przełamał ciszę okrzykiem radości. Lecz w górze na balkonie był już tylko Juvenal de Ursins i zawołał w najbliższe uciszenie, że król pojawi się od ulicy Saint-Denis, jadący do Bractwa Pasyjnego oglądać misteria<sup>112</sup>.

W takich dniach król pełen był łagodnej świadomości. Gdyby jakiś malarz w owych dniach pomysłu szukał dla wyobrażenia bytu rajskiego, nie znalazłby wzoru pełniejszego nad króla ukojoną postać, kiedy w jednym z wysokich okien Luwru stała pod ramion opadem.

---

<sup>112</sup>*mysterium* — tu: odgrywane w kościele przedstawienie teatralne o tematyce religijnej. [przypis edytorski]



Wertował książeczkę Krystyna de Pisan, nazwaną *Drogą długiej nauki* i jemu poświęconą. Nie czytał uczonych mów bojowych tego alegorycznego parlamentu, który postanowił wynaleźć księcia, który by godzien był panować światu. Książeczka otwierała się przed nim zawsze w najprostszych miejscach: gdzie o tym sercu była mowa, co przez trzynaście lat, niby retorta nad ogniem bólu, na to tylko służyło, by destylować dla oczu wodę gorzycy. Pojmował, że konsolacja prawdziwa poczynała się wtenczas dopiero, gdy szczęście dostatecznie było minione i na zawsze przeszło. Nic tak mu nie było bliskie, jak to pocieszenie. I podczas gdy jego wzrok obejmował pozornie most po tamtej stronie — poprzez to serce, które silna Cumaea pochwyciła na wielkich dróg koleje, lubił widzieć świat, ówczesny świat: zuchwałe morza, obcowieżowe miasta, w zamknięciu trzymane naporem szerokich dali; skupionych gór samotność ekstatyczną i te w lękliwych wątpieniach przebadane

nieba, co zamykały się dopiero jak czaszka nad mózgiem niemowlęcia.

Ale gdy wchodził ktoś do komnaty, przerażał się — i duch jego wolno zachodził mgłą. Pozwalał, by go sprzed okna odprowadzano i zajmowano czymkolwiek. Nauczyli go zwyczaju ślęczenia godzinami nad szeregiem rycin i on nie oponował, jeno korciło go, że przewracając karty, nigdy nie można było paru obrazków mieć przed oczyma i że wszystkie one tkwiły mocno w foliałach<sup>113</sup>, tak iż nie sposób było przesuwać jeden pod drugim.

Raz przypomniał sobie ktoś talię kart zupełnie zapomnianą — i król do łask przyjął tego, który mu ją przyniósł, tak mu do serca przypadły te tekturki, barwne i pojedynczo ruchliwe, i pełne kształtu. I podczas gdy gra w karty w modę weszła pośród dworzan, król siedział w bibliotece i grał sam. Dokładnie tak jak on otwierał oto dwóch królów obok siebie, tak Bóg onegdaj złożył razem jego z cesarzem Wacławem. Niekiedy umierała królowa, wte-

---

<sup>113</sup>*foliał* (daw.) — księga dużego formatu. [przypis edytorski]

dy kładł asa czerwienego na nią, to było jak kamień grobowy. Nie dziwił się, że w tej talii było kilku papieży; urządził Rzym po drugiej stronie stołu, a tu, pod jego prawicą, było Avignon<sup>114</sup>. Rzym był mu obojętny, nie wiedzieć czemu wyobrażał go sobie okrągłym i już nie upierał się przy tym. Ale Avignon znał. I ledwo to pomyślał, wspomnienie powtórzyło mu wysoki, hermetyczny pałac i wysilało się nadmiernie. Zamknął oczy i musiał odetchnąć głęboko. Bał się złych snów na najbliższą noc.

Na ogół jednakże było to zajęcie naprawdę kojące, a oni mieli rację, poddając mu je wciąż na nowo. Takie godziny utwierdzały go w przekonaniu, że jest królem, królem Karolem Szóstym. Nie znaczy to, że się wyolbrzymiał; bardzo daleka była mu myśl, że jest czymś więcej nad taki świstek, ale umacniała się w nim pewność, że i on był określoną kartą, złą może, wygrywaną w gniewie, taką, która zawsze przegrywa, ale zawsze tą samą, ale nigdy inną.

---

<sup>114</sup>*Avignon* — w latach 1378–1408 w Awinionie rezydowali antypapieże. [przypis edytorski]

A jednak, kiedy tak minął tydzień w jednostajnym samopotwierdzaniu, ciasno się mu czyniło w sobie. Skóra wyprężyła się mu na karku i wkoło czoła, jak gdyby nagle poczuł zbyt wyraźny swój kontur. Nikt nie wiedział, jakiej się wówczas pokusie poddawał, kiedy potem o misteria pytał i początku ich doczekać się nie mógł. A gdy wreszcie zaczęły się, mieszkał częściej na rue Saint-Denis niż w swoim Hôtel Saint-Pol.

Było to fatum tych zobrazowanych poematów, że bezustannie uzupełniały się i rozszerzały, i rosły do dziesiątek tysięcy wierszy tak, iż wreszcie czas w nich był czasem rzeczywistym, mniej więcej tak, jakby ktoś globus zrobił o rozmiarach kuli ziemskiej. Próżna wewnątrz estrada, pod którą było piekło, a nad którą, dobudowane przy kolumnie, pozbawione poręczy rusztowanie balkonu oznaczało poziom raju, ta estrada przyczyniała się tylko do zmniejszenia złudy. Albowiem stulecie to w istocie z nieba i piekła uczyniło rzeczy ziemskie: żyło z sił, obu, iżby przetrwać siebie.

Były to dni onego awiniońskiego chrześcijaństwa, które lat temu kilkadziesiąt zawarło się dokoła Jana Dwudziestego Drugiego, z taką masą mimowolnej pochrony, że na miejscu jego pontyfikatu, zaraz po nim, powstał ogrom tego pałacu, zamknięty i ciężki jak najostateczniejsze ciało ochronne dla bezdomnej duszy wszystkich. On sam natomiast, ten mały, lekki, duchowy starzec, mieszkał jeszcze w otwartej przestrzeni. Natychmiast po zjawieniu się, nie zwlekając, poczynął na wszystkie strony działać szybko i skąpo, a misy trucizną zaprawne stały na jego stole biesiadnym. Pierwszy puchar trzeba było zawsze wylać, bo ów kawałek rogu jednoroźca miał zły kolor, kiedy go z pucharu wyciągał podczaszy. Bezradny, nie wiedząc, gdzie by je schować, obnosił siedemdziesięcioletni ów starzec figurki woskowe, jakie z niego zrobiono, aby go w nich zniszczyć. I zadrasnął się nieraz o długie igły, którymi one były przekłute. Można je było stopić, ale tyle się już naprzerażał tymi tajemnymi symulakrami, że wbrew swojej silnej woli wytwarzał nie-

raz myśl, iż mógłby w ten sposób stać się sam sobie zabójczym i zaniknąć jak wosk na ogniu. Uszczuplone jego ciało tylko wyschło bardziej od zgrozy i utrwaliło się.

Ale teraz rzucono się na ciało jego państwa. Z Granady podjudzeni zostali Żydzi do wytępienia wszystkich chrześcijan — a tym razem kupili sobie straszniejszych wykonawców. Nikt nie wątpił, na skutek pierwszych już słuchów, że istnieje spisek trędowatych; widzieli nawet już niektórzy, jak rzucali w studnie wiązki straszliwej swej zgnilizny. Nie była to łatwo wierność, że podobną rzecz od razu uznano za możliwą. Przeciwnie, wiara stała się tak ciężka, że wysuwała się z ich drżących rąk i spadała aż na dno studzien. I znowu starzec gorliwy musiał truciznę odganiać od krwi. W czasie swych napadów zabobonności przepisał sobie i otoczeniu Anioł Pański przeciw demonom zmierzchu, i odtąd na całym wzburzonym świecie co wieczór dzwoniono tę kojącą modlitwę. Poza tym jednak wszystkie bulle<sup>115</sup> i listy

---

<sup>115</sup>*bull*a — urzędowy dokument papieski. [przypis edytorski]

wychodzące od niego bardziej były podobne do win korzennych niżli do kleiku jęczmiennego. Cesarstwo nie poddało się jego kuracji, ale on nie przestawał zasypywać go dowodami jego choroby; i już z najdalszego wschodu zwracano się do tego władczego lekarza.

Lecz nagle stało się coś nieprawdopodobnego. W dzień Wszystkich Świętych kazanie miał dłuższe, gorętsze niż zazwyczaj; w nagiej potrzebie, jakby chcąc sam ją ujrzeć znowu, ukazał swoją wiarę. Z osiemdziesięciopięcioletniego tabernaculum całą siłą wydzwignął ją powolnie i na ambonie wystawił, i wtedy wrzeszczyć nań poczęli. Cała Europa wrzeszczała: ta wiara była zła!

Zniknął wówczas papież. Przez wiele dni żadne działanie odeń nie wychodziło, w sypialni leżał na kolanach i badał tajemnicę działających, którzy szkodę ponoszą na duszy. Pojawił się wreszcie, wyczerpany ciężką rekolekcją, i odwoływał. Odwoływał raz po razie. Odwoływanie stało się starczą namiętnością jego du-

cha. Zdarzyć się mogło, iż w nocy zbudzić kazał kardynałów, aby z nimi o swojej skruszce mówić. A to, co utrzymywało jego siłę życiową ponad miarę, może to była jeno nadzieja upokorzenia się też jeszcze przed Napoleonem Orsini, który go nienawidził i który przyjść nie chciał.

Papież Jakub de Cahors odwołał. I można by mniemać, iż Bóg sam chciał wykazać jego błąd, ponieważ tak niedługo potem wyrośnięć kazał onemu synowi hrabiego de Ligny, co zdawał się tylko czekać na swą na ziemi pełnoletność, iżby w męskiej dojrzałości wstąpić w duchowe zmysłowości nieba. Żył wielu takich, którzy pamiętali tego przejasnego chłopca-kardynała — i jak u wstępu swojej młodości biskupem został i w niespełna osiemnastym roku życia umarł w ekstazie swej doskonałości. Spotykano chodzących nieboszczyków: powietrze bowiem u jego grobu, w którym szczere życie leżało wyzwolone, długo jeszcze działało na trupy. Ale czy nie tkwiło coś rozpaczliwego nawet w tej przeddojrzałej świętości? Czyż nie było to krzywdą dla wszystkich,



że czystą tkaninę tej duszy zaledwie umoczo-  
no tylko w dostatej, szkarłatnej kadzi czasu, by  
ją świetlisto ubarwić? Czy nie odczuto czegoś  
w rodzaju reakcji ciosu, kiedy ów młody ksią-  
żę odskoczył od ziemi w namiętne swe wnie-  
bowstąpienie? Dlaczego ci, którzy świecą, nie  
pozostali między tymi, którzy mozolnie świa-  
tło wloką? Czy nie ta właśnie ciemność sprawi-  
ła, iż Jan Dwudziesty Drugi twierdził, że *przed*  
Sądem Ostatecznym nie ma pełnego zbawienia  
nigdzie, nawet nie pośród zbawionych? I w sa-  
mej rzeczy: ile upartej zawziętości potrzeba by-  
ło, aby wyobrazić sobie, że kiedy tu wiła się  
tak gęsta gmatwanina, gdzieś już oblicza leżały  
w blasku Boga, wstecz o anioły oparte i ucie-  
szone nieprzebranym Jego widokiem.

I siedzę tu w zimną noc, i piszę, i wiem to  
wszystko. Wiem może dlatego, że spotkał te-  
go człowieka wówczas, kiedym był mały. Bar-  
dzo był wysoki, myślę nawet, że musiał zwracać  
uwagę swoim wzrostem.

Brzmi to nieprawdopodobnie, ale w jakiś sposób zdołałem wydostać się sam z domu wieczorem. Biegłem, skręciłem koło narożnika — i w tej samej chwili wpadłem na niego.

Nie rozumiem, jak to, co teraz się stało, mogło się rozegrać w jakichś pięciu sekundach. Choćby nie wiem jak zwanie opowiedzieć, trwa to znacznie dłużej.

Rozbiłem się o niego przy zderzeniu. Byłem mały, uważałem już za niebyle co fakt, że nie płakałem, a zresztą mimowolnie czekałem na słowa pociechy. Ponieważ nie kwapił<sup>116</sup> się, myślałem, że jest zaambarasowany; nie wpadł mu widocznie do głowy — przypuszczałem — odpowiedni żart, który mógł całą rzecz rozwiąć. Już niemało zabawiła mnie myśl, że mu w tym pomogę, ale na to trzeba było mu spojrzeć w twarz. Powiedziałem, że był wysoki. Otóż nie pochylił się nade mną, co byłoby przecież naturalne, skutkiem czego znajdował się na wysokości, na którą nie byłem przygotowany. Wciąż jeszcze przede mną nie było nic poza wonią

---

<sup>116</sup>*kwapić się* (daw.) — spieszyć się. [przypis edytorski]

i dziwną twardością jego ubrania, którą czułem. Nagle — jego twarz. Jaka była? Nie wiem, nie chcę wiedzieć. To była twarz wroga. A obok tej twarzy, tuż przy niej, na wysokości okropnych oczu, stała, jak druga głowa, jego pięść. Zanim czas miałem usunąć twarz w dół, biegłem już. Wyminąłem go z lewej strony i pędziłem prościuteńko w dół pustej, strasznej uliczki, uliczki obcego miasta, miasta, w którym nie przebacza się nic.

Wówczas przeżyłem, co teraz pojmuję: ten ciężki, masywny, zrozpaczony czas. Czas, w którym pocałunek dwóch, którzy się godzą, był tylko znakiem dla morderców stojących wkoło. Z jednego pucharu pili, na oczach wszystkich dosiadali jednego konia, a rozpowiadano, iż nocą spać będą w jednym łóżu; a przy wszystkich tych zetknięciach odraza ich wzajemna rosła tak natarczywa, że ilekroć jeden widział tętniące żyły drugiego, wstręt chorobliwy stawał w nim dęba, jakby na widok ropuchy. Czas, w którym brat brata napadał i więził o jego większy dział dziedzictwa. Wprawdzie

król wstawiał się za pokrzywdzonym i osiągał dlań własność i swobodę. Innymi dalekimi losami zajęty, brat starszy oddał mu spokój i w listach żałował krzywdy. Ale brat uwolniony po tym wszystkim już nie odnalazł uspokojenia. Stulecie ukazuje go w szacie pątniczej, jak od kościoła ciągnie do kościoła coraz to dziwniejsze wynajdując ślubowania. Amuletami obwieszony, mnichom w Saint-Denis podszeptuje swoje obawy, a w ich regestrach długo zapisana była woskowa świeca stufuntowa, którą za dość dobrą uznał, by ją ofiarować świętemu Ludwikowi. Do własnego swego życia nie doszedł: aż do śmierci czuł nad swoim sercem złość i zawiść brata w wykrzywionej konstelacji. A ów hrabia de Foix, Gaston Phoebus, co był w podziwie u wszystkich, czy nie zabił on otwarcie kuzyna swego Ernault, kapitana angielskiego króla w Lourdes? A czym był ten wyraźny mord wobec tego straszliwego trafu, że nie odłożył pilnika od paznokci, kiedy słynną z piękności ręką, z drgającym wyrzutem, musnął gołą szyję swego leżącego syna? Komna-

ta była ciemna, trzeba było świecić, aby zobaczyć krew, przybyłą z takich dali i oto na zawsze opuszczającą wyśmienity ród, gdy potajemnie uchodziła z nikłej rany wyczerpanego pacholęcia.

Kto umiał silnym być i od mordy się powstrzymać? Kto nie wiedział w one czasy, że ostateczność była nieunikniona? Tu i ówdzie kogoś, którego wzrok za dnia spotkał się z próbującym wzrokiem mordercy, nachodziło osobliwe przeczucie. Cofał się w siebie, zamykał się, pisał ostatnią wolę i wymagał na koniec noszów z plecionej wikliny, kuty celestyńskiej i popiołu pokutnego. Obcy minstrele<sup>117</sup> zjawiali się przed jego zamkiem i obdarowywał ich po królewsku za ich głos, zgodny z jego mglistymi przeczuciami. W podnoszeniu oczu u psów była wątpliwość, traciły pewność w swoich usługach. Z dewizy, która miała znaczenie przez całe życie, cicho wystąpił nowy, otwarty sens uboczny. Niejedno długie nawyknięcie wydało się człowiekowi przestarzałe, ale nic ja-

---

<sup>117</sup>*minstrel* — śrdw. wędrowny śpiewak i poeta. [przypis edytorski]

koby nie powstawało już na jego miejscu. Gdy zjawiały się pomysły, obchodzono się z nimi w wielkim stylu, nie wierząc w nie naprawdę; pewne natomiast wspomnienia sięgały po jakąś niespodziewaną ostateczność. Wieczorem, przy kominku, mniemano się im oddawać. Ale noc na dworze, której nie znało się już, nagle stawała się bardzo silna w słuchu. Ucho, doświadczone w tylu wolnych albo niebezpiecznych nocach, odróżniało poszczególne cząstki ciszy. A jednak było to inne tym razem. Nie noc pomiędzy wczoraj a dzisiaj: jedna noc. Noc. *Beau Sire Dieu*<sup>118</sup>, a potem: zmartwychwstanie. Do takich godzin ledwo sięgały przechwałki o tej czy owej kochance: kochanki wszystkie przeinaczone były w piosnkach dnia i służebnych wierszach trubadurów; stały się niepojęte pod długimi, powłóczystymi, paradnymi imionami. Wspomnienie ich co najwyżej w ciemności zjawić się mogło w pełnym, kobiecym wzniesieniu oczu nieprawego syna.

---

<sup>118</sup>*Beau Sire Dieu* (fr.) — dobry (dosł.: piękny) Pan Bóg. [przypis edytorski]

A potem, przed późną wieczerzą, to zamyślenie nad rękami w srebrnej miednicy. Własnymi rękami. Czy można było związek jakiś wnieść w to, co było ich? Jakies następstwo, dalszy ciąg jakiś chwytania i puszczenia? Nie. Wszyscy próbowali za i przeciw, jedno i drugie. Wszyscy wyrównywali się, akcji nie było żadnej.

Akcja była tylko u braci misjonarzy. Król, który widział, jak się zachowywali, sam wynalazł dla nich glejt<sup>119</sup>. Nazywał ich swoimi miłymi braćmi; nigdy tak nikt mu nie przypadł do serca. Pozwolił wyraźnie, aby w całym swym znaczeniu chodzili pośród śmiertelnych; król bowiem niczego bardziej nie pragnął nad jedno: aby zarazili wielu i porwali w moc swojej akcji, w której ład był. A on sam pragnął uczyć się od nich. Czyli<sup>120</sup> nie nosił na sobie, zupełnie jak oni, znaków i sukien o tym samym znaczeniu? Przyglądając im się, mógł myśleć, że tego można się nauczyć: przychodzenia, od-

---

<sup>119</sup>*glejt* — dosł.: wydany przez władze dokument, zapewniający bezpieczeństwo osobiste przy przejeździe przez dany teren. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>*czyli* — czy z partykułą pytajną -li. [przypis edytorski]

chodzenia, wypowiedania i odginania się, tak iż nie było wątpliwości. Niezmierzone nadzieje zasnuwały mu serce. W tej niespokojnie oświetlonej, osobliwie niepewnej sali szpitala Świętej Trójcy siedział codziennie na najprzedniejszym miejscu i wstawał wzburzony, i trzymał się w ryzach jak uczeń.

Inni płakali; on wszakże był w sobie pełen lśniących łez i tylko ścisnął zimne dłonie z całych sił, aby to znieść. Niekiedy w chwili ostatecznej, kiedy aktor, co już rolę skończył, usuwał się nagle z kręgu jego wielkiego wzroku, podnosił twarz, by zadrzeć; od jakże to dawna On już tam był: *Monseigneur* Święty Michał, tam wysoko, wysunięty na krawędź rusztowania, w lustrzanej, srebrnej zbroi...?

W chwilach takich prostował się. Rozglądał się wkoło, jak przed decyzją. Bardzo bliski był zrozumienia odpowiednika do tej tu akcji: tamtej, wielkiej, smętnej, świeckiej Pasji, w której on sam grał.



Lecz nagle był koniec. Wszyscy jęli<sup>121</sup> poruszać się bez sensu. Otwarte pochodnie sunęły ku niemu, a w górę, w sklepienie, ciskały się bezkształtne cienie. Ludzie, których nie znał, ciągnęli go. Chciał grać: ale z ust nie dobywało się nic, ruchy jego nie dawały żadnego gestu. Tak dziwnie tłoczyli się wkoło niego, myśl mu przyszła, że ma dźwigać krzyż. I chciał czekać, aż go przyniosą. Lecz oni byli mocniejsi i wypchnęli go powoli.

Na zewnątrz zmieniło się wiele. Nie wiem, jak. Ale wewnątrz i przed Tobą, Boże, wewnątrz przed Tobą, Widzu: czy nie bez akcji jesteśmy? Odkrywamy wprawdzie, że nie znamy roli, szukamy zwierciadła, chcielibyśmy szminkę zetrzeć i to obce zdjąć, i być rzeczywistymi. Ale gdzieś jeszcze przylega do nas jakiś kawałek przebrania, o którym zapominamy. Jakiś cień przesady zostaje w naszych brwiach, nie spostrzegamy, że kąciki ust mamy wykrzywione.

---

<sup>121</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

I tak się obnosimy, my, pośmiewisko, i my, połowa: ni będący, ni aktorzy.

Było to w teatrze w Orange. Nie bardzo patrząc przed siebie, tylko w świadomości szorstkiego łomu, tworzącego teraz jego fasadę, wszedłem przez małe oszklone drzwi dozorczy. Znalazłem się pośród leżących ciał kolumn, gdzie rosły alteje<sup>122</sup>, które mi wszakże tylko na chwilę przesłoniły otwartą muszlę pochyłej widowni, leżącą tak, podzieloną cieniami popołudnia, jak olbrzymi wklęsły zegar słoneczny. Pośpiesznie szedłem prosto na nią. Czułem, idąc pod górę między rzędami krzeseł, jak malałem w tym otoczeniu. W górze, nieco wyżej, stało źle rozstawionych paru przybyszów w beczynnej ciekawości. Ubrania ich były nieprzyjemnie wyraźne, ale ich skala nie miała najmniejszego znaczenia. Przez chwilę mierzyli mnie okiem, zdziwieni moją małością. To sprawiło, że obejrzałem się za siebie.

---

<sup>122</sup>*alteja* — malwa. [przypis edytorski]

O, byłem najzupełniej nie przygotowany. Grano. Bezmierny, nadludzki dramat był w toku, dramat tej potężnej ściany scenicznej, której pionowy rozkład występował trzykrotnie, grzmiący wielkością, niszczycielski niemal, i nagle miary pełen w nadmiarze.

Zapomniałem się w szczęsnym osłupieniu. To, co tam wyrastało wysoko z podobnym do twarzy układem swych cieni, z nagromadzoną ciemnią ust pośrodku, odgraniczone w górze wieńczącym gzymsem równych ozdobnych kędziorów — to była ta mocna, przemieniająca wszystko maska antyczna, za którą świat błyskawicznie skupiał się w oblicze.

Tu, w tym wielkim, wgiętym kręgu krzeseł panował czekający, pusty, ssący byt: wszystko, co się *działo*, było *tam*: bogi i przeznaczenie. I stamtąd (jeżeli się spojrzano wysoko) szedł lekko, poprzez oścień muru: wiekuisty wjazd Niebios.

Ta oto godzina, pojmuję teraz, na zawsze odgrodziła mnie od naszych teatrów. Co mnie do nich? Co mnie do takiej sceny, gdzie tę

ścianę (ikonostas<sup>123</sup> rosyjskich cerkwi) zniesiono, ponieważ nie ma się już dość siły, by poprzez jej twardość precyzyjnie akcję, lotną akcję, występującą w pełnych, ciężkich kroplach oliwy. I oto ochłapy spadają w okruchach przez dziurawe, grube sito scen, i piętrzą się kupami, a potem wymiata się je, gdy jest ich dość.

To jest ta sama niedogotowana rzeczywistość, która po ulicach leży i po domach, tylko że tam więcej jej się gromadzi, niż mieści się w jednym wieczorze.

(Bądźmyż otwarci: nie mamy teatru, tak samo, jak nie mamy Boga: na to potrzeba wspólności. Każdy ma swoje szczególne pomysły i obawy, a drugiemu tyle z nich pokazuje, na ile mu pozwala własna potrzeba i wygoda. Bezustannie rozcieńczamy własne rozumienie, aby go tylko starczyło — miast krzyczeć o tę ścianę wspólnej rozpacz, poza którą Niepojętność

---

<sup>123</sup>*ikonostas* — element wystroju cerkwi prawosławnych: przegroda oddzielająca ołtarz od świątyni, ozdobiona dekoracyjnymi drzwiami oraz kilkoma rzędami ikon. [przypis edytorski]

ma czas nagromadzić się w ostatecznym napięciu.<sup>124</sup>)

Gdybyśmy teatr mieli, czy stałabyś wówczas, ty, Tragiczna, zawsze tak wiotka, obnażona, tak bardzo tylko ty, tak bez pozorów formy, przed tymi, co na twym wystawionym bólu sycą uciechę swej ciekawości pośpiesznej? Tyś przewidziała, ty, nieopisanie Wzruszająca, realność własnej męki, w Weronie w onczas, kiedy, prawie dzieckiem jeszcze, teatralnie grając, same róże trzymałaś przed sobą, niby front maski, co miała ukryć cię wzmożona.

Prawda, dzieckiem aktorskim byłaś, a kiedy twoi grali, to chcieli być widziani; ale tyś wyrodziła się. Dla ciebie ów zawód miał się stać tym, czym dla Marianny Alcoforado, bez jej wiedzy, był jej stan mniszy: przebraniem gęstym i dość trwałym, by za nim być otwarcie nędzną, z tą samą usilnością, z jaką szczęsnymi są niewidzialni szczęśliwi.

---

<sup>124</sup>*Bądźmyż otwarci: nie mamy teatru itd.* — w rękopisie zapisane na marginesie. [przypis edytorski]

W miastach wszystkich, gdzie się zjawiałaś, opisywali twój gest; ale nie pojmowali, kiedy z dnia na dzień bardziej beznadziejna, wciąż na nowo utwór jakiś przed sobą unosiłaś, czyli<sup>125</sup> cię ukryje. Włosem swoim, rękoma, jakąkolwiek zwartą rzeczą przesłaniałaś miejsca przeświecające. Chuchałaś na te, które były przejrzyste, czyniłaś się małą, chowałaś się, jak się chowają dzieci, i potem miałaś ono krótkie uszczęśliwione zawołanie, a chyba anioł miałby prawo cię szukać. Ale potem, skoroś ostrożnie podnosiła oczy, nie było wątpliwości, że widzieli ciebie przez cały czas, wszyscy w tej brzydkiej, pusto sklepionej oczastej widowni: ciebie, ciebie, ciebie i nic innego.

I opadło cię wyciągnąć ku nim ramię w skrótach, z obronnym gestem palców od urocznego spojrzenia. Opadło cię wyrwać im twój twarz, którą pochłaniali. Opadło cię być samą tobą. Twoich współgrających odeszła odwaga; jak gdyby ich zamknięto razem z panterzą, czołgali się wzdłuż kulis i mówili, co

---

<sup>125</sup>czyli — czy z partykulą pytajną -li. [przypis edytorski]

wypadało, tylko po to, aby ciebie nie drażnić. Ty wszakże wyciągałaś ich na środek, stawiałaś ich i obchodziłaś się z nimi jak z rzeczywistymi. Płócienne drzwi, udane zasłony, przedmioty bez tylnej strony — wszystko to pchało cię do protestu. Czulaś, jak serce twoje niepowstrzymanie wznosiło się aż do bezmiernej rzeczywistości, i przestraszona próbowałaś raz jeszcze zdjąć z siebie spojrzenia, jak długie nitki babiego lata.

Ale oto już zerwali się w burzę oklasków zatrwożeni tym, co byłoby ostateczne: jakby w ostatniej chwili chcąc odwrócić od siebie coś, co by ich zmusiło do przemiany własnego życia.

Źle żyją i w niebezpieczeństwie ci, którzy są miłowani. Ach, gdybyż siebie przetrwali, a stali się miłującymi! Wkoło miłujących jest sama bezpieczeńność. Nikt ich już nie podejrzewa, a oni sami są niezdolni zdradzić się. W nich tajemnica zgoiła się, krzyczą ją z piersi całą, jak słowiki, ona części nie ma. Żalą się za jed-

nym; lecz cała natura wtóruje im: to jest żal za Wiecznym. Rzucają się za straconym, ale już po pierwszych krokach mijają go, a przed nimi już tylko jest Bóg. Legenda ich jest jak legenda Biblis, która Kaunosa ściga aż hen do Likii. Napór serca gnał ją poprzez kraje za jego śladami, aż wreszcie stanęła u kresu sił. Ale tak wielki był jej istoty rozruch, że padając, po drugiej stronie śmierci pojawiła się krynica, bieżąca, bieżącą krynica.

Cóż to innego stało się owej Portugalce; jakże się wewnątrz stała krynica? A cóż tobie, Heloizo? Cóż wam, miłujące, których skargi przyszły na nas: Gasparo Stampa<sup>126</sup>, contesso de Die i Klaro d'Anduze, Luizo Labé<sup>127</sup>, Marcelino Desbordes<sup>128</sup>, Elizo Mercoeur<sup>129</sup>? Lecz ty, biedna, zwiewna Aisse, ty już zawahałaś się

---

<sup>126</sup>*Stampa, Gaspara* (1523–1554) — poetka włoska. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>*Labé, Louise* (ok. 1520–1566) — francuska poetka renesansowa. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>*Desbordes-Valmore, Marceline* (1786–1859) — francuska poetka, aktorka i śpiewaczka operowa. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>*Mercoeur, Elise* (1809–1835) — poetka francuska. [przypis edytorski]



i uległaś. Zmęczona Julio Lespinasse<sup>130</sup>. Beznadziejna legendo parku szczęśliwego: Marie-Anne de Clermont.

Kiedyś, przed czasy, wiem to jeszcze dokładnie, znalazłem w domu ozdobne puzderko<sup>131</sup>, było wielkie na dwie dłonie, w kształcie wachlarza z wtłoczonym obrzeżem z kwiatków na ciemnozielonym safianie<sup>132</sup>. Otwarłem je: puste było. To mogę powiedzieć teraz po tak długim czasie. Ale wówczas, kiedym je otworzył, widziałem tylko, z czego ta pustość była: z aksamitu, z małego wzgóрка jasnego, już nieświeżego aksamitu; z wklęsłości klejnocianej, co jaśniejsza o jedną krztę rzewności rozpływała się w aksamicie. Przez chwilę można to było znieść. Ale przed tymi, którzy w tyle pozostają, miłowani — może tak jest zawsze.

Odwróćcie wstecz karty waszych pamiętników. Czy nie był tam zawsze koło wiosen ta-

---

<sup>130</sup>*Lespinasse, Jeanne Julie Éléonore de* (1732–1776) — aktorka francuska. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>*puzderko* — skrzynka zaopatrzona w szufladki. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>*safian* — barwiona kozia skóra. [przypis edytorski]

ki czas, kiedy wybuchający rok tyczył się was jak wyrzut? Ochota ku wesołości była w was, a jednak, kiedyście wychodziły w szeroką przestrzeń, tam, na dworze, powstawało w powietrzu zdziwione zastanowienie — i traciłyście pewność, idąc dalej — jak na okręcie. Ogród rozpoczynał. Wy jednakże (właśnie, właśnie), wy zimę wnosiliście i miniony rok; dla was w najlepszym razie był to dalszy ciąg. Podczas kiedy czekałyście na to, aby dusza wasza przyjęła udział, uczuwałyście nagle ciężar członków, a coś jak możliwość choroby wciskało się w otwarte wasze przeczucie. Spychałyście winę na zbyt lekką sukienkę; szalem otulając ramiona, biegłyście aż na koniec alei pod szeroką rotundę, potem stałyście, z bijącym sercem, zdecydowane zgodnie żyć z tym wszystkim. Ale ptak dźwięczał i był sam, i zapierał się was. Ach, czy trzeba wam było umarłymi być?

Może. Może nowe jest to, że my to wytrzymujemy: rok i miłość. Kwiaty i owoce dojrzale są, gdy padają; zwierzęta czują się i odnajdują ku sobie, i zadowolone są. A my, którzy-

śmy sobie Boga przedsięwzięli, my nie możemy wydażyć. Odwlekamy naszą naturę, nam czasu jeszcze potrzeba. Czym dla nas jest rok? Czym są wszyscy? Jeszcze zanim zaczęliśmy Boga, już się doń modlimy: daj nam przetrwać noc. A potem chorowanie. A potem miłość.

Że też Clemence de Bourges<sup>133</sup> musiała umrzeć w swoim wzniesieniu. Ona, która nie miała równych; ona, wśród instrumentów, na których grać umiała jak nikt, instrument najpiękniejszy, sam grany niezapomnianie w jej głosie najniklejszym dźwięku. Dziewczęcość jej była na wyżynie takiego zdecydowania, że inna niewiasta w wezbranym nurcie miłowania mogła temu sercu wschodzącemu przypisać oną książeczkę sonetów, gdzie każdy wiersz był nieuśmierzony. Nie bała się Luiza Labé przestraszyć tego dziecka długą męką miłości. Ukazała jej nocne urastanie tęsknoty; przyrzekła jej ból, jakby szerszą przestrzeń świata, i przeczuwała, że z doświadczonym swoim bólem pozosta-

---

<sup>133</sup>*Bourges, Clémence de* (ok. 1530–ok. 1560) — postać z lyońskiego środowiska literackiego. [przypis edytorski]

ła w tyle za tamtym, mrocznie oczekiwanym, którym piękna była ta młodzianka.

O wy, dziewczęta w mej ojczyźnie! Niechajby najpiękniejsza z was w letnie popołudnie w przyciemnionej bibliotece znalazła sobie oną książeczkę małą, w roku 1556 wydrukowaną przez Jana des Tournes. Niechby chłodzący, gładki tomik wzięła z sobą na dwór, do rozbrzęczonego sadu albo do krzewu floksu, kędy na dnie przesłodzonego zapachu leży osad prawie że słodczy. Niechby znalazła ją wcześniej. W dniach, kiedy oczy jej dbać o siebie zaczynają, podczas gdy młodsze od nich usta zdolne są jeszcze z jabłka odgryzać kęsy o wiele za duże i pełne być umieją.

A skoro potem przychodzi czas bardziej rozbujających przyjaźni, niechby, dziewczęta, tajemnicą waszą było na siebie Dika wołać wzajemnie i Anaktoria, Gyrinno i Atthis. Niechby ktoś, sąsiad może, człowiek starszy, co podróżował w młodości, a dawno uchodzi za dziwaka, niechby on zdradził wam te imiona. Niechby was

czasem zapraszał do siebie na słynne swoje brzo-  
skwinie albo dla Ridingerowskich sztychów<sup>134</sup>  
ekwitacyjnych<sup>135</sup> na górze w białym korytarzu,  
o których się tyle mówi, że właściwie powinno  
się je było widzieć.

Może namówicie go na opowiadanie. Mo-  
że jest pośród was ta, która zdoła go uprosić,  
aby powyciągał stare pamiętniki podróżnicze  
— kto wie? Ta sama, która pewnego dnia bę-  
dzie umiała wyciągnąć zeń wyznanie, że prze-  
chowały się poszczególne fragmenty wierszy Sa-  
fo, i która nie spocznie, aż dowie się czegoś,  
co prawie jest tajemnicą: iż odosobniony ów  
człowiek lubił ongi wolny swój czas zwracać  
ku przekładem tych fragmentów. On przyznać  
musi, że dawno już o tym nie myślał, a to, co  
istnieje (zapewnia), to nic nie warte. Ale i jed-  
nak rad<sup>136</sup> jest wobec tych niewinnie prostych  
przyjaciółek, skoro bardzo nalegają, aby powie-  
dział jedną zwrotkę. Odnajduje nawet grecki

---

<sup>134</sup>*sztych* — staloryt, technika graficzna posługująca się metalową płytą, zatrzy-  
mującą tusz w wyłobionych w niej rowkach. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>*ekwitacyjny* — tu: przedstawiający jazdę konną. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>*rad* (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

tekst w pamięci, recytuje go, ponieważ zdaniem jego przekład nie daje nic, i aby tej młodzieży pokazać piękny, prawdziwy łom masywnej kosztowności języka, co naginany był w tak silnych płomieniach.

Przy tym wszystkim zagrzewa się znów do swojej pracy. Nadchodzą dla niego piękne, nieledwie młodzieńcze wieczory, jesienne na przykład, mające przed sobą bardzo wiele cichej nocy.

Wówczas w pracowni jego długo jest światło. A on nie jest stale pochylony nad kartami, on często wstecz się opiera, oczy zamyka nad powtórnie przeczytaną strofą, a jej sens rozplywa się w jego krwi. Nigdy starożytności nie był tak pewien. Prawie uśmiechać chciałby się nad tymi pokoleniami, które tę starożytność oplakiwały, jak widowisko utracone, w którym chętnie byliby występowali.

Teraz pojmuje on w jednej chwili dynamiczne znaczenie onej wczesnej jedności świata, która była czymś jakby równoczesnym podjęciem na nowo wszelakiej ludzkiej pracy. Nie

bałamuci go ta okoliczność, że konsekwentna ta kultura ze swymi całokształtnymi niejakimi uzewnętrznieniami dla wielu późniejszych spojrzeń zdawała się tworzyć całość i coś w całości minionego. Wprawdzie dostosowała się tam istotnie życia niebiańska połowa do półkulistej misy istnienia, jak dwie pełne hemisfery<sup>137</sup> łączą się w jedną świętą, złotą kulę. Lecz zaledwie to się stało, zamknięte w niej duchy to całkowite urzeczywistnienie czuły już tylko jako przypowieść, jako symbol; masywna konstelacja straciła ciężar i uniosła się w przestrzeń, a w złotej jej okrągłości odzwierciedliła się kryjomie smutność tego, co jeszcze pokonalne nie było.

Kiedy to myśli ów samotnik w swoją noc, myśli to i pojmuje — zauważa pod oknem talerz z owocami. Mimowolnie chwytą jabłko i kładzie je przed sobą na stole. O, jak to moje życie otacza ten owoc — myśli. Dokoła wszystkiego gotowego urasta nieuczynione i wzmagą się.

---

<sup>137</sup>*hemisfera* — półkula. [przypis edytorski]

I oto, na tym nieuczynionym, wyrasta mu, prawie za prędko, ta mała, hen w nieskończoność rozpięta postać, którą (według świadectwa Galjenosa) wszyscy mieli na myśli, kiedy mówili: poetka. Bo jak za czynami Heraklesa żądnie wstawały: rozbiór i przebudowa świata — tak z spizarni bytu do czynów jej serca tłoczyły się, w krzyku, aby przeżywane były szczęścia i rozkosze, których starczyć musi na wszystkie czasy.

On nagle zna to śmiałe serce, gotowe działać całą miłość aż do kresu. Nie dziwi się, że je zapoznano. Że w tej, na wskroś *przyszłej* Miłującej, widziano tylko nadmiar, a nie nową miarę miłości i bólu serdecznego. Że napis na frontonie jej istnienia wykładano tak właśnie, jak wówczas nakazywało prawdopodobieństwo, że wreszcie przypisano jej śmierć tych, których kolejno podnieca Bóg, iżby wprost z siebie kochali w świat, bez wzajemności. Może nawet wśród przyjaciółek przez nią stworzonych były takie, które nie pojmowały tej jednej rzeczy: że na szczycie swego działania nie tęskniła za



kimś, kto jej uścisk pozostawił otwartym, ale za tym już Niemożliwym, co by dorósł do jej miłości.

Tu wstaje ow zamyślony i podchodzi do okna, wysoki pokój zbyt mu jest bliski, on chciałby gwiazdy widzieć, jeśli to możliwe. Nie łudzi się co do siebie samego. Wie, że to poruszenie przepelnia go dlatego, ponieważ wśród młodych dziewcząt z sąsiedztwa jest ta jedna, która go obchodzi. Życzenia ma (nie dla siebie, nie, lecz dla niej); za nią, w jakąś nocną godzinę, która przemija, rozumie on pretensję do miłości. Przyrzeka sobie, że nic jej o tym nie powie. Szczytem już wydaje się jemu, żeby mógł być sam i czujny, i w jej imię mógł myśleć, jak bardzo słuszność była po stronie tamtej miłującej — skoro wiedziała, że mówiąc o *połączeniu* nie można nic innego mieć na myśli, jak *pomnożenie samotności*, skoro doczesną dążność płci przełamała tej płci celem nieskończonym. Skoro w mrokach uścisków nie dokopywała się uciszenia, lecz tęsknoty. Skoro gardziła tym, aby wśród dwojga jedno było miłujące, a dru-

gie miłowane, a słabych kochających, których niosła sobie na łóżko, sobą rozżarzała na miłujących, którzy ją opuszczali. W takich wyżynnych pożegnaniach serce jej uczyniło się naturą. Ponad losem minionym ulubienicom swoim śpiewała pieśń oblubieńczą; wywyższała im gody; wyolbrzymiała im bliskiego małżonka, iżby się w sobie zebrały dla niego, jak dla jakiego boga, i przetrwały nawet i *jego* wspaniałość.

Raz jeszcze, Abelone, w ostatnich latach czułem cię i pojąłem, niespodziewanie, po długim o tobie niemyśleniu.

W Wenecji to było, jesienią, w jednym z onych salonów, gdzie obcy gromadzą się przelotnie dokoła pani domu, obcej jak i oni. Ludzie ci stoją tu i tam z filiżanką herbaty i są zachwycceni, ilekroć uświadomiony sąsiad szybko a chyłkiem obraca ich ku drzwiom, rzucając szeptem nazwisko brzmiące po wenecku. Przygotowani są na najskrajniejsze nazwiska, nic ich zaskoczyć nie może. Chociażby zresztą bowiem najoszczędniejsi byli w przeżywaniu, w tym mieście oddają się nonszalancko najbardziej prze-

sadnym możliwościom. W normalnym swoim bycie ustawicznie myślą niezwykłość z tym, co zabronione, skutkiem czego wyczekiwanie cudowności, na co sobie teraz pozwalają, wyłazi im na twarze w tępy, rozwiązłym wyrazie. Z tym, co zdarza im się w domu tylko chwilami, podczas koncertów, albo gdy są sam na sam z powieścią — tu w tych schlebających warunkach obnoszą się publicznie jako z legalnym stanem. Nie przygotowani zgoła, nie przeczuwający żadnego niebezpieczeństwa, zabójczymi prawie wynurzeniami muzyki pozwalają się podniecać, jakby cielesnymi niedyskrecjami; tak samo, nie opanowując absolutnie istnienia Wenecji, poddają się niemoicy gondol, która się oplaca. Stadła małżeńskie, nienowe już, które w całej podróży miały dla siebie tylko nienawistne repliki, zapadają w milkliwą zgodność. Na męża przychodzi miłe zmęczenie własnych ideałów, podczas gdy pani czuje się młodą i ociążałym tubylcom kiwa głową zachęcająco, z uśmiechem, jakby zęby miała z cukru rozpuszczającego się nieustannie. A je-

śli się przysłuchać, to wykazuje się, że wyjeżdżają jutro albo pojutrze, albo w końcu tygodnia.

I stałem tak między nimi, i rad byłem, że nie wyjeżdżam. Wkrótce zimno będzie. Mięka ta, opiatyczna Wenecja ich przesądów i potrzeb znika razem z tymi sennymi cudzoziemcami — i pewnego ranka zjawia się ta inna, rzeczywista, czujna, nieprzystępna a krucha aż do pęknięcia, wcale nie wymarzona: ta pośrodku nicości na zatopionych lasach zachciana, wymuszona i wreszcie tak na wskroś istniejąca Wenecja. Zahartowany, do najściślejszej niezbędności ograniczony kadłub, któremu czujny po nocach Arsenał krew swojej pracy w żyły gnał — i kadłub ten przenikający, ustawicznie rosnący duch, mocniejszy nad woń aromatycznych krain. Sugestywne państwo, sól i szkło swego ubóstwa wymieniające na skarby narodów. Piękna przeciwnego świata, która aż do swoich drobiazgów zdobniczych, pełna stoi uczajonych energii, co się rozgałęziały w coraz delikatniejszych nerwach — ta Wenecja.

Świadomość, że ja ją znałem, pośrodku wszystkich tych mylących się ludzi, opadła mnie z tak wielkim sprzeciwem, że podniosłem oczy, aby się udzielić w jakiś sposób. Czyż można było przypuścić, aby w tych salach nie było ani jednego człowieka, bezwiednie czekającego, aby mu wyjaśniono istotę tego otoczenia? Młodzieńca, który by pojął natychmiast, że tu nie odsłania się rozkosz, lecz przykład woli, jaki trudno by znaleźć w stopniu bardziej wymagającym i surowym?

Zacząłem przechadzać się, moja prawda niepokoiła mnie. Schwyciwszy mnie tu wśród ludzi tyłu, przyniosła zarazem chęć, aby ją wypowiedzieć, obronić, aby jej dowieść. Powstało we mnie groteskowe wyobrażenie, jak to za chwilę w ręce zacznę klaskać z nienawiści do tego rozgadanego przez wszystkich nieporozumienia.

W śmiesznym tym nastroju zauważyłem ją. Stała sama przed błyszczącym oknem i patrzyła na mnie; nie oczami właściwie, które były

poważne i zamyślane, ale wprost ustami, ironicznie naśladującymi najoczywiściej zły wyraz mojej twarzy. Poczulem natychmiast niecierpliwe napięcie moich rysów i przybrałem twarz spokojną, na co usta jej naturalne się zrobiły i wyniosły. Potem, po krótkim namyśle, uśmiechnęliśmy się do siebie jednocześnie.

Przypominała, jeśli o to chodzi, pewien portret dziewczęcy pięknej Benedykty Qualen, która pewną rolę odegrała w życiu Baggesena. Nie można było patrzeć na ciemny spokój jej oczu bez przeczuwania przejrzystej ciemni jej głosu. Zresztą uplot jej włosów i wycięcie jasnej sukni przy szyi tak były kopenhaskie, że zdecydowany byłem zagadnąć ją po duńsku.

Nie byłem jednakże jeszcze dość blisko, kiedy od drugiej strony podsunął się prąd ku niej. Sama nasza, gośćmi uszczęśliwiona hrabina, w ciepłym, zachwyconym roztargnieniu, rzuciła się na nią z mnóstwem pomocników, aby ją doraznie odprowadzić do śpiewu.

Pewien byłem, że dziewczyna wytłumaczy się zapewnieniem, iż nikt w towarzystwie nie

może zainteresować się śpiewem po duńsku. I uczyniła to zaraz po dojściu do głosu. Natłok wokoło świetlanej postaci zrobił się bardziej gorliwy. Ktoś wiedział, że ona śpiewa także po niemiecku.

— I po włosku! — uzupełnił roześmiany głos z przekonaniem złośliwym.

Nie znajdowałem wymówki, której mógłbym jej życzyć, ale nie wątpiłem, że oprze się.

Już oschła uraza rozlewała się po twarzach rozprzężonych długim uśmiechaniem się, już dobra hrabina, nie chcąc nic sobie zarzucić, współczująco i godnie cofnęła się w tył — gdy nagle, kiedy już wcale nie było potrzeba, ona uległa.

Czułem, jak pobladłem z rozczarowania. Spojrzenie moje napełniło się wyrzutem, ale odwróciłem się: nie warto było jej tego pokazywać.

A ona wyzwoliła się z tamtych i nagle była przy mnie. Suknia jej oświeślała mnie. Kwietna woń jej ciepła stała wokoło mnie.

— Ja chcę naprawdę śpiewać — powiedziała po duńsku wzdłuż mego policzka — nie

dlatego, że oni żądają, nie dla formy: dlatego, że teraz śpiewać muszę.

Z jej słów buchnęła ta sama złośliwa nietolerancja, z której ona co dopiero uwolniła mnie.

Poszedłem wolno za grupą, z którą się oddalała. Ale przy drzwiach wysokich stanąłem, aż się ludzie poprzesuważą i uładzą. Oparty o czarno lustrzane odrzwie, czekałem.

Ktoś spytał mnie, na co się zanosi, czy będzie śpiew. Udałem, że nie wiem. W czasie mego kłamania ona już śpiewała.

Nie mogłem jej widzieć. Stopniowo miejsce zrobiło się dokoła jednej z tych pieśni włoskich, przez obcych uważanych za nader typowe, ponieważ mają tak wyraźnie zgodny układ. Ona, która ją śpiewała, nie wierzyła w to. Uniosła ją w górę z trudem, brała ją o wiele za ciężko.

Z oklasków na przedzie można było poznać, kiedy był koniec. Smutny byłem i zawstydzony. Powstał ruch i postanowiłem, skoro by ktoś wychodził, przyłączyć się.



Lecz nagle w jednej chwili zrobiło się cicho. Zapanowała cisza, której przed sekundą jeszcze nikt nie byłby uznał za możliwą; trwała, napinała się — i teraz w niej podniósł się głos.

(Abelone, pomyślałem, Abelone.)

Tym razem silny był, pełny, a mimo to nie ciężki. Z jednej masy, bez rysy, bez szwu.

Była to nieznana niemiecka pieśń. Śpiewała ją dziwnie prosto, jak coś koniecznego.

Śpiewała:

Ty, której nie mówię, że w nocnej ci-  
szy  
płaczę do rana,  
której istota nade mną dyszy  
rozkołysana,  
ty, co nie mówisz mi, gdy dla mnie w noc  
czuwasz wsłuchana:  
gdybyśmy, tym cudem wspaniali,  
ty sama, ja sam,  
cud w sobie wytrzymali?

(Krótka pauza i z wahaniem):

Na miłujących patrz moc:  
gdy raz miłowanie wyznali,  
jak zaraz rośnie kłam.

Znowu ta cisza. Bóg wie, kto ją robił. Po-  
tem ludzie jęli się ruszać, trącać, przepraszać,  
kaszleć. Już chcieli przejść w powszechny za-  
mazujący gwar, gdy nagle wyrwał się głos, sta-  
nowczy, szeroki, zwarty:

Samotnym mnie czynisz. I ciebie jed-  
ną zamienię.

Przez chwilę jesteś to ty, a potem szum  
i cienie,

albo bez reszty woń, którą znam.

Ach, tamte wszystkie jam stracił w uści-  
sku,

ty jedna wciąż w nowym odradzasz się błę-  
sku:

*ciebiem nie zatrzymywał, przeto cię mam.*

Nikt tego nie oczekiwał. Wszyscy stali, jakby przytłoczeni tym głosem. A w końcu taka pewność w nim była, jak gdyby od wielu lat był wiedział, że w tym momencie będzie musiał przemówić.

Czasem dawniej pytałem sam siebie, dlaczego Abelone kaloryj swego wspaniałego uczucia nie zwróciła do Boga. Wiem, że tęskniła, aby miłości swojej odebrać wszelką tranzytywność — ale czyż prawda jej serca mogła wątpić w to, że Bóg jest tylko kierunkiem miłości, a nie miłości przedmiotem? Czy nie wiedziała, że z Jego strony nie należało się obawiać wzajemnej miłości? Czy nie znała ostrożnej skrytości tego Miłowanego, który jest przemożny, który spokojnie odwleka rozkosz, iżby nam, powolnym, pozwolić zdziałać całe nasze serce? Czy też chciała uniknąć Chrystusa? Czy bała się, że w pół drogi on ją wstrzyma, by

z niej uczynić miłowaną? Czy dlatego niechętnie myślała o Julii Reventlow<sup>138</sup>?

Wierzę w to prawie, kiedy pomyślę, jak to ułatwienie sobie Boga powalić mogło tak prostoduszną miłującą jak Mechtylda, tak porywającą jak Teresa z Avili, tak bolesną jak błogosławiona Róża z Limy — ustępliwe, lecz miłowane. Ach, on, który dla słabych jest pomocą, dla tych mocnych krzywdą jest; gdzie nic już nie oczekiwały jak tylko Drogę Nieskończoną — tam raz jeszcze, w nateżonym niebios przedsionku, przystępuje do nich ktoś Utworzony i narowi je schronieniem, i mąci męskością. W ostrych załamaniach soczewki swego serca raz jeszcze skupia ich serc promienie, które już biegły równolegle; anioły ufały już, że serca te w całości zachowają Bogu — a one płomieniem buchają w posusze swej tęsknoty.

(Być miłowanym znaczy spalać się. Miłować to: świecić niewyczerpanym olejem. Być

---

<sup>138</sup>*Reventlow, Julia von* (1762–1816) — arystokratka, prowadząca znany w jej czasach salon. [przypis edytorski]

miłowanym znaczy przemijać, miłować znaczy trwać<sup>139</sup>.)

A jednak być może, iż Abelone w późniejszych latach usiłowała sercem myśleć, aby niepostrzeżenie i bezpośrednio znaleźć stosunek do Boga. Mógłbym wyobrazić sobie, że istnieją jej listy, przypominające ona uważną wewnętrzną kontemplację księżny Amalii Golicynowej; ale jeśli te listy skierowane były do kogoś, komu ona bliską była od lat, jakże tamten cierpieć musiał nad jej przemianą. A ona sama: przypuszczam, że obawiała się tylko tego upiornego stania się inną, którego nie spostrzega się, ponieważ ustawicznie wszelkie na to dowody, jak rzeczy najbardziej obce, wypuszcza się z rąk.

Trudno będzie przekonać mnie, że historia Syna Marnotrawnego nie jest legendą tego, który nie chciał być miłowany.

Kiedy dzieckiem był, wszyscy w domu kochali go. Podrastał, nie zaznając nic innego,

---

<sup>139</sup> *Być miłowanym znaczy spalać się. Miłować to: świecić niewyczerpanym olejem. Być miłowanym znaczy przemijać, miłować znaczy trwać — w rękopisie zapisane na marginesie. [przypis edytorski]*

i przywykł do ich serc czułości, ponieważ dzieckiem był.

Ale jako pacholę<sup>140</sup> chciał nawyknienia swoje złożyć. Nie umiałby tego powiedzieć, ale gdy poza domem wałęsał się przez cały dzień i nawet już psów nie chciał brać ze sobą, to dlatego, że i one go kochały; bo i w ich spojrzeniach było śledzenie i czucie, oczekiwanie i troska; bo i wobec nich nie można było nic uczynić, nie ciesząc ani nie urażając. To, o co mu jednak wówczas chodziło, to była najwnętrzniejsza indyferencja<sup>141</sup> jego serca, która go czasem rano na polach ogarniała w takiej czystości, że biec zaczynał, nie chcąc czasu ni tchu mieć na to, aby czymś więcej być niż lekką chwilą, w której uświadamia się ranek.

Tajemnica jego życia, które jeszcze nie było nigdy, rozpościerała się przed nim. Bezwiednie opuszczał ścieżynę i dalej biegł na przelaj, wyciągając ramiona, jak gdyby w tej szerokości mógł opanować kilka kierunków równo-

---

<sup>140</sup>pacholę (daw.) — dziecko, chłopiec. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>indyferencja — obojętność. [przypis edytorski]

częściej. A potem rzucał się gdzie bądź na ziemię za żywopłotem i nikt nie dbał o niego.

Strugał sobie fujarkę, kamykiem ciskał w jakiegoś małego drapieżnika, pochylał się naprzód i chrząszcza zmuszał do powrotu: z takich rzeczy nie urastał żaden los, a nieba nad tym przeciągały jak nad naturą.

Wreszcie nadchodziło popołudnie z pomysłami bez liku; było się korsarzem na wyspie Tortudze, a niekoniecznie musiało się nim być; oblegało się Campêche, zdobywało Vera-Cruz, można było być całą armią albo wodzem na koniu, albo na morzu okrętem: zależnie od tego, jak się człowiek czuł. Jeśli natomiast miało się pomysł, aby uklęknąć, było się prędko Deodatem z Gozon i zabiło się smoka, i słyszało w rozpaleniu, że to bohaterstwo pychą było, bez posłuszeństwa. Bo nie oszczędzało się sobie niczego, co należało do rzeczy. A choć urojenia zjawiały się niezliczone, miało się jednak między nimi czas być ptakiem tylko, niczym więcej, a jakim, nie wiadomo. Tylko że potem trzeba było wracać.

Mój Boże, czego to teraz trzeba się było wyzbywać i ile zapominać! Bo zapomnieć naprawdę — tego było potrzeba; inaczej można się było zdradzić, gdyby nalegali. I szło się niezmiernie wahajaco, oglądając się za siebie — a wreszcie jednak wychylał się szczyt domu. Pierwsze górne okno brało cię na oko, mógł tam ktoś stać. Psy, w których oczekiwaniu zbierało się przez cały dzień, śmignęły przez krzaki — i spędziły cię na powrót w tego, którego miały na myśli.

A reszty dokonywał dom. Starczyło wejść w jego pełną woń, a już wszystko prawie było rozstrzygnięte. Drobnostki mogły się jeszcze zmienić; w całości byłeś już tym, za kogo cię tu uważali; tym, któremu z maleńkiej jego przeszłości i z własnych swych życzeń od dawna już spreparowali określone życie; wspólną istotą, stojącą w dzień i w noc pod sugestią ich miłości, pośrodku pomiędzy ich nadzieją a ich podejrzliwością, przed naganą ich lub pochwałą.



I nic to nie pomoże, jeśli się z niesłychaną ostrożnością wstępuje po schodach. Wszyscy będą w pokoju, a skoro tylko drzwi się otworzą, oni go ujrzą. On pozostaje w cieniu, chcąc przeczekać ich pytania. Ale potem dzieje się rzecz najgorsza. Biorą go za ręce, ciągną do stołu — i wszyscy bez wyjątku z ciekawością wyciągają się ku lampie. Dobrze im trzymać się w ciemności, a na niego jednego, razem ze światłem, pada cała hańba, że ma twarz.

Czy zostanie i będzie małpował kłamliwość ich przypadkowego życia, które oni mu przypisują, i upodobni się do nich wszystkich całą twarzą? Czy rozpołowi się między subtelną prawdziwością swojej woli a ociążalym oszustwem, które jemu samemu psuje tę prawdziwość? Czy poniecha dążeń, aby się stać tym, co by zaszkodzić mogło tym z jego rodziny, którzy już słabe mają serce?

Nie. Odejdzie. Na przykład wtedy, gdy oni wszyscy zajęci będą przygotowaniami do jego imienin, prezentami z źle odgadniętych przedmiotów, co znów mają wszystko wyrównać.

Odejdzie na zawsze. Znacznie później dopiero stanie się mu jasnym, jak bardzo wówczas postanawiał nie kochać nigdy, aby nikogo nie wprowadzić w ten okropny stan: *być kochanym*. Po latach przypomina to sobie — i jak inne postanowienia, tak i to było niemożliwe. Bo on miłował i miłował w swej samotności; zawsze z rozrzutnością całej swej natury i w niesłychanym lęku o wolność drugiego. Powoli nauczył się przedmiot miłości prześwieślać promieniami swego uczucia, a nie spalać go w nim. Rozpieścił go ów zachwyt, kiedy poprzez coraz to bardziej przejrzystą postać ukochanej poznawał dale, przez nią otwierane jego bezgranicznej woli posiadania.

Jak on potem nocami mógł płakać z tęsknoty, aby samemu tak być prześwieconym! Ale ukochana, która ulega, bynajmniej nie jest jeszcze miłującą. O, noce beznadziejne, kiedy rozfalowane swoje dary odbierał powrotnie w strzępach, ciężkich od znikomości. Jak on wtedy myślał o trubadurach, co niczego tak się nie bali, jak, że wysłuchani będą. Zrzekał się wszyst-

kich zdobytych i pomnożonych pieniędzy, aby nie zaznać jeszcze tego. On je obrażał swoją grubiańską zapłatą, z dnia na dzień w lęku, że spróbują zareagować na jego miłość. Nie miał już bowiem nadziei, że zazna takiej miłującej, która go przeniknie na wskroś.

Nawet w tych czasach, kiedy ubóstwo straszło go codziennie nowymi ciosami, kiedy głowę jego na faworyta upatrzyła sobie nędza i wytarła ją częstymi chwytami, kiedy na jego ciele wszędy pootwierały się wrzody, jak oczy na ostatnią trwogę przeciw czerni nawiedzenia, kiedy zgrozę czuł przed tym plugastwem, na którym opuszczono go, ponieważ jemu było równe — wtenczas nawet jeszcze, skoro się zastanawiał, największą okropnością było mu to, że mu na miłość odpowiadano miłością.

Czymże odtąd były wszystkie mroki wobec zwartego zasmucenia onych objęć, w których zatracało się wszystko! Czy nie budził się człowiek z uczuciem, że jest bez przyszłości? Czy nie włókł się bez sensu po świecie, bez prawa do jakiegokolwiek niebezpieczeństwa? Czy nie

musiał przyrzekać sto razy, że nie umrze? Może to była przekorność tego złego wspomnienia, które od nawrotu do nawrotu chciało zachować sobie jedno miejsce, pozwalające mu żyć pośród odpadków. Wreszcie odnaleziono go. I wówczas dopiero, dopiero w latach pasterskich uspokoiła się mnoga jego przeszłość.

Któż opíše, co jemu się wówczas działo? Jaki poeta ma moc, iżby długość jego ówczesnych dni pogodzić z życia szczupłością? Jaka sztuka dość jest wielka, by wywołać jego skromną, zakapturzoną postać — i całą tę nadprzestrzeń jego nocy olbrzymich?

Była to epoka, która się zaczęła od tego, że czuł się ogólnym i anonimowym, jak wahający się rekonwalescent. Nie kochał, chyba że kochał to, że jest. Niska miłość jego owiec nie miała się go; jak blask, co pada przez chmury, rozpraszała się wokół niego i łagodnie połyskiwała nad łąkami. Niewinnym śladem ich głodu kroczył w milczeniu przez pastwiska świata. Obcy widzieli go na szczycie Akropolis, a może był on długo jednym z pasterzy w prowincji

Baux i widział, jak czas skamieniały przetrwał to dostojne pokolenie, co wszystkimi zdobyczami siedmio- i trzykrotnymi nie zdołało zwyciężyć szesnastu promieni w gwieździe swego herbu. Albo czyż mam go pomyśleć w Orange, opartego o wiejską bramę triumfalną? Mamże go widzieć w przywykłym do dusz cieniu w Allyscamps, jak wzrok jego pośród grobów, otwartych jak groby zmartwychwstałych, goni za ważką barwną?

Zarówno. Widzę więcej niż jego, widzę jego byt, który wówczas rozpoczynał długą miłość do Boga, tę cichą pracę bez kresu. Na zawsze chciał się przytacić, ale raz jeszcze przyszła nań serdeczna, wzrastająca niemożność czynienia inaczej. I tym razem spodziewał się wysłuchania. Cała jego jaźń, która w długim osamotnieniu stała się intuicyjną i niezmylną, przyrzekała mu, że Ten, którego on teraz miał na myśli — miłować potrafi przenikającą, promienistą miłością.

Ale podczas gdy tęsknił za takim wreszcie mistrzowskim miłowaniem, uczucie jego,

do dali nawykłe, pojęło Boga ostateczną odległość. Noce przyszły, kiedy myślał, że ku Niemu się rzuca w przestrzeń; godziny pełne odkryć; godziny, kiedy się dość czuł mocnym, aby zanurzyć się w głąb, ku ziemi, aby ją porwać wzwyż na huraganie swego serca. Był jak ktoś, co słyszy cudowny język i gorączkowo postanawia w nim tworzyć poezję. Czekąco go jeszcze osłupienie poznania, jak trudny jest ów język; nie chciał wierzyć zrazu, iż całe długie życie upłynąć może, zanim się stworzy pierwsze, krótkie, pozorne zdania, które nie mają treści. Rzucił się w naukę jak biegacz w wyścig. Ale gęstwa tego, co trzeba było przewyciężyć, spowolniła jego pęd. Trudno było wymyślić coś bardziej upokarzającego nad te początki. On znalazł kamień mędrców, a oto zmuszano go, by prędko zrobione złoto szczęścia nieustannie przemieniał na brylasty ołów cierpliwości. On, który się przystosował do przestrzeni, jak robak drążył kręte korytarze bez wyjścia ni kierunku.

Teraz, kiedy w tak znojmym frasunku uczył się miłować, ukazano mu, jak niedbałą i nikłą była potąd wszelka miłość, której dokonywał według swego mniemania. Jak z żadnej miłości nic być nie mogło, ponieważ nie zaczął nad nią pracować i nie zaczął jej urzeczywistniać.

W tych oto latach dokonywały się w nim wielkie te przemiany. Boga zapomniał prawie przy twardej pracy nad zbliżeniem się do Niego — a wszystko, co z czasem może uzyskać u Niego, ufał, to była „*sa patience de supporter une âme*<sup>142</sup>”.

Przypadki losu, na które zważają ludzie, opadły z niego już dawno, ale teraz nawet to, co było konieczne spośród rozkoszy i bólu, straciło korzenny przysmak i stało się czyste i jemu pożywne. Z jądra tego bytu rozwinęła się zwarta, zimotrwała roślina płodnej radości. Cały zatopił się w pokonywaniu wszystkiego, co stanowiło jego wewnętrzne, zamknięte życie — niczego nie chciał przeskakiwać, bo nie

---

<sup>142</sup>*sa patience de supporter une âme* (fr.) — cierpliwość we wspieraniu duszy.  
[przypis edytorski]

wątpił, że w tym wszystkim jego miłość była i wzbierała. Wewnętrzna gotowość jego szła tak daleko, iż postanowił dogonić najważniejsze z tych rzeczy, których dawniej zdziałać nie mógł, które dawniej po prostu tylko przeczekał. Nade wszystko myślał o dzieciństwie, im spokojniej zastanawiał się, tym bardziej wydawało się mu nie zdziałane. Wszystkie stamtąd wspomnienia miały niejasność przeczuć, a że uchodziły za minione, to z nich czyniło prawie rzeczy przyszłe. To wszystko raz jeszcze, i to rzeczywiście, wziąć na siebie — oto był powód, dla którego on, który się stał obcy, powrócił. Nie wiemy, czy został. Wiemy tylko, że powrócił.

Ci, którzy legendę tę opowiedzieli, próbują w tym miejscu przypomnieć nam, jak wyglądał dom. Bo tam przeminęło trochę tylko czasu, trochę liczonego czasu, każdy w tym domu może opowiedzieć, ile. Psy zestarzały się, ale żyją jeszcze. Opowiada się, że jeden zawył. Przerwa nastaje w całej pracy dziennej. Twa-



rze ukazują się w oknach, postarzałe i dorosłe twarze o wzruszającym podobieństwie.

A w jednej, do cna starej, nagle blado przebija poznanie.

Poznanie?

Naprawdę poznanie tylko? — Przebaczenie.

Przebaczenie czego?

Miłość.

Mój Boże: miłość.

On, którego poznano, on w swoim zapracowaniu wcale już o tym nie myślał: że ona może jeszcze być.

Zrozumieć łatwo, że z tego wszystkiego, co się stało teraz, tylko to jeszcze zachowało się w podaniu: jego gest, ten gest niesłychany, którego nigdy przedtem nie widziano. Ów gest błagania, z jakim runął do ich nóg, zaklinając, aby nie kochali.

Przestraszeni i chwiejni podnieśli go do siebie. Gwałtowność jego wyłożyli na swój sposób, przebacząc. Musiała to być dla niego ulga

nieopisana, że wszyscy go źle rozumieli, mimo rozpaczliwą jednoznaczność jego postawy.

Prawdopodobnie mógł pozostać. Albowiem poznawał z dnia na dzień bardziej, że nie jego tyczyła się ta miłość, którą się tak pysznili i do której chyłkiem zachęcali się wzajemnie. Musiał uśmiechać się niemal, kiedy się wysilali — i stawało się rzeczą jasną, jak wcale jego nie mogli mieć na myśli. Cóż oni wiedzieli, kto on był!

Teraz bardzo trudno było go miłować, a on czuł, że *Jeden* tylko zdolny był do tego. Ten jednak nie chciał jeszcze.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rilke-malte>

Tekst opracowany na podstawie: Rainer Maria Rilke, Malte. Pamiętnik Malte-Lauridsa Brigge, tłum. Witold Hulewicz, wyd. Czytelnik, Warszawa 1979.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska. Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Bułka, Paulina Choromańska, Paweł Kozioł.

Okładka na podstawie: Candles in the snow 2, Ray García@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0811-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

RAINER-MARIA RILKE *Malte*  
Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji